

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/360

1977



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

SOCJUSZ : **POLITYCZNE DZIAŁANIA I PROGRAMY**

W. GOMBROWICZ : **GĘBA I TWARZ**

Zd. SIEMASZKO : **WILNO CZASÓW OBECNYCH**

B. LASOCKI : **DIALOG Z MICHNIKIEM**

W. CZALIDZE : **CZY RUCH INNOMYŚLNYCH
JEST CZYNNIKIEM POLITYCZNYM ?**

SPIS RZECZY

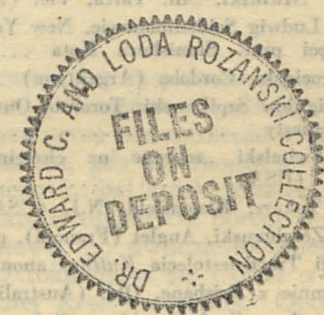
Socjusz:	Polityczne działania i programy	3
Witold Gombrowicz:	Gęba i twarz	12
Jerzy P. Horzelski:	Przekaz wiadomości	20
Zdzisław Siemaszko:	Wilno czasów obecnych	27
Andrzej Solecki:	Mój mizerny utarg	35
W I E R S Z E		
Swiatosław Hordynskij:	Niepowtarzalność. — Spokój. — Wieczory nad Sekwaną. — Kaniów ..	36
Andrzej Koraszewski:	Ostatnie słowo	38
Kazimierz M. Skrzydliński:	Ostatnia wieczerza	40
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	Widziane z Brukseli	41
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	50
Walerij Czalidze:	Czy ruch innowacyjnych jest czynnikiem politycznym?	59
K R A J		
Poradnik Społeczny PPN:	Obywatel a Służba Bezpieczeństwa ..	73
Tadeusz Koraszewski:	Oświadczenie	79
Two Zwolenników umowy w Helsinkach:	Głos Ukraińców z Polski	82
J. B.:	Zmierzch Two Kultury Moralnej	84
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	Deklaracja solidarności	85
Adam Kruczek:	Pierwszy krok	87
Andrzej J. Chlewicki:	W sowieckiej prasie	90
E. Żagiel:	Kronika niemiecka	96
Wł. Brylewski:	Kronika litewska	97
BEO:	Kronika białoruska	100
	Kronika ukraińska	100
SPRAWY I TROSKI		
Norbert Żaba:	Kronika szwedzka	102
Jerzy Doszrostański:	Prasa polska w Australii	104
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Vincenz:	Głos znad Nekarzu	107
Tadeusz Katelbach:	Stanisław Gierat	111
—	Komandor Walerian Jasionowski	114
K S I A Ź K I		
Bronisław Lasocki:	Dialog z Michnikiem	116
X. Z. M.:	„Kościół, lewica, dialog”	124
M. Broniński:	Radykalizm jako spektakl	128
B. H.:	Seryjne publikacje polskie w bibliotekach kanadyjskich	129
Maria Danilewicz Zielińska:	Krajowe nowości wydawnicze	130
—	Dwa wojska	133
—	Nadstawane nowości wydawnicze	136
♦		
—	Wydarzenia miesiąca	138
♦		
St. Chmielewski, B. Heydenkorn, K. Hrabek, I. I. Kotlarski, K. Krzeczunowicz, M. Łychołaj, A. Litwin, Z. Michałowski, St. Swianiewicz:	Listy do Redakcji	144
Redakcja:	Odpowiedzi:	152

(ciąg dalszy na str. 152)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1977



#49315

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz trzynasty	F. 48,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty czwarty	F. 104,00
Katarzyna Ciulis, Lackawanna, N.Y. (USA), po raz drugi ..	F. 346,00
F.H., USA — z okazji 30-tolecia wydawnictwa, po raz dziesiąty	F. 48,00
Władysław Gauza, Oslo (Norwegia)	F. 260,00
A. Komornicka, Londyn, w drugą rocznicę śmierci Męża, Stefana Komarnickiego	F. 170,00
A.F. Leśkiewicz, Pretoria (Afryka Południowa)	F. 5,50
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty siódmy	F. 100,00
Andrzej Niwiński, Sth. Yarra, Vic. (Australia)	F. 11,00
Zofia i Ludwig Seidenmanowie, New York — dla uczczenia pamięci prof. Stanisława Kota	F. 500,00
W. Sierociński, Cordoba (Argentyna)	F. 20,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siedemnasty	F. 45,00
Bruno Świtalski „zebrane na chrzcinach Adasia”, Chicago, Ill. (USA)	F. 101,00
Marek Tokarz, Bloomfield, N.J. (USA)	F. 9,60
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz dwudziesty siódmy	F. 100,00
Z okazji Trzydziestolecia Kultury anonimowo z Boulogne	F. 300,00
Bezimiennie z Brisbane, Qld. (Australia)	F. 20,00
Bezimiennie z Canberry (Australia), po raz drugi	F. 272,10
Bezimiennie z USA	F. 48,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTA NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

F-ma Brzostek, Sklep Polski, Paryż	F. 50,00
Pan Kazio, klient firmy Brzostek w Paryżu	F. 50,00
Edward Kozik, kwota zebrana 14 lipca 1977 w czasie uroczystości polskiej w Roubaix	F. 435,00
Dr Scholer, Wesseling Urfeld (Niemcy Zachodnie)	F. 200,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00
T. Żurawska, Cambridge, Ont. (Kanada)	F. 112,00
Bezimiennie z Houston, Texas (USA)	F. 240,00

Polityczne działania i programy

Spontaniczna, nie prowokowana lub inspirowana przez sfery rządzące, aktywność polityczna społeczeństwa polskiego uległa w ciągu ostatnich dwu lat wyraźnemu wzmocnieniu i przyspieszeniu. Jest to widoczne zwłaszcza, gdy się spojrzy z perspektywy całej naszej odwojennej historii. Był krótki, tragiczny okres takiego ożywienia w połowie lat czterdziestych, potem w okresie popaździernikowym, i teraz znowu, po dwudziestoletniej przerwie. Po raz pierwszy od 1945 roku mówi się i pisze o programach działania, o wizji przyszłej Rzeczypospolitej. Opozycyjna myśl polityczna nie ogranicza się już do reagowania na decyzje władz i bieżące wypadki; zdaje się nabierać własnej, samodzielnej żywotności.

Jakkolwiek się dalej potoczą nasze losy — jedno zdaje się pewne: rozbudzenie, którego jesteśmy świadkami, a zwłaszcza wyłonienie się programów na przyszłość, odnawiają i umocniają polskie tradycje niepodległościowe i demokratyczne, tępiące przez reżym od lat przeszło trzydziestu. Podobne odnowy w wieku XIX-tym kosztowały nas bardzo drogo. Ponieważ tym razem mamy do czynienia z aktywnością na ogół rozważną, i odwagą ściśle miarkowaną rozsądkiem, śmiałymi wizjami wyrażanymi w sposób spokojny, bez podniecającej zapalczywości — niezbędna odnowa tradycji dokonuje się z minimum ryzyka i stosunkowo niewielkimi kosztami.

Oczywiście partyjna propaganda, traktująca (słusznie!) każdy przejaw niezależności myśli jako śmiertelne zagrożenie dla monopolu władzy nad uczuciami i umysłami, o którym marzą autokraci — twierdzi inaczej. Myśli niepodległej zarzuca rozbijanie jedności narodu, uleganie obcym podszeptom, niebezpieczne wichrzycielstwo. Propaganda nie pozostaje niestety bez echa.

Potępienie opozycyjnej aktywności ma tę ogromną zaletę, że zwalnia od poczucia obowiązku robienia czegokolwiek. Oprócz zwyczajnych serwilistów, dwie kategorie ludzi — z reżymem nie związanych a często nawet uważających się za jego przeciwników — są dziś szczególnie skłonne odcinać się ostro od działalności opozycyjnej: ci porośnięci w pierze, którzy ogromnie boją się jakichkolwiek zasadniczych zmian, bo mogłyby zagrozić spokojnemu używaniu prywatno-socjalistycznych dóbr; i ci, którzy tak odwykli od widoku niezależnych poczynań polityczno-ideowych, że skoro inicjatywa nie od nich wychodzi — natychmiast wietrzą podstęp, zasadzkę, obcą intrygę.

Tego rodzaju postawy, chociaż godne potępienia, są przynajmniej zrozumiałe. Zupełnie natomiast absurdalnie brzmią dochodzące nas niekiedy w kraju echa asekurantwa i serwilizmu wśród emigracji, która uważa się w dodatku za „polityczną”. Ludzie, którzy mienią się „narodowcami” czy „narodowymi demokratami” (jakże się muszą przewracać w grobach twórcy Ligi Polskiej, Ligi Narodowej, „Zetu” albo Józef Haller i wielu innych endeckich niepodległościowców) ostrzegają przed „podburzaniem do powstania”, uleganiem podszeptom międzynarodowego syjonizmu, daniem się wciągnąć w rozgrywki między komunistami, itd. Czepiają się przeszłości — lub, co obrzydliwsze, pochodzenia — tego czy owego działacza KOR-u lub nowej emigracji — i stosują dobrze nam znaną metodę „opluskwania”. Rzecz znamienna, że omijają takie osoby i ugrupowania, których nie potrafią „wyinterpretować”: ignorują więc ich opozycyjną działalność. O ile wiem, nie atakowano ani Józefa Rybickiego, ani ks. Juliana Wiśniewskiego, ani gen. Boruty-Spiechowicza, ani w ogóle grupy Ruchu Obrony Praw Człowieka.

Te zewnętrzne naszczekiwanie mogą być hałaśliwe, czasem przykre i mące niektórym w głowach — ale ostatecznie mało ważne. Dla przyszłości bardziej istotne są debaty i spory w ramach samych ruchów „dysydenckich” w Polsce. Spory są dwa, zające się o siebie: między zwolennikami tylko jawnej działalności opozycyjnej (nazwijmy ich „jawniakami”) a takimi, którzy w sens jej wyłączności nie wierzą („konspiratorzy”); oraz między tymi, co twierdzą, że sytuację w kraju można gruntownie zmienić w ramach istniejącego systemu (rewizjoniści czy reformiści) — a tymi, którzy sądzą, że system naprawić się nie daje i trzeba zaczynać, od nowa (nazwijmy ich „odnowcami”).

Spór pierwszy był dotychczas jednostronny: „jawniaci” atakowali „konspiratorów”, „konspiratorzy” milczeli¹. Spróbujmy

1. Najdziwniejszym i najbardziej niepokojącym jego przejawem był wywiad Adama Michnika, udzielony 5 marca 1977 w Sztokholmie. Nie-

tutaj, nie roszcząc sobie pretensji do posiadania sekretnych wiadomości ani do reprezentowania stanowiska jakiegokolwiek grupy, odtworzyć ich argumenty.

Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że przeciwstawianie jawności — konspiracji jest w naszych warunkach jaskrawym uproszczeniem, naiwnym albo obłudnym. „Jawniaci” działają, jak twierdzą, w ramach obowiązujących w PRL praw; władze zaprzeczają temu kategorycznie, na zmianę już to stosując represję, już to szczycąc się nieco boleściwie swoją tolerancją wobec „prowokatorów” i „wichrzycieli”. W tej sytuacji pełna jawność wszystkich poczynań musi być fikcją. Komunikaty KOR-u na przykład są podpisywane nazwiskami i adresami — ale sporządzane możliwie dyskretnie i kolportowane po kryjomu; jeden z członków KOR-u zasłynął zręcznością w unikaniu milicyjnych zasadzek; zbiórki pieniędzy i rozdawanie zapomóg przeprowadzano ukradkiem; książki wydawane za granicą pod własnym nazwiskiem autorów, i za ich zgodą, muszą być przemycane, itd. Jawność działania „jawniaków” jest więc sprawą stopnia — i słusznie. Nie dlatego, by chcieli coś wstydliwego czy kryminalnego ukryć, ale dlatego, że mają do czynienia z przeciwnikiem nieuczciwym i bezwzględny, zawsze gotowym skonfiskować rękopis lub gotówkę, czy nagłym „nalotem” przerwać zebranie.

„Konspiratorzy” — mam tu na myśli zarówno anonimowych twórców oświadczeń i programów, jak różnych pseudonimowych autorów — również nie robią, o ile wiadomo, niczego sprzecznego z obowiązującą w PRL konstytucją i ratyfikowanymi Paktem Praw Człowieka, które gwarantują przecież swobodę wyrażania poglądów, zebrania, wymiany myśli. Nie nawołują do obalenia rządu czy rewizji granic, nie organizują zamachów, nie tworzą bojówek ani podziemnych organów władzy. Nazywanie ich „konspiratorami” jest barwną przesadą; sugerowanie, że dążą do jakiejś ruchawki — oczywistym nonsensem. Trzeba jasno stwierdzić, że jawność lub niejawnosc działania nie jest w naszych warunkach wykładnikiem umiarkowanych lub skrajnych intencji — jest tylko funkcją, rezultatem polityki władz. W kraju demokratycznym i praworządnym wszystkie opozycyjne osoby i ośrodki, działające dziś w Polsce, mogłyby występować otwarcie.

Nie sądzę, by ktokolwiek rozsądny mógł podważać potrzebę i celowość działania „jawniaków”. Przesuwają granice tego, co

pokojującym, bo oto zwolennik działania jawnego podał informacje na temat ludzi działających niejawnie — określając Polskie Porozumienie Niepodległościowe jako „organizację” i sugerując niedwuznacznie, że jego działalność jest niezgodna z kodeksem karnym; dziwacznym, bo dementował twierdzenie nigdy przez nikogo niewypowiedziane (że PPN jest porozumieniem międzyorganizacyjnym).

władza niechętnie, ale toleruje. Zmuszają do otwierania oczu, pobudzają aktywność zwłaszcza młodzieży. Tworzą widoczne wzorce osobowe odwagi cywilnej, poświęcenia, umiejętności organizacyjnych. Jednakże twierdzenie, że tylko taka działalność jest słuszną wydaje się niepotrzebnym zubożaniem repertuaru środków, do jakich powinno sięgać zniewalane i oglupiane społeczeństwo. „Jawniakom” i „konspiratorom” przyświeca przecież zasadniczo podobna idea: poszerzanie swobód i uprawnień obywateli oraz niezależności całego państwa.

Jedynym usprawiedliwieniem takiej wyłączności byłoby świadome i radykalne ograniczenie celów: mianowicie dążenie wyłącznie do wymożenia na władzach, by przestrzegały obowiązujących w PRL praw. Pomijając już wątpliwą słusność takiej nobilitacji systemu praw, który został społeczeństwu narzucony — w świetle dotychczasowych doświadczeń podobny minimalizm wydaje się do nikąd nie prowadzić. Nie tylko dlatego, że władze dowiodły wielokrotnie, iż potrafią naginać interpretacje paragrafów do swoich każdorazowych potrzeb (co przy braku niezależności sądów zostawia obywateli na łasce każdorazowej „linii partyjnej”), ale przede wszystkim dlatego, że bez przełamania monopolu władzy sprawowanej przez aktualną „góre” partyjną, wszelkie zmiany, reformy i ulepszenia mogą mieć charakter tylko kosmetyczny i tymczasowy.

Zdają sobie oczywiście z tego sprawę „jawniacy”; świadczą o tym i „Myśli o programie działania” Jacka Kuronia, i liczne wypowiedzi Adama Michnika. Spór między reformistami a „odnowcami” należy praktycznie do przeszłości. Ostatnim jego przejawem był list Karola Modzelewskiego do Gierka z listopada 1976 — ale nawet rola demaskatorska, jaką pocziwie przypisuje temu listowi Leopolita (*Ruch oporu*, Instytut Literacki, Paryż, 1977, str. 241) jest spóźniona o wiele lat.

Ograniczanie opozycji do jawnej byłoby dziś w Polsce nieślusne i z tego powodu, iż działalność „jawniaków” wystawiona jest nieuchronnie na dwie niebezpieczne trudności: izolacji od zewnątrz i profesjonalizacji od wewnątrz. Ludzi w zasadzie działających jawnie łatwiej jest śledzić, szykanować i ograniczać swobodę ich ruchów. Ponieważ śledzi się i szykanuje także tych, którzy się z nimi porozumiewają — społeczny zakres ich kontaktów jest kontrolowany i ograniczany. Wielu ludzi nie ze strachu o własne bezpieczeństwo, ale z obawy o utratę możliwości normalnej pracy zawodowej (zwłaszcza administracyjnej i pedagogicznej) musi te kontakty ograniczać. Możliwość przenikania do innych środowisk jest ostro hamowana przez władze bezpieczeństwa. Jednocześnie prowadzi się bezwzględna kampanie dezinformująca i oczerniająca, która ma na celu to samo: odosob-

nienie grup opozycyjnych. Nie wolno nie doceniać łącznego efektu tych czynników izolujących. Zaś opozycja niejawną winna, moim zdaniem, stwarzać głębsze i szersze zaplecze zrozumienia i sympatii dla tych, którzy na co dzień i otwarcie upominają się o poszanowanie naszej godności.

To, co nazwałem „profesjonalizacją”, również wpływa odosabiająco. Jest rzeczą zrozumiałą, że „jawniacy”, żyjący przedziwnym, wymagającym mnóstwa wyrzeczeń, odwagi i silnych nerwów życiem na pograniczu tego, co w PRL tolerowane, zwykle pozbawieni pracy i możliwości normalnego zarobkowania, śledzeni, szykanowani, ciągle zagrożeni — muszą dla psychicznej samoobrony i adaptacji wytwarzać specyficzny sposób myślenia. Klasycznymi jego przejawami są optymizm i przecenianie własnej roli społeczno-politycznej. Przykładem (który niechże nie będzie poczytany za atak na zasłużonego człowieka) są takie zdania z „Myśli” Kuronia: „Najogólniej więc można powiedzieć, że władze państwowe są sparaliżowane oporem społeczeństwa. ... Opozycja polityczna ... musi z całą odpowiedzialnością wziąć na siebie obowiązek wpłynięcia na losy kraju. ... wypracować i realizować taki program działania, który będzie jednocześnie programem przezwyciężania kryzysu gospodarczego, społecznego, politycznego” (*Ruch oporu*, str. 194). Naprawdę jednak władze sparaliżowane są przede wszystkim własną strukturalną niewydolnością. Opozycja zaś nie jest w stanie przejąć na siebie odpowiedzialności za losy kraju, ponieważ jako zorganizowana siła polityczna nie istnieje (zwrócić już na to uwagę Leopolita, *Ruch oporu*, str. 247) i nie posiada środków administracyjnych, umożliwiających realizowanie szerokiego programu działania. Deklarowanie „przejmowania odpowiedzialności” jest ostatecznie sprzeczne właśnie z interesami opozycji — ponieważ budzi niemożliwe do spełnienia aspiracje.

Spośród tekstów o nieujawnionym autorstwie najwięcej uwagi przyciągnął Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, ogłoszony w maju 1976, i jego późniejsze kontynuacje w postaci tekstów, sygnowanych przez PPN. Różne myśli, wypowiedziane w dyskusji nad tym programem, zasługują na komentarz, dotyczą bowiem spraw szerszych, w ogóle sposobu pojmowania roli oporu politycznego w Polsce.

Najbardziej zastanawiającą cechą tej dyskusji jest, że w małym stopniu dotyczy treści postulatów, sformułowanych w Programie. Sądzę, że byłoby pochopte wyprowadzenie z tego wniosku, że pod postulatami tymi wszyscy gotowi są zgodzić się podpisać. Mimo ich częstej ogólnikowości i wyraźnie kompromisowego (w sensie nie kompromisu z reżymem, ale między poglądami np. liberalnymi a socjaldemokratycznymi czy chrześ-

cijańsko-demokratycznymi) stanowić mogą na pewno przedmiot kontrowersji. Sądzę, że ich milcząca aprobata rodzi się zarówno z dość powszechnej zgody na postulaty fundamentalne: niepodległość, demokracja parlamentarna, jawność życia polityczno-gospodarczego, niezawisłość sądów — jak i z przeświadczenia, że te zasadnicze postulaty nie prędko staną się możliwe do realizacji. I ma rację Zbigniew Węgrzyński (*Kultura*, kwiecień 1977, str. 87), że dalsza debata mogłaby doprowadzić do wypracowania różnych „platform wyborczych” — ale widać nie to dyskutanci uważają za najpilniejsze.

Wiele porządkujące „Uwagi na marginesie programu” Leopolda (*Ruch oporu*, str. 235-249) zamąciło zasadnicze nieporozumienie co do adresata programu PPN. Wbrew temu, co twierdzi autor, PPN zwraca się wyraźnie nie do władz czy partii, ale jak gdyby ponad ich głowami wprost do społeczeństwa. Podkreśla to ideologiczny (w terminologii Leopolda), przyszłościowy charakter Programu. Nie jest też prawdą, by postulowane przez program PPN zmiany miały się dokonywać „w ramach nienaruszonych podstaw ustrojowych i niezmiennionej sytuacji międzynarodowej”. Leopolda zbyt pobieżnie się widać z tekstem zapoznał — bo warunek zasadniczych zmian jest w nim postawiony wręcz jaskrawo. Z tych dwu nieporozumień zdają się wywodzić niektóre późniejsze zarzuty, np. zarzut „złej utopijności” programu PPN, który rzekomo mówi o czymś, co ma dziś zrobić „partia” albo my „z partią do spółki”². Być może autor nie odróżnił zwracania się do partii jako instytucji sprawującej władzę — i do partyjnych, z których wielu nie zgadza się z polityką partii. Grudniowe oświadczenie PPN istotnie wspomina o członkach partii, ale żadnej współpracy z partią nie postuluje. Zważywszy treść Programu byłoby to istotnie absurdalne.

Leopolda żałuje, iż autorzy programu PPN nie mówią, które jego elementy nadają się do realizacji już dzisiaj. Z. Węgrzyński postuluje, by PPN stał się odpowiednikiem Komitetu Walki Cywilnej, opracował kodeks postępowania Polaka-patrioty i wytyczne dla poszczególnych grup społecznych, oraz reagował na bieżące wydarzenia w Polsce, zwracając na nie uwagę opinii

2. Taka zapewne jest również geneza zarzutu o lekkomyślne unieważnienie Paktu Warszawskiego. Zastanawia mnie, czy autor, używając tego terminu, zdaje sobie sprawę, że „pakt” ten jest po prostu fikcyjnym szyldem, za którym kryje się podporządkowanie wojsk satelitarnych Moskwie? *Stricto sensu* nie jest to więc bynajmniej „pakt”, i przywrócenie Polsce suwerenności musi go „unieważnić” w tym przynajmniej sensie, by stał się paktem analogicznym do Atlantyckiego, tj. opartym na zgodzie niezależnych państw.

w kraju i za granicą. Sądzi też, że powinien w razie potrzeby występować z doraźnymi apelami. Zrozumiała jest ta potrzeba konkretnego i pragnienie posiadania moralno-politycznej busoli, ułatwiającej orientację wśród rozpaczliwych zagmatwań współczesności. Sądzę, że istotnie należy wymagać od PPN porad, dotyczących codziennego przyzwoitego, godnego postępowania, a także sugestii wychowawczych. Znakomitym pomysłem Węgrzyńskiego jest postulat opracowania dezyderatów wobec emigracji. Natomiast za niesłuszny i niebezpieczny uważam postulat reagowania na wszystkie ważne wydarzenia krajowe w formie wezwań, wyrazów poparcia i potępienia. Po pierwsze, jako ugrupowanie anonimowe PPN powinno zachować ostrożność w wydawaniu konkretnych werdyktów, aby nie stało się sądem kapturowym. Po drugie, popieranie jawnych inicjatyw przez niejawną PPN może się okazać niedźwiedzą przysługą, niepożądaną przez tych, którym się otwartego poparcia udziela.

Sądzę, że zasadnicza rola PPN powinna polegać na czymś innym: nie na wydawaniu zaleceń, ale na porządkowaniu i inspirowaniu niezależnego myślenia polityczno-społecznego. Głównym zadaniem byłaby z jednej strony analiza sytuacji bieżącej — z drugiej zaś ustalanie i analizowanie celów dalekosiężnych. Domaganie się konkretnych instrukcji działania na bieżąco, tak często wyrażane w prywatnych rozmowach, zdaje się zresztą produktem powojennego wychowania. Od 32 lat system stara się zabić w nas samodzielność i inicjatywę — i teraz wielu opozycyjnie nastawionych ludzi, zamiast pomyśleć i wyciągnąć praktyczne wnioski z założeń ideowych i celów ostatecznych, domaga się prowadzenia za rękę.

„Wierzymy — piszą autorzy oświadczenia PPN z grudnia 1976 — że wspólnota celów może zrodzić spontaniczną wspólnotę działania, kiedy i gdzie zajdzie potrzeba”. Leopolda kwestionuje to przeświadczenie i sugeruje odwrotną drogę: od działań jednostkowych i spontanicznych poprzez częściowe ich wspólnoty do jedności celów. Przyznaje, że nie rozumiem mechanizmu takiego procesu i nie wierzę w jego możliwość. Jedność celów, gdyby się nawet w takiej zbieżności zachowań wyłoniła, byłaby sprawą przypadku. Historia uczy nas, że jeżeli żywiołowe jednostkowe akcje nie są z góry porządkowane przez tożsamość aspiracji — przeradzają się w chaos, łatwy do wykorzystania przez bezwzględnych prowodyrów i prowokatorów.

W Polsce mamy do czynienia z głęboką — choć słabo zracjonalizowaną, często mglistą i sporadycznie tylko uświadamianą — wspólnotą uczuć i pragnień. Zadaniem politycznego ruchu oporu jest przerobić tę wspólnotę instynktowną w wyższą formę

powiązania, w świadomą wspólnotę celów. Jedność nastrojów nie gwarantuje spójności działania — zwłaszcza, że są to nastroje głównie negatywne, wyładowujące się typowo w gestach niszczeniowych. Znamiennych, ostrzegawczych, ale mało pożytecznych. Natomiast poczucie i zrozumienie wspólnoty celów może (jak to nieraz potwierdziła historia: wspomnijmy np. okres ostatniej wojny, ze spontanicznie rodzącym się ruchem oporu) prowadzić do zbieżności w działaniach.

Nieprzemyślany wydaje mi się również zarzut Leopolda, że żaden z omawianych przez niego programów nie zawiera „jakichkolwiek doraźnych sugestii gospodarczych”. Czyżby autor nie czytywał *Polityki*, *Więzi*, *Życia Gospodarczego*? W tych pismach można było znaleźć, przed czerwcem 1976 i po nim, konkretne opisy przykładów złego administrowania tak poszczególnymi wielkimi przedsiębiorstwami jak i całymi gałęziami gospodarki narodowej; rozważania o niebezpieczeństwie przerostu inwestycji, zwłaszcza inwestycji na środki wytwarzania (w przeciwieństwie do coraz bardziej zaniedbywanych środków spożycia), o ekonomice „odgórnego napędzania” (Pajestka), itd. Diagnozy tego, co się źle dzieje w gospodarce polskiej i stwierdzenia co da się naprawić na płaszczyźnie czysto ekonomicznej można z łatwością znaleźć w prasie krajowej. Czego w niej nie ma i być nie może, to wskazywania na istotne, polityczne źródła ciągłych kryzysów: od sposobu rekrutacji kadr kierowniczych i podejmowania decyzji gospodarczych na przesłankach politycznych lub wręcz klikowych — do niskiej wydajności pracy powodowanej nieufnością robotników. Jeśli nie wprowadzi się istotnych zmian polityczno-strukturalnych, wszelkie doraźne zabiegi gospodarcze będą tylko półśrodkami, maskującymi głębokie schorzenia; dlatego też obecny kryzys jest głębszy i groźniejszy, niż kryzys roku 1970.

Natomiast stokrotną rację ma Leopold, kiedy pisze o niebezpieczeństwie milczącego przyjmowania, że „gdy tylko Rosjanie wyniosą się z kraju, Polska automatycznie stanie się rajem na ziemi”. Poszedłbym dalej i wyraził wątpliwość, czy w chwili obecnej jesteśmy przygotowani do wykorzystania okazji wolności i samorządności, gdyby się nadarzyła. Trzeba jednak zachować ostrożność w tym sceptycyzmie. Powtarzana wielokrotnie (choć półgębkiem) przez partyjnych macherów sugestia, że społeczeństwo polskie „nie dojrzało” do rzeczywistych swobód demokratycznych jest zwykłym oszustwem, bo choćby rzeczywiście było całkiem niedojrzałe — to, po pierwsze, w ramach systemu totalitarnego też czuje się bardzo niewygodnie (jest do niego duchowo nieprzystosowane), a po drugie system ten bynajmniej nie przygotowuje do takiej dojrzałości, wręcz przeciwnie.

Stoi więc przed nami, niezależnie od przekonań, zadanie, które PPN nazywa „polityczną re-edukacją”. Nie będzie to robota łatwa, widowiskowa, ani krótka — wbrew kuszącemu optymizmowi niektórych. Szukając analogii historycznych można by powiedzieć, jak sądzę, że jesteśmy teraz około roku 1900. Nie mam przez to na myśli zbliżania się kolejnej wojny światowej — ale z jednej strony — stan umysłów w Polsce, z drugiej — sytuację międzynarodową. Miejmy nadzieję, że narastający (znowu!) kryzys wewnętrzny imperium rosyjskiego i rozkład jego polityki zagranicznej rozładują się w sposób mniej krwawy i tragiczny. Wydaje się pewne, że procesy te będą się nasilały. A naszym zadaniem jest tymczasem szybko uczyć się chcieć, myśleć i działać.

SOCJUSZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « DOKUMENTY »

TOM 274 — MAREK TARNIEWSKI

KRÓTKIE SPIĘCIE

(Marzec 1968)

Str. 96.

Cena F. 18.

TOM 276

RUCH OPORU

Polska: Czerwiec 1976
Czechosłowacja: Karta 77

Str. 288.

Cena F. 50,00.

Gęba i twarz

Kiedy to piszę bawi mnie myśl, że moje słowa dotrą do Polski drgającą falą i tu i ówdzie jakiś głośnik wasz znieścacka nimi się odezwie*. Chciałbym wykorzystać krótką wizytę moich słów w Kraju aby przekazać wam nieco wiadomości o sobie — tym z was przynajmniej, którzy wiedzą że istnieje ktoś kto się nazywa Witold Gombrowicz... podrzędny literat na emigracji w Argentynie, dekadent, destruktor i dezterter, gorszytel i zdrajca, poza tym infantylny egotysta i Narcyz zakochany w swoim zgniłym „ja”. Czyż nie tak? Czy nie w ten deseń zostałem przyrządzony, zrobiony, stworzony dla celów polityczno-ideologicznych przez wielkich waszych fabrykantów sztucznej rzeczywistości? Wszak wszystko co dochodzi was ze świata zachodniego musi być zniekształcone i zdegradowane wielokrotnym kłamstwem przez wasze źródła informacyjne zorganizowane w jedną wielką biurokrację fikcji. Prawda jest taka, że ja, moi drodzy, jestem tutaj, w Ameryce, człowiekiem wcale zwyczajnym, wcale normalnym, który usiłuje wywiązać się ze swoich zadań duchowych i artystycznych możliwie najrzetelniej, a także z największą szczerością na jaką go stać. Taki jestem tutaj, w Ameryce, ale w Polsce muszę być półgłówkiem i zdrajcą. Ów terror dusz musi mieć takiego Gombrowicza jaki jest mu potrzebny ze względów taktycznych i ideologicznych. Usiłowano mnie przemilczeć, gdy jednak to staje się coraz trudniejsze poddano mnie wiadomej estetycznej chirurgii, sfabrykowano mi gębę idioty i odstręczającego sobka aby nią straszyć grzeczne polskie dzieciństwo. Przyprawiono mi taką gębę aby mnie wykończyć. Gdyż, rzecz jasna, nie miałoby sensu i byłoby sprzeczne z logiką gdyby system arcymoralny rządzący dziś w Polsce, to uosobienie humanizmu, kultury i sprawiedliwości usiłował wykończyć i ukatrupić duchowo, moralnie i artystycznie Gombrowicza będącego rzetel-

* Ten esej również nie był nadany przez F.E. (Red.).

nym polskim pisarzem. Aby system mógł arcymoralnie zniszczyć Gombrowicza, Gombrowicz musi naprzód stać się odrażającą zgnilizną.

Na ogół więcej milczy się o mnie niż kłamie się o mnie. Ale kłamstw też już zebrała się spora wiązanka. Ze wszystkich łgarstw tych, jakie na mojej twarzy popełniono, może najbardziej mnie cieszy specyficznie kłamliwy zabieg wicepremiera Cyrankiewicza z roku 1953. Najbardziej to lubię ponieważ jest należycie ordynarne, a zabrał się tym sam wicepremier rządu w uroczystej i wielce humanistycznej mowie, wygłoszonej — jak podała prasa krajowa — „na wspólnym posiedzeniu Komitetów Honorowych Roku Kopernikowskiego i Roku Odrodzenia”.

Opowiem wam to bardziej szczegółowo, aby przy sposobności wprowadzić was powolutku w moje myślenie o pewnych polskich sprawach.

Od kilku lat ukazuje się w paryskim miesięczniku emigracji *Kultura* mój dziennik, gdzie wśród wielu innych rewizji dokonuje się też, w miarę moich możliwości, rewizja polskiego anachronizmu. Co jest zamierzeniem tego dziennika, gdy chodzi o Polskę? „Mojej pracy” — pisałem — „przyswieca idea żeby wydobyć człowieka polskiego ze wszystkich rzeczywistości wtórnych i zetknąć go bezpośrednio z wszechświatem — niech sobie radzi jak może. Pragnę zrujnować mu jego dzieciństwo”. Taki jest cel, uważacie. Wyrwać Polaka z jego rzeczywistości ściśle polskiej, lokalnej, sprawić aby stał się człowiekiem duchowo wolnym i dojrzałym, zdolnym sprostać światu i historii. Po tej linii idąc, poddałem kiedyś krytyce naszą śmieszna manię przechwalania się Polską, robienia Polsce propagandy, puszenia się polską kulturą, polską literaturą lub geniuszami których wydaliśmy... tak, to wszystko wydało mi się nieco dziecinne. Opisując jedną z tych akademii poświęconych sławieniu narodu który „wydał Kopernika i Szopena” taki zamieściłem passus:

„Geniusze! Do cholery z tymi geniuszami! Miałem ochotę powiedzieć zebranym: — Cóż mnie obchodzi Mickiewicz? Wy jesteście dla mnie ważniejsi od Mickiewicza, wy, żywi. I ani ja, ani nikt inny, nie będzie sądził narodu polskiego według Mickiewicza lub Szopena, ale wedle tego co tu na tej sali się dzieje i co tu się mówi. Gdybyście nawet byli narodem tak ubogim w wielkość, że największym artystą waszym byłby Tetmajer lub Konopnicka, lecz gdybyście umieli mówić o nich ze swobodą ludzi duchowo wolnych, z umiarem i trzeźwością ludzi dojrzałych, gdyby słowa wasze obejmowały horyzont nie zaścianka lecz świata... wówczas nawet Tetmajer stałby się wam tytułem do

chwały. Ale tak jak się rzeczy mają, Szopen z Mickiewiczem służą wam tylko do uwypuklenia waszej małostkowości — gdyż wy z naiwnością dzieci potrząsacie przed nosem znudzonej zagranicy tymi polonusami po to jedynie, aby wzmocnić nadwątlone poczucie własnej wartości i dodać sobie znaczenia. Jesteście ubogimi krewnymi świata, którzy usiłują imponować sobie i innym”.

Czy rzeczywiście tak trudno to zrozumieć? Mnie szło w powyższym ustępie o ustalenie niezmiennie prostej prawdy, sięgającej wszakże nader głęboko w nasze poufne obcowanie z Polską. Chodziło mi o stwierdzenie, że wartość współcześnie żyjącego Polaka nie może być, mierzona wartością wybitnych Polaków z przeszłości — innymi słowy, to że król Sobieski zwyciężył pod Wiedniem a Szopen napisał Ballady w niczym nie przesądza o poziomie i kulturze współczesnego pana Majewskiego czy Kozłowskiego. Cóż zatem jest miarą naszej obecnej wartości kulturalnej? Nie to, że przytrafił się nam, jak innym narodom, ten czy inny geniusz w dawnych czasach, ale to że potrafimy w sposób rozumny, rzeczowy, sprawiedliwy i umiarkowany odnieść się do tych historycznych zasług i zdobyczy; nie to że mamy historię, lecz to że potrafimy ją właściwie potraktować; nie to, że był Szopen, lecz to że Szopen nie stanie się nam obecnie środkiem taniej propagandy narodowej która jedynie ośmiesza nas w oczach bardziej krytycznych cudzoziemców.

Proste, nieprawdaż? I zważcie jak taki drobiazdek określa moje wyobrażenie o współczesnej godności polskiej — którą chciałbym widzieć nie podrygującą i wdzięczącą się do świata ale wspartą na dojrzałym zrozumieniu naszej roli i sytuacji w świecie. I niewątpliwie taki pogląd mogło podyktować tylko bardzo ostre i nieustępliwe poczucie godności — zarówno narodowej jak i mojej własnej, indywidualnej. A teraz posłuchajcie jak to zreferował towarzysz wicepremier Cyrankiewicz w swojej mowie, wygłoszonej do owych Komitetów honorowych Roku Kopernikowskiego i Roku Odrodzenia...

„Na łamach paryskiej *Kultury*, która stała się ośrodkiem renegackiej myśli kosmopolitycznej, czytaliśmy niedawno takie oto rozważania na temat wielkich geniuszów polskiej myśli narodowej: „Geniusze? Do cholery z tym geniuszami... Cóż mnie obchodzi Mickiewicz?”. Albo: „Lubując się własną kulturą, obnażamy nasz prymitywizm...”. Autor tych słów jeden z owych emigracyjnych tymczasowych Polaków — podchwytuje z zapałem argumenty szowinistów niemieckich kpiąc sobie z „niezupewnie rdzennego Kopernika i półfrancuskiego Szopena”...

Wystarczy. Nie potrzebuję cytować dalej. Powiecie że, ostatecznie, nic wielkiego, któż by dziś się przejmował świństwem

tak małego kalibru jak wyrywanie zdań niepełnych z tekstu, przeinaczanie tonu, treści i intencji... A jednak zanim przejdziemy do spraw poważniejszych, wsłuchajcie się w ten duet, mój i jego, a ujrzycie astronomiczny dystans dzielący nasze światy. Dlaczego ja mogę mówić co myślę, dlaczego on musi kłamać, dlaczego ja mam zwykłą twarz ludzką, on zaś urodził się najwidoczniej pod znakiem gęby i mordy, bo mnie i sobie ją przyprawia?... i oto macie go, kurczowe oblicze przed mikrofonami demagoga, polityka, kalkulatora, chytrusa, onże wicepremier fałszujący cytaty na poziomie trzeciorzędnego żurnalisty z brukowej gazety. Dlaczegoż ja taki nie jestem, on taki jest? Ale dlatego że on jest sługą — sługą partii, historii, rządu, teorii, programu — ja zaś jestem zwykłym, prywatnym, swobodnym człowiekiem.



A teraz opowiem wam o fałszerstwie na większą skalę, którego ofiarą padł mój „Trans-Atlantyk”, powieść wydana trzy lata temu w Paryżu. Ten utwór i tutaj, na emigracji, uznany został przez niektórych za zgoła bluźnierczy, antypolski, skandaliczny i niesłychany — ale mój „Dziennik”, ukazujący się stale w *Kulturze* przyczynił się do wyjaśnienia wielu nieporozumień i dzisiaj już chyba tylko ludzie bardzo ograniczeni mogą upierać się przy tak prostackim ujęciu tej książki. Naturalnie prasa w Kraju skrzętnie ją przemilczała, co pewien czas jednak, tu i ówdzie, ten i ów napomyka o niej — półgębkiem i z zachowaniem wszelkich ostrożności, aby ten szkodliwy mikrob nie urósł mu pod piórem do rozmiarów ryczącego lwa. I zawsze pisze się o mnie głupio i kłamliwie, jakbym naprawdę był wrogiem narodu.

Ja? Wróg narodu? Przyjrzyjmy się bliżej temu co określa w „Trans-Atlantyku” moją postawę wobec Polski.

Zgódźcie się naprzód ze mną, że warunki naszego polskiego życia zmieniły się niesłychanie; że byłoby niedorzecznością żądać iżbyśmy wytrzymali napór strasznych problemów współczesności uzbrojeni w tradycyjny nasz światopogląd, ten naiwny, ciasny i pocziwy. Czy chcecie jeszcze raz kawalerią atakować czołgi? Mickiewiczem lub polonezami szopenowskimi chcecie bronić się przed Heglem? W świecie przetrawionym heglizmem, marksizmem, egzystencjalizmem zamierzacie utrzymać się przy pomocy waszego sielskiego, złagodzonego myślenia sprzed wojny? Rzecz pewna, myśl polska współczesna musi znaleźć się na wysokości swojego czasu i to zadanie poza granicami Kraju. Jeśliby ta literatura nie była zdolna do radykalnego odnowienia świadomości polskiej,

nasycenia jej nowym rozmachem i nową energią, stałaby się nędzną parodią roku 1831, niczym więcej.

Dlatego w obecnej chwili lepsza jest nawet myśl raniąca, burząca, ale szczerą i możliwie najgłębszą, ale naprawdę coś poruszającą, niż lekkie utwierdzanie się w tradycyjnym uczuciu.

O co mnie szło w „Trans-Atlantyku”?

Mnie idzie o to, że przy obecnej niesamowitej presji życia zbiorowego na jednostkę, ten człowiek pojedynczy zdoła się oprzeć i zachować swoje człowieczeństwo tylko wtedy, gdy dotrze do najgłębszego swojego „ja” i na nim się oprze. To znaczy, muszę być człowiekiem swobodnym duchowo i wiernym sobie, swojej naturze. To znaczy, muszę reagować na świat i życie nie jako Polak, członek partii, wyznawca tej czy innej ideologii, obrońca tych czy innych ideałów lub interesów, ale tylko i jedynie jako człowiek, zgodnie z moją prawdziwą, najgłębszą, najbardziej zasadniczą naturą. To znaczy, że nie mogę, na przykład, hodować w sobie sztucznie uczuć, wiar, zapałów dlatego, że one dogadzają interesom narodu, partii, grupy. Naród więc nie powinien stać się instrumentem fałszu, sztucznego osłepienia się — dość już tych ślepych koni w naszym kieracie.

Zauważcie, że jest to myśl w konsekwencjach swoich obosieczna, jedna z tych co to jedną ręką odbierają siłę ale drugą dają w zamian nowy ładunek o może bardziej istotnej odporności. Rozpatrzmy to na nader nieskomplikowanym przykładzie tego właśnie nieszczęsnego Kopernika, który podniecił wicepremiera do tak brzydkiego kręactwa. Jak wiadomo, Niemcy uważają Kopernika za Niemca a Polacy za Polaka, czyli, innymi słowy, każda liszka swój ogon chwali. Cóż jednak stanie się, gdy ja, Polak, publicznie wyznam, że nie jestem pewny czy Kopernik był Polakiem? Naturalnie to wyznanie może być wyzyskane jako argument przez Niemców, wobec czego interesy polskie zostaną narażone na doraźną szkodę. Ale czyż w tej samej chwili nie przybywa narodowi naszemu straszna siła w osobie jednego z jego synów, który jest naprawdę szczerzy w stosunku do siebie samego — który przeto żyje prawdziwiej, bardziej autentycznie, niż tamci głosiciele tego co im dogadza? Jeśli więc ten człowiek, bardziej rzeczywisty, bardziej istniejący, jest z natury Polakiem, to ta naturalna jego polskość staje się stokróż silniejsza, swobodniejsza, bardziej suwerenna; i gdyby takich było wielu to zaiste, z Kopernikiem czy bez Kopernika, nie potrzebowalibyśmy się obawiać o nasze miejsce w kulturze światowej.

Czyż więc nie jest jasne, że mój bunt przeciw Polsce prowadzi — w innym sensie i na innym planie — do niezmiernego wzmocnienia polskiej żywotności?

Posłuchajcie teraz, jak rozwinąłem tę ideę w polemice z pewnym krytykiem na emigracji.

„Nie trudno dostrzec — pisałem w tej polemice — że w „Trans-Atlantyku” dochodzi do głosu coś, co wcale nie jest moim tylko kaprysem i fantazją, ale wspólnym dziś wielu ludziom przeżyciem i przemyśleniem, a mianowicie potrzeba poddania rewizji dotychczasowego stosunku Polaka do Polski. I ta nowa postawa wobec narodu, która poczyna się wytwarzać na razie gdzieś na boku i nieoficjalnie, wydaje się mnie osobiście tak brzemienna w następstwa, że nawet skłonny byłbym przypuszczać iż ona to właśnie może ruszyć z miejsca naszą myśl emigracyjną, jak dotąd rzeczywiście niezbyt żywotną i twórczą.

Jeżeli w „Trans-Atlantyku” daje się słyszeć (w humorystycznej instrumentacji) pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski — niechęć, lęk, szyderstwo, wstyd — to dlatego, że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską... wyzwolić Polaka z Polski... sprawić aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry. Cóż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska, to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego, rozpaczliwego szamotania się i zmagania z przeważającymi wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju? Czyż więc ta „Polska” nie jest tworem niedoskonałym, słabym i zżartym wszystkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym? Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej jak obecna chwila naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej polskości, która go dzisiaj określa?”

„A teraz dalsze pytania: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patriotą? Czy myśl wyłożona wyżej w ostatecznym wyniku wzmacnia, czy osłabia naród? Bo przecież Polska składa się z Polaków. Czy więc ci co mają na widoku jedynie doraźne interesy Polski, nigdy zaś własną godność, uczciwość, własny rozum, własne uzdolnienia, ci co oddają się fałszowaniu rzeczywistości, jakiejś taniej i niemądrej propagandzie, albo wprost głoszą konieczność rezygnacji z własnego „ja” na rzecz ślepej dyscypliny, mającej wytworzyć tę upragnioną moc, albo zmuszają siebie i innych do miłości i wiary — czyż oni na dalszą metę nie przekreślają wszelkich możliwości rozwojowych narodu? Cóż wart jest naród złożony z ludzi sfalszowanych i zredukowanych? Z ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić

na żaden szerszy, swobodniejszy odruch z obawy, by im się ten naród nie rozpadł?”.

„Ten dylemat, powtarzam, nie jest dziś obcy inteligentnemu Polakowi, podobnie jak i innym obywatelom świata współczesnego. Wielu Żydów i Niemców, Francuzów i Włochów i Rosjan (i na pewno wielu Polaków w Kraju) wielu ludzi, których narody brną z katastrofy w katastrofę, zaczyna rozumieć, że naród to nie tylko coś pięknego i wzniosłego — że to coś niebezpiecznego przed czym należy mieć się na baczności... A myśl ta łączy się z inną szerszą myślą — o powszechnej deformacji, o nieuniknionej sztuczności człowieka, o tym iż musielibyśmy także zrewidować sam nasz stosunek do formy”.

„Sygnalizuję tutaj jedynie w kilku słowach niektóre z punktów wyjściowych 'Trans-Atlantyku'. Ale dla wielu krytyków ten kompleks zagadnień to jedynie 'dezercja' budząca odrazę. Kiedyż wreszcie polska krytyka zdobędzie się na nieco poważniejsze podejście do literatury? Jakże łatwo piszą się felietony w rodzaju tego, z którym tu polemizuję, a który nosi tytuł 'Dlaczego nasza emigracja nie wydaje wielkiej literatury?'. Wywody autora pozwolę sobie uzupełnić jak następuje: wielka literatura jest przedsięwzięciem które wymaga rozmachu, polotu, swobody i dumy, a przede wszystkim woli, aby być kimś, by nie poddawać się światu ale świat stwarzać. Literatura prawdziwa łatwo może obejść się bez zasiłków, propagandy, popularyzacji, konkursów, nagród, ba — nawet bez czytelników i krytyków, ale jednego musi się domagać: aby jej nie trywializowano. I póki społeczeństwo polskie nie nauczy się cenić tej woli twórczości, jaka cechować powinna każdy istotny wysiłek literacki, póty będzie miało 'wielką literaturę' na jaką zasługuje”.

Tak wtedy pisałem. Teraz chyba, w świetle tej mojej polemiki, zrozumiecie jasno istotę sporu w który jestem zawikłany. Moi oponenci twierdzą, że siła polska leży w podporządkowaniu się życiu zbiorowemu. Ja jestem zdania, że na to aby jakakolwiek grupa społeczna stała się silna, żywotna, twórcza, każdy z jej członków musi mocno stanąć na własnych nogach, nieustępliwie bronić autentyczności własnego, indywidualnego życia.

Spróbujmy przewekslować tę myśl na teren waszej walki z bolszewizmem.

Ta doktryna komunistyczna, rzecz jasna, godzi w jednostkę. Dąży do poddania jednostki masie. A więc najbardziej fundamentalny bój rozgrywa się tutaj: pomiędzy człowiekiem, który chce przeżyć *naprawdę* swoje życie, a ciśnieniem zbiorowym które zamienia go w numer, w tryb, w marionetkę. Żadna przeto walka komunizmu z innymi siłami zbiorowymi, czy to będą

narody, siły wojskowe, organizacje ideowe, nie jest w tym stopniu bezpardonowa co walka ze zwykłą szczerością ludzkiego, prywatnego uczucia.

Jeśli zatem chcecie oprzeć się komunizmowi, to nie dokonacie tego w sposób należycie ostateczny i zasadniczy, przeciwstawiając mu naród czy inny jakiś ośrodek zbiorowej siły. Człowiek, który nauczył się poświęcać siebie na rzecz narodu może przecież wyrzec się siebie także na rzecz proletariackiej czy innej dyktatury. A także nie zapominajmy, że w obecnych polskich warunkach ta siła zbiorowego oporu jest w ogóle nie do wytworzenia: wszak niedozwolona wam jest dzisiaj żadna organizacja, nie macie państwa, rządu, wojska, parlamentu.

Jedyne co pozostaje dziś Polakowi, to on sam — on sam jako siła indywidualna, egzystencja osobna i suwerenna, własny niezdobyty świat. Dlatego mnie wydaje się, że nigdy w kulturze polskiej nie był bardziej na czasie wysiłek zmierzający do tego iżby to „ja” każdego z nas zostało odnalezione, oczyszczone, żeby stało się kategorią. Nieprawda, że jesteśmy narodem indywidualistów. Indywidualizm nasz był anarchią, nie (*koniec zdania nieczytelny*).

Oto mój pogląd. Jest to pogląd jak każdy inny — słuszny lub niesłuszny. Jak widzicie, ja nie obwiam moich opinii w bawelne, przeciwnie, chcę aby ukazały się wam w całej swojej bolesnej i nawet tragicznej ostrości. Chcę mówić poważnie i szczerze w imieniu mojego życia i życia każdego z was. Ale na to oblicze moje rzucają się gęby urzędników waszego reżymu, którzy w ogóle już zapomnieli jak wygląda ich własna twarz, jak brzmi ich głos naturalny i te maski, obskakując mnie, ryczą: potwór, renegat, zdrajca!

Witold GOMBROWICZ

Przekaz wiadomości

„Przekaz wiadomości”, „Środki masowego przekazu” — to są terminy stosunkowo niedawno wprowadzone do polskiego żargonu socjologicznego. Przekaz wiadomości jest nazwą obejmującą całe obszerne terytorium konceptualne, którego poszczególnymi „prowincjami” będą: informacja, reportaż, popularyzacja, instrukcja, propaganda itd.

Wyraz „informacja” ma dwa, wyraźnie różne znaczenia. Jedno w mowie potocznej i języku literackim, a drugie w terminologii technicznej i naukowej. Dziedziny zastosowania tych odmiennych znaczeń nie są jednak hermetycznie rozdzielone — pokrywają się one wzajemnie na wielu przestrzeniach, toteż dobrze jest uważać na kontekst, aby wiedzieć z jaką „informacją” ma się do czynienia.

W mowie potocznej informacja to jest wypowiedź, która stanowi element wiedzy, otrzymanej w wyniku doświadczenia, studiów, czy pouczenia.

Natomiast w języku technicznym i naukowym uwaga zwrócona jest nie tylko na zawartość treściową informacji — na to co ona głosi — ale i na to jak jest ona przekazywana i otrzymywana z przekazu, oraz, przede wszystkim, jaką spełnia funkcję. Informacja zawarta w przekazanej wiadomości jest rozstrzygnięciem jakiejś sytuacji, która z zasady ma pewną liczbę możliwych, alternatywnych rozwiązań.

Informację możemy uważać za rozwiązanie niepewności, a ponieważ niepewność może mieć przypisaną wielkość, zależną od liczby możliwych alternatywnych rozstrzygnięć, przeto tak rozumiana informacja staje się wielkością skwantyzowaną, a stąd może się stać przedmiotem analizy matematycznej.

Stworzona przed ćwierćwiekiem dopiero, przez dwie klasyczne już dziś prace: „Matematyczna teoria komunikacji” (C. E. Shannon), oraz „Cybernetyka” (N. Wiener), matematyczna analiza informacji stała się jednym z ważniejszych działów ma-

tematyki, który w wielu dziedzinach nauki i technologii dał wyniki o wielkim znaczeniu praktycznym.

W tym zakresie wysoce użytecznym okazał się binarny system notacji arytmetycznej. Ponieważ stosuje on tylko dwa symbole, mianowicie „0” i „1”, przeto każdy elementarny system fizyczny, który może przybierać jeden z dwóch możliwych stanów alternatywnych, stać się może jednostką operacyjną w dowolnym automatycznym systemie liczenia (i rozumowania). Na przykład zwykły dwubiegunowy kontakt elektryczny (także zawór wodny, gazowy itp.). W jednej pozycji kontakt jest zamknięty: prąd płynie, co może reprezentować symbol „1”. W drugiej pozycji kontakt jest otwarty: prąd przerywany, co oznacza symbol „0”. Symbole te mogą mieć znaczenie nie tylko arytmetyczne, ale również logiczne. Stąd też podobne, dwubiegunowe kontakty — elektryczne, elektronowe (tranzystory), fluidyczne, czy jakiegokolwiek inne — stały się podstawą techniki komputerów.

Znaczenie notacji binarnej w zagadnieniu informacji nie ogranicza się tylko do komputerów. W żywym organizmie jeden z rodzajów sygnalizacji (przekazu informacji) opiera się na systemie połączeń nerwowych (synapsy), w których działanie neuronów jest w istocie analogiczne do działania tranzystora: sygnał — zawsze taki sam — jest albo przekazany („1”), albo nie („0”). Różnice w sygnałach polegają tylko na częstotliwości wysyłanych impulsów. (Drugi rodzaj sygnalizacji w organizmie opiera się na zasadzie chemicznej — włączania do krwioobiegu substancji hormonalnych, które działają bezpośrednio i selektywnie na odpowiednie organy).

Binarny sygnał jest, oczywista, również informacją, a można go uważać za informację elementarną, wobec tego że istnieją tylko dwie najprostsze możliwości, które sygnał wskazuje. Matematycznie, wielkość takiej możliwości oznacza się jako pewien logarytm liczby dwa (mianowicie logarytm o zasadzie 2; pomijamy tu wyprowadzenie tych wzorów — nie o to tu chodzi) i uważa się za jednostkę informacji. Przyjęto dla niej nazwę *bit*, co jest skrótem złożonym z pierwszych dwóch i ostatniej litery wyrażenia „binary unit”.

Przekaz informacji jest związany z zespołem systemów operacyjnych, w którym zawsze można rozpoznać zasadniczy schemat, ten sam, niezależnie od zakresu i typu urządzenia przekazującego informację. Schemat ten można przedstawić jako kolejny ciąg elementów: (1) źródło informacji → (2) przekaznik (zwany też szyfrant) → (3) sygnał wejściowy → (4) kanał przekazu → (5) sygnał wyjściowy → (6) odbiornik (tj. deszyfrant) → (7) efekt informacji. W kanale przekazu z zasady (ale niekiedy i w innych elementach systemu) dołącza się uboczny sygnał, zwany „szumem”, co sprawia że sygnał wyjściowy może być mniej lub więcej różny od wejściowego. Zatem odtworzenie przez odbiornik informacji pierwotnej nie zawsze jest łatwe, co, naturalnie, wpływa na efekt informacji.

Ponieważ w tym zakresie pojęciowym informacja jest zjawiskiem, które ma wielkość dającą się wyznaczać w bitach, przeto zdolność przepustną systemu przekazu można określać w bitach na sekundę, oraz charakteryzować wielkością szumów (czyli deformacji) dodawanych do sygnału.

Informacja jest czynnikiem, który rozstrzyga wątpliwość przez wskazanie jednej z różnych możliwości. W ten sposób staje się ona jakby wprowadzeniem pewnego uporządkowania do zasadniczego chaosu możliwości — a więc działa odwrotnie niż entropia w układzie termodynamicznym. Toteż w przedstawieniu matematycznym informacja otrzymuje postać tego samego wzoru co entropia, tylko ze znakiem odwrotnym (tj. minus).

Ponieważ informacja wskazuje jakąś możliwość, rozstrzyga jakąś wątpliwość, przeto komunikacja informacyjna może się odbywać tylko pomiędzy czynnikami (osobami, neuronami i innymi komórkami żywymi, ale także automatami i komputerami), które mają jakieś wspólne zagadnienie, wspólny cel, czy wspólne zainteresowania. Informacja może prowadzić do pewnego zmodyfikowania postawy, czy postępowania, albo też pozwala wyznaczyć zakres i stopień w jakim komunikujące się strony są zgodne lub sprzeczne, ale komunikacja będzie niemożliwa między czynnikami, których sfery zainteresowań nie mają płaszczyzn styecznych.

Można by powiedzieć, że z informacją — i to w najszerzym znaczeniu — sprawa przedstawia się tak, jak z muzyką według znanego określenia Beethovena. Winna ona równocześnie prezentować elementy i zaskakujące i spodziewane. Informacja może dawać rozwiązania nowe i zaskakujące, ale tylko w zakresie możliwości spodziewanych, lub przynajmniej dostrzegalnych. Jeżeli jest nie dość elementu zaskakującego, to odbiorca będzie znudzony i przerwie kontakt. Jeżeli natomiast będzie za mało możliwości dostrzegalnych, to informacja do niego nie dotrze. (*Nota bene* to właśnie stanowi istotne zagadnienie dla prasy i innych środków masowego przekazu — dla których ostatnio ukuto w Polsce — z błogosławieństwem prof. Doroszewskiego — neologizm „publikatory”).

Komunikacja jest możliwa tylko poprzez informacje zawierające pewien stopień nowości na tle kontekstu, który jest znany i rozumiany. A kontekst, pojęcie, czy zjawisko „rozumiane” to znaczy takie zjawisko, w którym dopatrzeć się możemy istnienia związku z odpowiednią koncepcją podstawową. Dlatego też „rozumienie” wcale nie musi oznaczać stanu ostatecznego i kolejne informacje mogą wpływać na jego zmiany.

Starożytni Grecy „rozumieli” dlaczego przedmioty materialne spadają na ziemię (lub w głąb studni), gdyż skonstruowali sobie podstawową koncepcję „sympatii”. Przedmioty pochodzące z ziemi i przez to mające jej „naturę” (tj. kamienie, metale, rośliny itd.) są w stosunku do „łona” ziemi w stanie „sympatii”, która je zmusza do podążania w kierunku środka ziemi. Przedmioty takie jak „ogień”, mające naturę słoneczną, dążą w górę, tj. ku

słońcu. Księżyc, którego natura nie jest ani ziemską ani słoneczną, jest zawieszony w przestrzeni wypełnionej powietrzem (elementem, nie tym zwykłym gazem którym oddychamy), a poruszając się rozgarnia i wzburza to powietrze. Wzburzenie takie sięga aż do ziemi i tu powoduje przypływ i odpływ morza, o których starożytni wiedzieli że są związane z ruchami księżyca.

Newton zmodyfikował to „rozumienie”, wprowadzając nową koncepcję podstawową, a mianowicie „siły” ciężenia powszechnego, obejmującego jednakowo wszystkie ciała materialne całego wszechświata. Z kolei Einstein doszedł do wniosku, że trudno sobie matematycznie (i filozoficznie) poradzić z pojęciem siły działającej na odległość i zastąpił ją koncepcją „krzywizny przestrzeni”. Mimo że ta koncepcja pozwala rozumieć także i pewne zjawiska niewytłumaczalne przy koncepcji Newtona, sam Einstein bynajmniej nie traktował swej teorii jako prawdę „absolutną”, a tylko jako dalszy stopień zbliżenia się do rzeczywistości, która wciąż jeszcze zostawia miejsce dla dalszych, przyszłych, doskonalszych koncepcji.

W ten sposób zdobywanie, formułowanie i przekazywanie informacji jako czynnika, który pozwala na kształtowanie ogólnych, podstawowych koncepcji, na coraz dalsze ich udoskonalanie, coraz lepsze przybliżenie do rzeczywistości — jest czynnością otwartą, stałą, nie mającą przewidywalnego terminu zakończenia.

Czynność ta stanowi treść działania tych wszystkich, których nazywamy scjentyistami, czy pracownikami naukowymi. Jest to personel — w skali światowej — ogromnej dziś liczby akademii i instytucji naukowych, stacji doświadczalnych, zakładów i wydziałów naukowo-badawczych licznych przedsiębiorstw przemysłowych, a przede wszystkim uniwersytetów i specjalnych uczelni akademickich (w których zresztą personel naukowy, poza zadaniem zdobywania i formułowania informacji, wypełnia jeszcze drugą funkcję — kształcenia nowych kadr, zarówno naukowców, jak praktyków w najrozmaitszych dziedzinach technologii).

Niełatwo jest zdać sobie sprawę z faktu, że gdybyśmy sporządzili spis wszystkich na świecie scjentyistów, pracowników naukowych i technologów od początków historii cywilizacji po dzień dzisiejszy, to ponad 90 % osób w takim spisie stanowiliby ludzie żyjący — czynni w obecnej chwili. Tłumaczy to w dużym stopniu dlaczego ogólna liczba informacji naukowych wzrasta z szybkością funkcji wykładniczej.

Bieżące informacje naukowe są z zasady publikowane nie w wydawnictwach książkowych, ale w czasopiśmie specjalnych, w formie raportów. Ogólna liczba takich naukowych czasopism specjalnych przekracza obecnie liczbę stu tysięcy. (Z ocen dokonanych przez pracowników bibliotek specjalnych wynika, że z całej tej olbrzymiej masy bieżącej informacji naukowej około 50 % jest drukowane w języku angielskim. Na każdy z języków: rosyjski, niemiecki i francuski (w tej kolejności) przypada po

12 do 18 %. Pozostałe około 5 % informacji przypada na wszystkie inne języki świata).

Ogólna liczba publikowanych informacji naukowych jest tak olbrzymia, że naukowiec zajęty pracą badawczą w jakiejś, nawet wąskiej dziedzinie badań — gdyby chciał śledzić, co w interesującym go temacie robią inni pracownicy naukowcy na świecie, to w dziesięciogodzinny program dzienniej pracy mógłby tylko jedną godzinę przeznaczyć na przeprowadzanie własnych obserwacji i doświadczeń, a całą resztę czasu musiałby spędzać na czytaniu bieżących raportów naukowych. To jest oczywistą niemożliwością, wobec czego powstały nowe, dodatkowe czasopisma, które drukują tylko kilkuwierszowe streszczenia raportów naukowych z jakiejś określonej dziedziny, opublikowanych w kilkunastu czy kilkudziesięciu czasopismach specjalnych (w różnych językach), tak, aby zainteresowany naukowiec mógł szybko wybrać raporty, które bezpośrednio odnoszą się do jego badań aktualnych.

Z każdym rokiem coraz bardziej palące staje się zagadnienie usystematyzowanego gromadzenia, przechowywania i rejestracji informacji naukowej, tak aby można było łatwo odszukać dane, które w tej chwili stają się potrzebne, albo sprawdzić czy zamierzona seria badań nie była już gdzieś przez kogoś przeprowadzona i jeżeli tak, to z jakimi wynikami.

Naukowe dzieła książkowe są albo obszerniejszymi zestawieniami wyników badań w grupie zbliżonych, lub wzajemnie uzupełniających się zagadnień, często prowadzonych w jednym zakładzie naukowym pod kierownictwem jednego uczonego, albo są to podręczniki studenckie (na różnym poziomie studiów). Niekiedy są to dzieła popularyzacyjne, przeznaczone nie dla specjalistów w danej dziedzinie badań, ale dla naukowców innych specjalności, albo nawet dla szerszego grona czytelników. W tym też zakresie działa poważny reportaż naukowy w prasie ogólnej i innych środkach przekazu, obsługując tych wszystkich którzy potrzebują informacji naukowych, zdając sobie sprawę z tego, że kształtowanie się koncepcji ogólnych nawet w zakresach specjalnych ma istotny wpływ na wszystkie dziedziny życia społecznego, a więc i tych, których u nas zazwyczaj określa się mianem „inteligencji”, lub „intelektualistów”.

„Inteligencja” w tym kontekście nie ma, oczywiście, nic wspólnego z terminem, którego wszystkie wieloletnie wysiłki psychologii eksperymentalnej nie zdołały określić ani zdefiniować w sposób zadowalający wszystkie wymagania naukowe. Znaczna większość współczesnych psychologów zgodna jest w opinii że IQ, czyli tzw. „współczynnik inteligencji”, który na ogół doskonale koreluje się z osiągnięciem dyplomów akademickich, czy promocji oficerów zawodowych, nie jest bynajmniej wskaźnikiem zdolności umysłowych i twórczych, które pospolicie pojmowane są pod nazwą inteligencji.

Tu, na marginesie, warto by może przypomnieć, że termin „inteligencja” dla oznaczenia warstwy społecznej, na ogół niezna-

ny na Zachodzie, został wynaleziony i wprowadzony w Rosji w XIX stuleciu jako specjalna rubryka w aktach policji politycznej, „Ochrany”. W ten sposób Ochrańa oznaczała tych wszystkich swoich „klientów” aktualnych i potencjalnych, którzy mieli wykształcenie uniwersyteckie. W Polsce (pod zaborem rosyjskim, czyli w tzw. „Kongresówce”) nazwa „inteligent” przyjęła się z początkiem XX wieku w zastosowaniu do tych, którzy mieli wykształcenie w zakresie matury gimnazjalnej, albo równorzędne wykształcenie „domowe” o ile byli pochodzenia „szlacheckiego”.

Rozpowszechniający się ostatnio, również i na Zachodzie, termin „intelektualista” jest znacznie starszego pochodzenia i wywodzi się od humanistów ze średniowiecznych uniwersytetów europejskich. W zasadzie oznacza on tych wszystkich, którzy biorą bezpośredni udział w tworzeniu, dyskusowaniu i przekazywaniu idei, szczególnie w zakresie zagadnień artystycznych, społecznych i politycznych. Stąd też intelektualisci są traktowani z podejrzliwością i mniej lub więcej jaskrawą niechęcią przez biurokratów — urzędników instytucji konserwatywnych, szczególnie, w takim czy innym zakresie, totalitarnym.

Zjawisko reportażu naukowego, jako metody przekazu informacji z zakresu nie tylko nauki, ale także, a może nawet przede wszystkim technologii, nasuwa szereg trudności wcale nie łatwych do rozplątania. Wchodzi tu w grę stanowisko odbiorców, które złożone jest z dwóch czynników, występujących w rozmaitej proporcji, ale zawsze obecnych łącznie. Jednym jest traktowanie reportażu jako „rzeczy do czytania” — jako utworu rozrywkowego. To od razu piętrzy trudności czysto techniczne, rozdzielając gromadę czytelników na szereg odrębnych grup. Dla każdej z nich „rozrywkę” stanowić będzie nieco inny wątek, nieco inne zabiegi formalne przekazu. Drugim czynnikiem jest szukanie w reportażu materiału informacyjnego, uzupełniającego czy aktualizującego posiadany багаż intelektualny.

Z drugiej strony postawa autora i redaktora, czy wydawcy również ma dwie strony podejścia do zagadnienia. Jedno jest informacyjne, stanowiące popularyzację danych faktycznych i koncepcji teoretycznych przez streszczenie, zastąpienie terminologii specjalnej i żargonu fachowego językiem literackim, pominięcie zarówno nieczytelnych dla laika wzorów matematycznych, jak nużących zestawień tabelarycznych, łączenie informacji z różnych dziedzin wiedzy itd. Drugie podejście jest publicystyczne, stanowiące propagandę pewnych poglądów, postaw filozoficznych, czy działań. (Albo w postaci formułowania tego zjawiska które nazywa się „opinią publiczną”, albo też usiłowania wprowadzenia do niej zmian, czy jej zaktywizowania).

Reportaż naukowy zazwyczaj nie dotyczy tzw. nauk humanistycznych, a tylko wyjątkowo zapuszcza się na tereny dyscyplin czysto spekulatywnych, jak matematyka, teologia, czy filozofia. Obejmuje on głównie dziedzinę technologii, to jest dyscyplin najróżniejszych rodzajów, które wykorzystują odkrycia i zdobycze

nauk z zakresu „historii naturalnej”. Związane jest to, być może, z faktem, że w dziedzinach humanistycznych postęp naukowy nie przynosi nic takiego, co stanowiłoby przewrót intelektualny w sensie anachronizowania dotychczasowego dorobku. Ani aktualnie ani potencjalnie. A poza tym wiedza w tym zakresie operuje elementami które wszystkie są bezsprzecznie posiadane przez ogół intelektualistów i inteligentów, a zatem są dla nich dostępne i przyswajalne w postaci oryginalnej, bez żadnego pośrednictwa „ułatwiaczy”, którzy mniej lub więcej zgrabnie praktykują zwykłą „łopatologię”.

(Pejoratywny odcień terminu „łopatologia” jest raczej świeżej daty. Stworzony, jak się zdaje, przez Prusa w jednym z jego sławnych felietonów w *Kurjerze Warszawskim*, wywodzi się z dawnego porzekadła „wyłożyć jak na łopacie”. Nie pamiętamy już że mowa tu jest o łopacie piekarskiej, na której się „wykładało” do pieca bochenki chleba, aby go zapełnić pieczywem. Jeszcze dla Szobera „łopatologia” znaczyła — „w sposób łatwy i dostępny tłumaczyć co komu”. Ale już dla jego dawnego asystenta, Doroszewskiego, w jego powojennym słowniku termin ten spadł w randze do „tłumaczenie czegoś w sposób prymitywnie prosty”).

J. P. HORZELSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

**MATERIAŁY DO REFLEKSJI
I ZADUMY**

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów
świeznego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Wilno czasów obecnych

Losy ziem, które były częścią składową Rzeczypospolitej nie powinny być obojętne dla czytelnika polskiego na Zachodzie. Szczególnie dotyczy to Wilna, które w ciągu wieków wywarło tak decydujący wpływ na kształtowanie się historii i kultury polskiej. Prawdziwą kopalnią wiadomości o powojennym Wilnie jest książka adresowa wydana tam w roku 1964*; na niej też w większości (ale nie wyłącznie) opiera się obecny artykuł. Naturalnie nie należy zakładać, że nic się nie zmieniło w Wilnie od wydania tej książki adresowej do dnia dzisiejszego.

Pomiędzy 1939 a 1964 ludność Wilna wzrosła liczbowo — według danych sowieckich — o 30 % (z 215 do 280 tys.), lecz także rozszerzono granice miasta, więc w rezultacie ilościowo właściwie większe zmiany nie nastąpiły. Jeżeli jednak chodzi o skład ludności, to, jak wiadomo, zaszły zmiany zupełnie zasadnicze: dwie największe grupy etniczne, tj. Polacy i Żydzi, zostały zdziśiatkowane, ludność autochtonicznej niewiele pozostało na miejscu i język większości zmienił się na rosyjski.

Nazwy ulic są niezmiernie ciekawym wykładnikiem tradycyjnych składników i bieżących nacisków politycznych, i ich analiza rzuca światło na hierarchię poszczególnych czynników w przekształcaniu władz. Jest od razu widoczne że przy nadawaniu obecnych nazw nie potraktowano całego zagadnienia jako *tabula rasa*, lecz przyjęto przedwojenne nazwy jako punkt wyjściowy i wprowadzono zmiany podyktowane przez historiozoficzne i polityczne nakazy chwili. Historyczne miejscowe nazwy, jak Antokol, Rossa, Ponary, Subocz, itd., z reguły utrzymano — oficjalnie w ich litewskiej wersji: Antakalnis, Rasos, etc. Inne nazwy przetłumaczono na litewski; niektóre z nich łatwo rozpoznać, jak Żverynas (Zwierzyniec) czy Vilkipede (Wilcza Łapa), inne jednak brzmią po litewsku zupełnie inaczej niż po polsku, np. Užupis (Zarzeczce); Zakret bezceremonialnie potraktowano jako

* *Vilnius, adresno-sprawocznaja kniga*, Izdat. Mintis, V., 1964, 247 str.

zakręt i przetłumaczono na Vingis, co musi oburzać każdego Wilnianina. Nazwy pospolite po prostu przetłumaczono: Mostowa = Tiltło, Dębowa = Ażuolu, Bracka = Brolio itp.; w tej kategorii mieści się duża ilość ulic, przeważnie krótkich, i mało znaczących, których nie wypadało nadawać wielkim osobistościom.

Litewskie nazwy, szczególnie napisane rosyjskim alfabetem, często wyglądają naprawdę „pogańsko”: są po prostu nie do wymówienia, i na pewno sprawiają kolosalne trudności licznej rosyjskiej ludności miasta, która też stara się sytuację uprościć przez wprowadzenie nieoficjalnych wersji tych nazw. Jak wynika z omawianego podręcznika, nieoficjalne wersje są dwóch rodzajów: russyfikacja (szczególnie końcówek) oficjalnych litewskich nazw, i używanie dawnych nazw polskich. Russyfikacja występuje wówczas gdy nazwa dotyczy kraju słowiańskiego, więc: Krasnoj Armii, Sierakowskiego, Kupały. Dawne polskie nazwy podręcznik podaje w nawiasach prawie we wszystkich wypadkach, najwidoczniej więc są w użyciu i dla Rosjanina są bez porównania „łatwiej strawne” niż litewskie. Dzięki temu zbiegowi okoliczności rosyjska ludność Wilna przyczynia się w pewnym stopniu do podtrzymania polskich tradycji miasta; charakterystyczny przypadek — ulicę Dobrej Rady — omawia się poniżej.

Potęga supremacji rosyjsko-sowieckiej odzwierciedla się w nazwach nadanych wielu ważnym ulicom miasta, szczególnie:

Kutuzowa (dawniej pl. Napoleona), Suworowa (Sapieżyńska), Czajkowskiego (Hetmańska), Gogoła, Przewalskiego (Wiwulskiego), Miczurina (Sołtaniżki), Gorkiego (połączone ul. Zamkowa, Wielka i Ostrobramska), Lenina (Mickiewicza i pl. Łukiski), Dzierżyńskiego (południowa część Kalwaryjskiej), Czerwonej Armii (Legionowa), Czerniachowskiego (pl. Orzeszkowej i most na miejsce Zielonego), Komunarów (Dąbrowskiego), Gagarina, Komсомolska-Komjaunimo (Zawalna), Pionierów (Królewska) i Liepos 21 (21 Lipca — data deklaracji w 1940 roku przez specjalnych delegatów, że Litwa jest republiką sowiecką) ul. 3 Maja i Góra Bouffałowa).

Jeżeli chodzi o historyczne postacie litewskie, to ich „stan posiadania” jest dość skromny, mianowicie upamiętniono Mendoga (dawna ul. Słowackiego), Gedymina (pl. Katedralny), Olgięda (Piłsudskiego), Kiejstuta (Gedyminowska). Za to wszystkie postacie związane z unią z Polską nie zostały uznane za godne upamiętnienia. Nawet wielki Witold zaledwie pozostał przy swojej ulicy na Zwierzyńcu, przydzielonej mu za polskich czasów, zaś Jagiełłę i wszystkich jego potomków pominięto całkowicie. Z głów niekoronowanych z czasów unii nie uwzględniono także nikogo, poza jednym i to dość niespodziewanym wyjątkiem Rejtana, któremu pozostawiono jego ulicę przy dalekiej szosie Niemenczyńskiej. Pominięto także całkowicie przywódców niepodległej Litwy XX-go wieku. W rezultacie następnym po Witoldzie władcą Litwy, upamiętnionym w Wilnie, jest dopiero

Kapsukas, głowa rządu sowieckiego w roku 1918 (faktycznie więc uznano 500 lat litewskiej historii za niewarte upamiętnienia), któremu nadano dawną ul. Jagiellońską i nazwano jego imieniem uniwersytet Stefana Batorego. Paleckisa, komunistycznego przywódcę z roku 1940 i lat późniejszych dotychczas nie uwzględniono.

Prócz tego jest cała masa nazwisk innych nowszej daty Litwinów, wśród których wyróżniają się malarz Cziurlonis (dawniej ul. Zakretowa) i pisarz Cwirko (połączone ul. Gdańska, Portowa i Jakuba Jasińskiego, obecnie przedłużona poprzez Tartaki do Wilii), ale na ogół są to nazwiska na szerokim świecie w ogóle nieznane i przypuszczalnie w większości związane z komunizmem. Takich ulic „nieznanych Litwinów” jest 40, a najważniejsze z nich to: Giry (Wileńska), Janonisa (Marii Magdaleny), Pożęły (Zygmuntowska i 1-szej Konnej Baterii, ta ostatnia uporządkowana i zabudowana), Basanaviciusa (Wielka Pohulanka) itd. Gazeta *Tiesa* (Prawda) posiada własną ulicę (Św. Anny).

Nazw ulic związanych z Polską centralną jest mało, chyba jedynie Krakowska, Warszawska i Chopina — wszystkie przedwojenne. Co do tej ostatniej, warto zaznaczyć na marginesie, że zwykle figurowała ona w niechlujnej formie polskiej fonetycznej pisowni, co dało sceptykom powód do wątpliwości czy upamiętnia ona wielkiego kompozytora, czy też miejscowy browar. Zdaje się, że dziś Litwini kontynuują tę brzydką tradycję w swojej pisowni.

Jeśli idzie o Kraków, to warto przypomnieć, że według Mackiewicza, Valdemaras uważał że jest w nim więcej litewskich pamiątek niż w Kownie — tak blisko dwa narody były ze sobą związane.

To samo można zauważyć ze znacznej ilości ulic w dzisiejszym Wilnie, poświęconych pamięci polsko-litewskich postaci historycznych. Mickiewicz, wielki piewca tego kraju i miasta, niestety musiał ustąpić miejsca Leninowi i jego ulica jest obecnie na Zwierzyńcu, tuż za mostem (dawna Tomaszka Zana); także centralna biblioteka miejska jest im. Mickiewicza. Natomiast Filareci, Ogiński, Syrokomla, Kraszewski i Moniuszko pozostali przy swoich przedwojennych ulicach. Pominięcie Słowackiego jest chyba usprawiedliwione, gdyż on miłością do Wilna nie pałał, chociaż spędził tu znaczną część swego życia.

Upamiętniono także bohaterów walk zbrojnych przeciwko caratowi: ulice Kościuszki, Sierakowskiego i Konarskiego noszą dawne nazwy; dodano ulicę Kalinowskiego (Mała Pohulanka), białoruskiego powstańca 1863 roku, który w polskim Wilnie był niestety pominięty. Podobnie pominięty dawniej wielki architekt Gucewicz, twórca wileńskiego neoklasycyzmu, ma obecnie swoją ulicę (dawniej Bonifraterska). Szczodrze potraktowano Tadeusza Wróblewskiego, prawnika i fundatora biblioteki (choć był on polskim „kapitalistą” i to w tak niedalekiej przeszłości — zmarł w roku 1925), nadając mu eksponowaną ul. Arseńską. Dawna ul. Rydza-Śmigłego nazywa się obecnie W. Mont-

wiły; widocznie nie chodzi tu jednak o znanego społecznika i filantropa, bo jemu na imię było Józef.

Spośród ukraińskich i białoruskich pisarzy upamiętniono Szewczenkę (dawniej Szeptyckiego), Kupałę (Litewska) i Skorynę (raczej nieproporcjonalnie nieznaczna Dobra na Zakrecie). Natomiast zignorowano w ogóle przedwojenną wileńską grupę polskich komunistów, chociaż tyle się oni natrudzili dla dobra Kraju Rad; nawet nie uwzględniono Henryka Dembińskiego, który zginął z rąk niemieckich, miał więc poważne kwalifikacje do osiągnięcia piedestału.

Dwa ważne składniki wileńskiej tradycji wyeliminowano z nazw ulic, mianowicie religię i Żydów. Z dawnych nazw w dzielnicy żydowskiej pozostały tylko neutralne: Szklana (Stikło) i Rudnicka (Niemiecka nazywa się obecnie Muzealna); znikły takie barwne nazwy jak Geona, Staro-Szlachturna i Straszuna, zamieniono je przeważnie na „nieznanych Litwinów”. Natomiast na Zwierzyńcu pozostawiono ul. Karaimską. Z nazw religijnych usunięto nie tylko katolickie (szczególnie liczne nazwy związane ze świętymi i zakonami) ale także prawosławne (ul. Cerkiewna, Popowska) i nawet mahometańską (Meczetowa). Kilka wyjątków od tej reguły istnieje jednak na peryferiach. Na przykład przedmieście Jerozolimka zachowało tę nazwę (przypuszczalnie można ją uważać za nazwę o charakterze religijnym). Sąsiednie przedmieście Kalwaria i północna część ul. Kalwaryjskiej także zachowały swe nazwy; brak danych co do tego czy sama Kalwaria nadal istnieje. Należy tu też wspomnieć bardziej skomplikowaną sprawę ul. Dobrej Rady (jak Wilnianie chyba pamiętają, była to boczna od Legionowej, mieścił się tam garaż miejskich Arbonów i przechodziła linia Nr 6, Cerkiew — Dobrej Rady). Otóż wygląda, że jej obecna litewska nazwa, transliterowana z pisowni rosyjskiej — jest Gerasios Viltės, co według słownika znaczy Dobrej Nadziei; z omawianej książki jednak wynika, że Rosjanie nadal używają nazwy Dobraja Rada (jak wiadomo „rada” nie jest słowem rosyjskim). Można przypuszczać, że zmiana z Rady na Nadzieję nastąpiła ze względów prestiżowych: rada musiałaby się stać sowietem, a nazwa Dobry Sowiet byłaby równoznaczna z wypowiedaniem sądu o czymś co jest poza dyskusją; wszystkie sowiety są dobre, nie ma złych! Trudniej wyjaśnić czemu rozmyślnie utrzymano nazwę ul. Litanii Loretańskiej, tej tak mało ważnej ulicy na przedmieściu, gdy usunięto bez pardonu nazwy związane z Ostrą Bramą i św. Kazimierzem, tak potężne w tradycji miasta.

Z humorystycznych nazw wileńskich ulic, Piekietko — które zresztą było całkiem przyjemną ulicą — ma obecnie nazwę piosenkarską — Dainavos, zaś zaułek Rajski, który był naprawdę brzydki — lecz według Putramenta wywodził swą nazwę od luksusowego domu publicznego mieszczącego się tamże, obecnie nosi nazwę jednego z „nieznanych Litwinów”, Vanegelisa.

Jak przystało na stolicę kraju z ogólnym planowaniem, Wilno posiada całe masy władz i urzędów, które mają sterować

każdą fazą życia obywateli. Prezydium Najwyższego Sowietu Lit.SSR, czyli zbiorowa głowa państwa, mieści się w dawnym pałacu arcybiskupim przy Marii Magdaleny, odbudowanym przez Jałbrzykowskiego na kilka lat przed wojną. Centralne organy bezpieczeństwa zajmują dawne budynki województwa i sądów, instytucje wojskowe mieszczą się przeważnie wokół pl. Kutuzowa (Napoleona), ale największa koncentracja urzędów i instytucji występuje na prospekcie Lenina (ul. Mickiewicza). Po stronie numerów nieparzystych (tj. po tej gdzie była kawiarnia Rudnickiego) znajdują się m.in.: Akademia Nauk Litwy, reprezentacyjne kino Vilnius, główna poczta, CK KP Litwy (dawniej Bank Polski), centralna księgarnia, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Gosplan Lit.SSR (dawniej kasyno garn.), Ministerstwo Produkcji Rolnej, agencja prasowa Elta, Ministerstwo Zdrowia, Centralny Urząd Statystyczny, Gorispolkom tj. magistrat, i Czerwony Krzyż. Zaś po drugiej stronie: Rada Ministrów, litewski teatr dramatyczny (dawniej Lutnia?), Gosbank Litwy, Klinika nr 1, Instytut Historii Partii, Komsomoł Litwy (dwa ostatnie to nowe budynki wzniesione niedługo przed wojną naprzeciwko pl. Orzeszkowej (zgodnie z projektem Kuny, jako tło planowanego pomnika Mickiewicza), centralny Uniwermag (B-cia Jabłkowsky), hotel i restauracja Vilnius (George'a i Zielony Sztral), biuro handlu zagranicznego, główna prokuratura, dyrekcja radia, Gorkom KP, K.G.B. (dawniej sądy), Instytut Sztuki wraz z konserwatorium muz. (dawniej gimnazjum Lelewela/Orzeszkowej).

Dyrekcja kolei (Okręg Nr 5 Przybałtyckiej Żelaznej Drogi) zajmuje tenże duży budynek górujący nad Wielką Pohulanką. Pełnomocnik Rządu do Spraw Kultów Religijnych urzęduje przy Zakretowej 5, a główny ZAGS (urząd stanu cywilnego) mieści się przy Zawalnej 8. Zresztą wszędzie jest pełno urzędów, nie tylko w centrum, ale i na przedmieściach.

Uniwersytet jest rozmieszczony po dawnemu: fakultety humanistyczny, ekonomiczny i prawniczy w głównym budynku, przyrodniczy, medyczny i matematyczno-fizyczny na Zakretowej, chemiczny na Nowogrodzkiej (Partyzantów); wydziałów nie tylko teologicznego ale i rolniczego nie ma, a sztuki piękne wydzielono jako niezależny instytut. W głównym budynku dziedzińce i sale noszą te same nazwy: Skargi, Poczebota, Lelewela, Smuglewicza. Pozostałe cztery wyższe zakłady naukowe to: Instytut Pedagogiczny (z fakultetem języka i literatury polskiej), Instytut Sztuki-Konserwatorium, wyższa szkoła partyjna i dwuwydziałowa filia kowieńskiej politechniki. Dzisiejsi Wilnianie widocznie nadzwyczaj chętnie garną się do nauki, podtrzymując tradycję o której w prospekcie Akademii na rok 1784 Franciszek Narwoysz, św. teologii doktor, Matematyk JKMości, pleban Sokoldzki, publiczny wyższej matematyki profesor powiedział: „... Litewskie dowcipy równie z drugimi Narodami, w których umiejętności od dawnego czasu zamieszkały się, są ochocze i przedziwnie zdatne”. W dzisiejszym Wilnie szkół technicznych, specjalnych i przeróżnych kursów jest bardzo dużo, niektóre z nazwami raczej „na

wyrost"; palma pierwszeństwa w megalomanii należy się niewątpliwie instytucji, która chce się nazywać „Oficerski Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu” i mieści się kątem w klubie wojskowym.

Szkół średnich ogólnokształcących ma Wilno 30, poza tym 3 internatowe, 11 ośmiolatek i 5 początkowych. Jedna z niewielu odrębności, które republiki bałtyckie potrafiły zachować to 11-letnia szkoła, podczas gdy w reszcie ZSSR obowiązuje dzieściolatka.

Teatry są trzy: opera i balet na Pohulance, litewski dramatyczny na Mickiewicza i rosyjski dramatyczny na Jagiellońskiej (czyżby dawne kino Helios z wejściem od tej strony?). Porządnej sali koncertowej nie ma i celom tym służy muzycznie „obojętna” stara tzw. Filharmonia, popularnie znana jako kino miejskie, upamiętnione w ludowej balladzie z refrenem „Cierp, cierp dusza moja a będziesz zbawiona, a jak nie wycierpisz będziesz potępiona”. Prócz stałej orkiestry filharmonicznej istnieje także kwartet kameralny. Wydaje się, że jednak muzyka poważna nie cieszy się w Wilnie powodzeniem. Czy to wina wykonawców i sali, czy też publiczności — nie wiadomo.

Ilość muzeów znacznie się powiększyła, ale wydaje się wątpliwe czy to samo można powiedzieć o ich zawartości. Istnieją obecnie: muzeum historyczne w baszcie zamku, artystyczne w starym ratuszu, etnograficzne przy Zamkowej, krajoznawcze przy Trockiej, literackie na Antokolu, historii rewolucji w dawnym Towarzystwie Przyjaciół Nauk, antyreligijne w kościele św. Kazimierza i galeria obrazów w katedrze. (Co do św. Kazimierza, pewną pociechą może być, że według specjalistów, sowieckie muzea tego rodzaju zawierają z reguły znaczną dąż religijnego wallenrodyzmu). Na Ponarach istnieje muzeum przy masowych grobach niemieckich ofiar. Wreszcie są muzea w domach sławnych ludzi: Mickiewicza jak i przedtem na zaułku Literackim, Jakuba Kołosa w Kolonii Kolejowej (obecnie Povilnis), swoiście sławnego Dzierżyńskiego na Zarzeczcu i Puszkina w Markuciach (folwark ten należał do młodszego syna poety, Grigorja). Z pomników, w których (poza cmentarnymi na Rossie) Wilno nigdy nie było mocne, pozostały płyty na miejscach stracenia Sierakowskiego i Konarskiego oraz pomnik Moniuszki na Wileńskiej. Przybyły pomniki Lenina na pl. Łukiskim, Kapsukas na Wielkiej, Cwirki przy Zawalnej, Puszkina w Cielętniku i Czerniachowskiego na pl. Orzeszkowej; ten ładny skwer nie ma szczęścia: najprzód była na nim cerkiew upamiętniająca „*usmirenje polskiego miatieża*”, potem dość okropna fontanna, a teraz jeszcze brzydszy pomnik. Mickiewicz nadal nie ma pomnika w swoim własnym mieście. Swoją drogą ciekawe, że władze Litwy, chociaż wprowadziły w życie niektóre polskie plany urbanistyczne (np. na placu katedralnym), nie dokończyły już wspomnianego projektu Kuny przebudowy ul. Mickiewicza i wzniesienia tam pomnika wieszczą, co by podniosło niesłychanie metropolitalny charakter miasta (na czym zdaje się tym władzom

zależy) i dałoby mu perspektywę, co prawda nie à la Champs Elysées, ale porównywalną przynajmniej z edynburskim New Town. Pronaszkowy pomnik-monstrum na Pióromoncie na szczęście zlikwidowano już dawniej.

Kin jest w Wilnie 15, jedno z nich w dawnym zborze ewangelickim na Zawalnej, sławnym z rozwodów.

Transport ciężarowy jest zakazany na szeregu ulic, m.in. Wileńskiej, Mickiewicza, Jagiellońskiej i części Zawalnej i Małej Pohulanki, a na Mickiewicza są zakazane także motocykle, mopedy i rowery. Kwiatek gospodarki planowanej: z kilkunastu stacji benzynowych, jedyna przeznaczona dla osobowych samochodów prywatnych znajduje się aż na Bołtupiu, 4 km. od centrum miasta. Komunikacja miejska jest dobrze postawiona i składa się z kilkunastu linii autobusowych i kilku trolleybusowych. Także sieć komunikacji lotniczej na Litwie jest silnie rozwinięta i miasteczka jak Szawle, Poniewież, Birże i Druskiniki mają regularne połączenia lotnicze z Wilnem; lotnisko Porubanek nazywa się Kirtimaj (od rąbania).

Przemysł jest w Wilnie obecnie bez porównania więcej niż przed wojną, reprezentowane są tu gałęzie elektryczna, elektroniczna, komputerowa, materiałów budowlanych i inne. Z punktu widzenia historii sowieckiej gospodarki najbardziej godne uwagi (choć dotyczy to okresu już po ukazaniu się omawianego podręcznika) jest Objedinenie Sigma, któremu podlega siedem zakładów przemysłu komputerowego w Wilnie i na Litwie. Otóż ekonomiczne reformy Kosygina z 1965 roku miały być najprzód przeprowadzone w „sojuznym” Ministerstwie Instrumentacji (Minpribor), które ze swojej strony zarządziło przeprowadzenie tych reform w trybie doświadczalnym w podlegającej mu wileńskiej Sigmie. Głównym zagadnieniem, które tam przećwiczono było „*gławk na chozrasczotie*”, tj. praca przemysłowego departamentu ministerstwa na własnym rozrachunku; doświadczenie było udane. Poza tym Sigma stanowi prototyp tzw. NPO, naukowo-produkcyjnego objedinenia, tj. organizacji wykonującej nie tylko produkcję, ale także wstępne badania i projektowanie, co w przemyśle sowieckim jest nowością, gdyż dotychczas obowiązywała leninowska zasada ścisłej specjalizacji.

Naturalnie z książki adresowej nie można uzyskać wielu informacji na tematy takie jak religie czy narodowości, które, specjalnie w stosunku do Wilna, byłby bardziej „perspektywne” niż organizacja przemysłu.

Na zakończenie warto powiedzieć parę słów o wileńskim *Czerwonym Sztandarze* mieszczącym się przy Mostowej 14. Jak wiadomo jest to jedyna polska gazeta w ZSSR; nie należy mieć co do niej złudzeń: jest to gazeta na wskroś sowiecka, a więc propaganda antyreligijna, narzekanie że w Wilnie przed wojną dobrze było tylko ludziom bogatym itd., spotyka się w niej stale. Także jest ona doskonale wyprana z resztek jakichkolwiek ciągów do polskiego „radzu” czy do podsuwania czytelnikom nawet jak najbardziej zawołowanej myśli, że przeszłość,

jaka by nie była, ale była nasza. Niewątpliwie dzięki temu gazeta może nadal egzystować. Z drugiej strony, *Czerwony Sztandar* zwraca znaczną uwagę na utrzymanie czystości języka polskiego. Rusycyzmów słownych w nim na ogół nie bywa, stylowe — raczej sowietyzmy — są chyba nieuniknione, np. slogan „I życie dobre i żyć dobrze”. Kilka lituanizmów jest w stałym użyciu, np. nazwa miasta jako rzeczownik zawsze Wilnius chociaż jako przymiotnik już „wileński”, poza tym apilinka — sielsowiet. Za to że *Czerwony Sztandar* nie jest w tej samej klasie co np. *Kazachstanskaja Prawda*, która zwykle co rok ogłasza z dumą ile to rosyjskich słów przeflancowano do kazachskiego języka, należy mu się pewna doza uznania.

Zdzisław SIEMASZKO

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.

TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.

TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

Mój mizerny utarg

I moja nędzna chatupa. Moja chuda żona. I moje dwie wrzaskliwe córki. Mój rosnący brzuch. I rzędzące włosy. Wszystko jest takie beznadziejne. Wszystko.

Nic tu się nie dzieje. Smutek i nuda. I kłótlivi sąsiedzi. Umieją tylko złorzeczyć i jęczeć. Mam dość ich swarów. Zbierają nina niewydarzonych filozofów. Ani porozmawiać z kimś. Ani pójść gdziekolwiek. Wszędzie kurz i bałas. A za miastem piasek. Piasek i glina.

Miasto. Jakie tam miasto. Kupa lepianek. Mówiono mi o miastach. Potężne. Sławne. Gdzie nam do nich. Za nic mają tę prowincję. Kto by spamiętał jej imię. Bo i co tu jest. Tylko targ. I paru uczonych głupców.

Żadnej radości. Nawet w domu. Żeby chociaż mieć syna. Ale gdzie tam. Dwie córki. I brzydąca żona. I ja się starzeję. Prawie dwadzieścia siedem lat. Za późno na cokolwiek.

I do śmierci to samo. Nic się tu nie zmieni. Upaść i piasek. I próżne gadanie. A mogło być inaczej. Mogłem wyjechać. Jak inni. Albo pójść na służbę. Choćby do prokuratora. Chodziłbym z bronią. Nic bym nie robił. A potem może awans.

Miałbym dobrze u niego. Ten Valerius Gratus wcale łagodny. Nie. Jaki tam Gratus. Upaść miesza mi myśli. Już blisko rok jak odszedł. Teraz jest Poncjusz Piłat. No to co. Jaka różnica. Piłat czy nie Piłat. Całkiem bez znaczenia. Tu nic nie ma znaczenia.

Andrzej SOLECKI

Wiersze

Światosław HORDYŃSKYJ *

NIEPOWTARZALNOŚĆ

*Nie trwóż się. W gniew nie wpadaj. Nie oczekuj
niczego w niepokoju od nikogo.
Wszystko jest twoje. Jeśli chcesz, człowieku,
idź wciąż i wędruj swoją własną drogą.*

*Żyj — i pragnienie swych spieczonych ust
oddaj we władzę ognia całopalną;
skoroś już w to namiętne życie wróś,
pokochaj krótkich dni niepowtarzalność.*

*Lecz marzeń, ani górnych wzlotów nie gaś,
postaraj się, w powszednich dniach wciąż płonąc,
dojrzeć, co rzadko ludzki wzrok dostrzega —
swych dążeń niewymierną nieskończoność.*

*Bo zważ: gotów-ześ całe życie przejść,
szukając — od mogiły do kołyski —
tego, co już stanowi twoją treść:
odwieczną dal i wieczność, jakże bliską.*

* Światosław Hordynskij, poeta i malarz, obchodził w jesieni ubiegłego roku swoje 70-te urodziny i 45-tą rocznicę twórczości literackiej. Wybrane wiersze pochodzą z różnych lat.

SPOKÓJ

*Zdało się: spokój ten, jak pies, me dłonie liże
i ścieli się do stóp, jak gdyby miękki kilim —
pozbyć z pamięci wszystko tej czarownej chwili,
czy gniewnym buntem unieść się ponad nią wyżej?*

*Przyznaje — spokój mego serca nie umili;
o, jakże wolę, gdy gromadzą się w pobliżu
pędzące stadem chmury, wichrów zrywby chyże
i gdy widnokrag nad mą głową się pochyli.*

*Urodę świata widzę w nurcie wiecznych przemian:
dynamizm linii, które ranią me źrenice,
kontrasty barw, tonących nagle w mrocznych cieniach...*

*Szukając tej urody w dreszczu i zachwycie,
bez przerwy w każdym rytmie znowu się odmieniam
i wchodzę nieustannie w poetyckie życie.*

WIECZORY NAD SEKWANĄ

*Gdy Paryż w mgłę szarawej tych spóźnionych chwil
wydaje się posągiem marmurowym,
jak poematów Valery'ego monotony styl, —
rozglądam się bezradnie i pochylam głowę,
i taki wiersz dobieram, żeby skrył
wieczorny smutek mój nieszczerze dźwięcznym słowem.*

*I mgła i nuda! A optymizm — gdzież?
Jak wizytówkę trzymam go w portfelu,
zawsze na pokaz — bierz go, jeśli chcesz...
Gdy nuda gestą mgłą dokoła nas się ścieli,
melancholijny tych wieczorów dreszcz
wypełnia aż po brzeg mój pusty kielich.*

*Tu nie ma słońc, nie kwitną kwiaty barw,
ten wieczór nie zna kolorowych orgij;
mija — bez żadnych walk, bez bitw, bez starć —
trup zeszytnięty topielicy z morgi.
I jakiś robak w myśli me się wdarł,
jak jedwabnica, co obgryza liście morwy.*

KANIÓW

Oto góra, wśród wysokich najwyższa,
on tam śpi, twórciel wiecznych prawd.
Grzmot się wyrwał z oddali na jaw,
będzie burza, bujny wichur gwizdże,
zgina drzewa, stroi struny traw.

To on, z krzywdą w nieustannej zwadzie,
wciąż na pieśniach mocne dłonie kładzie,
przerażeniem by na żywych spadł;
niecierpliwy, z Bogiem spór prowadzi,
on, co także Słowem tworzył świat.

Swiatosław HORDYNŃSKYJ

(Z ukraińskiego przełożył Józef Łobodowski)

Andrzej KORASZEWSKI

OSTATNIE SŁOWO

Natalii Gorbaniewskiej

wysoki sędzie
byłem w świątyni praw
słuchałem modlitw

sięgnąłem po jabłko dla jego zieleni

wiatr szarpał liśćmi
i wiele owoców zwały się w trawę
Na drewnianym moście
koń potykał się o spróchniałe belki
dzieci pod mostem łowiły ryby

wysoki sędzie
byłem w świątyni praw
widziałem stroje sędziów
narzędzia tortur
rękawiczki kata
czytałem Biblię
Koran
prawa Konfucjusza
słuchałem wyroków
z ust mścicieli
stróży porządku
proroków nowego
wyroków praw natury
zdzieciniałych starców
fanatycznych oprawców
tchórzy w togach dostojnych
sędziów małodusznych
widziałem sędziów w fartuchach lekarzy
w sukniach kapłanów
i w barwnych mundurach

widziałem jak jeź kluczył
węszył podejrzliwie
dreptał pod jabłoń
a potem uciekał
bezpieczny w gęstwinie gałąz prosił o pomoc

wysoki sędzie
był czas
modliliśmy się do dzikiego zwierza
do drzew
do słońca
rzeki
i do władców
sędziowie skazywali niewiernych
żądali ofiary
niemy i głuchy
wśród głuchych i niemych
w pustej świątyni
gdzie święte ptaki
w klatce misternie rzeźbionej żywią się ofiarą
słuchałem rozmów zakutych w kajdany
rozmów o Sokratesie
pytań Antyfony
widziałem esej pisany na strzępach gazety

widziałem jabłko jak z kwiatu
zawiązało się w owoc
was
radzących prawa
i widziałem chłopca
który stał na straży

i podałem mu jabłko

Andrzej KORASZEWSKI

Kazimierz Maria SKRZYDLIŃSKI

OSTATNIA WIECZERZA

ks. Marianowi Szczęsnemu

Czemu się trudzisz, Leonardo?
Czas przez palce przecieka, a świat
idzie swym upartym torem w przepaść
zapomnienia —
Ciało do żądz skore, nieustannie umiera
a serce wciąż jeszcze młode:
— nowa miłość wabi.
Czemu się trudzisz, Leonardo?
zdążysz na wieczerzę, nim zapalą świeczniki,
Ten,
któremu tak pilnie patrzysz w oczy,
przetłamie chleb nadziei
w świętej, radosnej ciszy życia.

3. VII. 1973 r.

Kazimierz Maria SKRZYDLIŃSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

CZTERDZIESTA TRZECIA...

Margareta Buber miała 17 lat kiedy w roku 1919 wstąpiła do niemieckiej partii komunistycznej i poznała Heinza Neumanna. Był to wyrok niebios. Margareta zakochała się w Heinzu i uwierzyła w rewolucję światową. Miłość przetrwała, wiara się chwiała. Najpierw kiedy Neumann — który nie zgodził się ze Stalinem, że socjaldemokracja jest umiarkowanym skrzydłem faszyzmu — został aresztowany w 1937 roku i ślad po nim zaginął. Potem, kiedy ona sama, aresztowana w 1938 roku, po krótkim pobycie w więzieniu Butyrki w Moskwie została zesłana do obozu gdzieś w okolicach Karagandy.

Epizod, który nas dziś interesuje mieści się w styczniu 1940 roku: nagły powrót do Moskwy, dobre jedzenie, nowe szaty, poprawne traktowanie, 15 niezapomnianych dni. 16 stycznia 1940 Margareta Buber-Neumann staje przed obliczem oficera NKWD. Mowa jest krótka: „Wyrok wasz opiewający na pięć lat zesłania zostanie zamieniony na natychmiastowe wydalenie z terytorium sowieckiego. Dokąd? Dowiedzie się we właściwym czasie”.

We właściwym czasie Margareta spotkała w wagonie więziennym 28 Niemców i Austriaków, niektórych tzw. pochodzenia mołdżeszowego. Wszyscy komuniści, wszyscy o wyrokach zamienionych na „natychmiastowe wydalenie”. Ale dokąd? Kiedy pociąg ruszył więźniowie ciągle nie wiedzieli dokąd. Niektórzy mieli nadzieję, że do któregoś z krajów bałtyckich. Nadzieja nie trwała długo.

Po trzech dniach pociąg zatrzymał się w Brześciu nad Bugiem, na linii czwartego rozbioru Polski, stanowiącej wówczas granicę pokoju i przyjaźni między ZSSR a Trzecią Rzeczą, ustanowioną paktem Hitler-Stalin. „Poprowadzono nas na most graniczny. Eskortę stanowili żołnierze NKWD. Nagle ujrzeliśmy zbliżających się ludzi w mundurach. Po chwili wszystko stało się jasne. Byli to SS...”. Margareta Buber-Neumann i pozostali pasażero-

wie zmienili wówczas wagon i pociąg a także eskortę i obóz. Z Karagandy do Rawensbrück. W ten sposób Stalin zrobił Hitlerowi podarek w postaci niemieckich komunistów. Ot, nic szczególnego, mały gest, jak między przyjaciółmi...

37 lat później przyszła pora na udowodnienie, że małe gesty robią wielkich przyjaciół. Zachód zaczął spłacać dług wdzięczności zaciągnięty przez Hitlera wobec Stalina. Zachód zaczął wydawać i zwracać komunistów Związkowi Sowieckiemu. Właściwie różnica niewielka. Obecny transfer też odbywa się w imię pokoju i przyjaźni, aktualnie zwanych *détente*, też chodzi o więźniów, też o przejście z więzienia do więzienia i też o proceder, na mocy którego osoby wydalone (dziś nazywa się to ekstradycja) znajdują się akurat w miejscach, w których bardziej niż gdzie indziej nie chciałyby się znaleźć i z których właśnie uciekły. Różnica polega tylko na tym, że Margareta Buber-Neumann przeżyła Rawensbrück i dzięki temu mogła swe przeżycia, ku nauce potomnych, dokładnie opisać, jest natomiast wysoce wątpliwe nie tylko to czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafi swe przeżycia dokładnie opisać, ale nawet czy potrafi choćby przeżyć tak, aby móc jeszcze potem wziąć pióro do ręki.

„Dwustronny” układ

10 czerwca 1977 Aleksander Zagirniak, lat 19 i Genadi Selużko, lat 21, pasażerowie samolotu TU-134 wewnętrznych linii Aeroflotu zawiadomili stewardessę, że są w posiadaniu granatu, który niezawodnie wybuchnie, jeżeli pilot nie zmieni trasy i zamiast w Leningradzie nie wyląduje w Sztokholmie. Stewardessa zawiadomiła pilotów, ale zauważyła, że porywacze byli bardziej zdenerwowani od pasażerów, że chyba nigdy w życiu nie porywali przedtem samolotów, że to zwyczajni amatorzy. Więc piloci, wyszkoleni jak trzeba, odezwali się w te słowa: „Co do porwania, to OK, tylko że na Sztokholm paliwa nie starczy. Rozwalimy się zanim dolecimy do Sztokholmu i cały pogrzeb na nic. Proponujemy Helsinki. To też Zachód, a benzyny starczy”. *Haraszo*, powiedzieli młodzieńcy, dawajcie Gelsinki. Niedługo potem Tupolew łagodnie lądował w Helsinkach, oczekiwany przez całą ambasadę ZSSR, połowę rządu fińskiego oraz specjalne jednostki policji i wojska. Obaj młodzi Rosjanie tak byli ogłupieni swym szczęściem, że zwolnili natychmiast załogę, kobiety i dzieci, potem słabowitych, reszta uciekła, bo porywacze z emocji usnęli. Straty ludzkie sprowadziły się do jednej kostki zwichniętej przy skoku któregoś spanikowanego pasażera. W końcu wyszło na jaw, że i granat był nieprawdziwy. W tych warunkach poddanie się porywaczy po 30-godzinnych negocjacjach i daniu wiary w obietnice Finów było już raczej farsą niż formalnością. Farsa nie trwała długo...

Decyzja Finów była krótka jak salwa egzekucyjna. Wont! 24 godziny później Zagirniak i Selużko pojechali w kierunku

odwrotnym do Margarety Buber-Neumann. Nie w wagonie „8 Pferde — 40 Leute”, a w specjalnym samolocie wojskowym, nie w eskorcie SS, a w eskorcie KGB, i nie na zachód a na wschód.

Po Zagirniaku i Selużce ślad zaginął. Prawo bowiem trzeba szanować, a Finlandia jest jedynym niekomunistycznym krajem, który podpisał z ZSSR dwustronny układ o wydawaniu piratów powietrznych. Na mocy tego układu z 1974 roku każda z wysokich umawiających się stron zobowiązuje się do niezwłocznej ekstradycji osobników porywających samolot drugiej wysokiej umawiającej się strony. Inaczej mówiąc Finlandia musi wydawać porywaczy z ZSSR, szukających azylu w Finlandii, a ZSSR musi wydawać niezwłocznie wszystkich osobników uprowadzających fińskie samoloty do ZSSR i szukających azylu i schronienia w Moskwie...

I na tym można by opowieść zakończyć. Świat przestał się interesować młodymi niedoświadczonymi Rosjanami. Za dużo błędów, jak na jedno małe porwanie. I zapadła cisza. Cmentarna zapewne.

Bardzo niesłusznie. Przypadek Zagirniak-Selużko zasługuje, wydaje mi się, na chwilę uwagi. Przechodni, przystań więc i wysłuchaj dwóch uwag historycznych, jednej prawnej, sześciu retorycznych pytań oraz końcowej, podwójnej prawdy.

To nie jest premiera

Pierwsza uwaga historyczna, to ta, że nie jest to pierwszy znany przypadek próby porwania lub porwania samolotu sowieckiego. W czerwcu 1970 kilkudziesięciu Żydów sowieckich, daremnie od lat starających się o emigrację do Izraela, padło ofiarą grubej prowokacji i zostało aresztowanych w związku z domniemaną próbą porwania samolotu na lotnisku w Leningradzie. W październiku tego samego roku dwóch Litwinów porwało Antonowa-24 do Turcji. W strzelaninie zginęła stewardessa i ranny został pilot, ale uciekinierzy odsiedzieli swoje, po czym uzyskali azyl w Wenezueli, gdzie do dziś żyją w wiecznym strachu przed zemstą KGB. Także w październiku 1970 dwóch studentów porwało samolot także do Turcji. W rok później sami zażądali repatriacji do ZSSR, gdzie chyba ciągle żyją także w strachu przed KGB. W listopadzie 1970 (obrodziło jakoś owego roku) inna para Litwinów próbuje porwać samolot ale nie udaje im się. W październiku 1973 KGB uniemożliwia próbę porwania na lotnisku w Moskwie. W ataku przeprowadzonym pod osłoną negocjacji dwóch niedoszłych piratów ginie, dwóch rannych żyje. Pod strachem KGB naturalnie. Wreszcie, na kilka tygodni przed aferą fińską, 26 maja 1977, Wasyl Sosnowski, nazwany później przez TASS'a „nędznym recydywistą i psychopatą”, pod groźbą fałszywego granatu uprowadza Antonowa-24 do Szwecji. Szwec-

cja odrzuca żądanie ekstradycji, Sosnowski idzie pod sąd i do kryminału w Szwecji.

Druga uwaga historyczna to ta, że nie jest to pierwszy przypadek wydania porywaczy Związкови Sowieckiemu. 26 września 1976 por. Zaszniow, Panie świeć nad jego duszą, pilot małego samolotu pocztowego Antonow-2 wylądował w Azerbejdżanie ale w perskim, zamiast, jak powinien być, w sowieckim. Mała różnica, ale zawsze. Poprosił o azyl. Szach odmówił. Nie wiadomo czy Persja ma z ZSSR dwustronny układ o wydawaniu i ilu uciekinierów ZSSR wydał już szachowi. Szach widać miał jednak swoje dobrosąsiedzkie powody i porucznik też pojechał na wschód, na konto spłacania długu wdzięczności za Margaretę Buber i towarzyszy.

Uwaga prawna, to ta, że od 1973 roku obowiązuje w ZSSR specjalna ustawa o karaniu porywaczy. Zakłada ona kary od 3 do 15 lat więzienia, a może dojść do kary śmierci, jeżeli przy porwaniu byli zabici i ranni, lub jeżeli, co gorsza, uszkodzeniu uległo mienie społeczne czyli samolot. Znając szacunek dla prawa w ZSSR można sądzić, iż wyroki nie oscylują wokół dolnej granicy, a raczej wprost przeciwnie. W grudniu 1970 żadnej ustawy nie było, a w tzw. „sprawie leningradzkiej” Kuźniecowa i Dymyszcz dostali karę śmierci (zamienioną pod naciskiem zachodniej opinii na 15 lat) nie za żadne porwanie a za powzięcie li-tylko zamiaru. Można więc sobie wyobrazić, że Selużko i Zagirniak, którym się taki zamiar powiódł, nie zostaną potraktowani z wyjątkową pobłażliwością. Wydając obu Rosjan w ręce KGB Finlandia wiedziała więc, że skazuje ich na szybką albo powolną ale niechybną śmierć na szafocie albo w gułagu. Finlandia wiedziała, że bierze ich na swoje sumienie.

1. Czy nie zbyt selektywnie?

W związku z tym chciałbym zadać sześć pytań. A oto pytanie pierwsze. Otóż, naturalnie, prawo trzeba szanować. Ale czy czasem w rozpatrywanym przypadku prawo nie jest szanowane zbyt selektywnie? Jak to się dzieje, że jedynymi piratami powietrznymi wydanymi władzom pochodzenia porwanego samolotu są Rosjanie i jedynym krajem, który swych porywaczy z powrotem otrzymał jest ZSSR? Tego samego dnia kiedy Zagirniak i Selużko zostali poświęceni na ołtarzu finlandyzacyjnym, kilku „rewolucjonistów” (piratów tam nie ma) porwał samolot chilijski. Po wielogodzinnych dramatycznych przejściach czy raczej przelotach, porywacze zostali jak pełni chwały i odwagi bohaterowie entuzjastycznie przyjęci przez Kubę. Czyżby porywanie samolotów Pinochet'a było bohaterstwem nagradzanym i wielbionym, a porywanie samolotów Breżniewa przestępstwem? Jaka jest różnica między pasażerami samolotu chilijskiego, których życie narażać wolno, a pasażerami linii sowieckich, których życia narażać nie należy? Kto zna przypadek wydania komu-

kolwiek któregoś z terrorystów palestyńskich, którzy porwali, spalili i zamordowali tylu niewinnych pasażerów, samolotów i pilotów tylu różnych linii powietrznych?

Francja miała w swych rękach niejakiego Abu Daud'a, który u boku Arafata przewodził większości znanych porwań powietrznych, ale Francja nie tylko nie wydała go we właściwe ręce, ale wypuściła, pod natchnionym pretekstem, tak aby mógł zjeść dobry obiad w pierwszej klasie algierskiego nieporwanego samolotu. Czy słyszał ktoś o wydaniu Szwajcarii morderców, którzy podłożyli bombę do samolotu „Coronado”. A przecież w „Coronado” zginęli wszyscy pasażerowie tego odrzutowca Swiss-air'u, a w Tu-134 u Selużki i Zagirniaka nikt nie zginął. Komu zostali wydani mordercy amerykańskiego czy belgijskich dyplomatów w Chartumie, Beirucie, Nikozji czy gdzie indziej. Nikomu. Wydani zostali tylko Zagirniak i Selużko. Bo słabi, bo w Finlandii i bo do ZSSR.

2. Czy nie zbyt rygorystycznie?

A oto pytanie drugie. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy czasem w rozpatrywanym tu przypadku szanowanie to nie jest zbyt rygorystyczne? Zanim Finlandia podpisała „dwustronny” układ z ZSSR (ilu porywaczy wydał już ZSSR Finlandii?), oba kraje podpisały w roku 1970 konwencję w Hagi. Otóż na mocy tej konwencji piractwo powietrzne powinno być ostro karane. I słusznie. W tym celu państwo dysponujące porywaczem ma do wyboru dwie możliwości. Albo ekstradycję, albo sądzenie pirata u siebie. To właśnie w oparciu o tę konwencję Szwecja odmówiła w maju wydania Sosnowskiego. Miała bowiem do wyboru i wybrała. Sosnowski, po odsiedzeniu, wyjdzie na wolność, i do ZSSR ekstradowany nie będzie. Chyba, że sam zechce. Ale to jego sprawa, to będzie wolny człowiek.

Podpisując „dwustronny” układ z ZSSR Finlandia zwięźła więc zasięg działania prawa międzynarodowego. Z politycznego punktu widzenia jest to błąd. Wyzbywając się możliwości suwerennego wyboru, jaki jej przyszuje prawo międzynarodowe, Finlandia ograniczyła swą i tak już ograniczoną suwerenność.

Kiedyś wydrukowałem już w *Kulturze* dłuższe i smutne opowiadania o finlandyzacji. Zagirniak i Selużko *Kultury* nie czytają. A szkoda. Gdyby czytali, to wiedzieliby, że do Helsinek porywać nie należy. Cynicznie fikcyjna „dwustronność” układu o piractwie z ZSSR, to bowiem najbardziej kliniczny przejaw finlandyzacji i Zagirniak i Selużko pozostaną w historii jako jej najbardziej charakterystyczne ofiary. Pisząc o finlandyzacji cytowałem refleksję zasłyszaną w Helsinkach: „To prawda, mówią tam, że jeden Fin wystarczy na dziesięciu Rosjan, ale co zrobimy, kiedy nadleci jedenasty Rosjanin?”. W przypadku Zagirniak-Selużko Finowie twierdzą, że jedenasty Rosjanin był za węglem. Może... Czy podobnie myśleli i Francuzi, kiedy wyrzu-

cali z anteny swej telewizji program z emigrantami ze wschodu, aby nie urazić bawiącego właśnie w Paryżu prezydenta Breżniewa?

3. Czy nie zbyt strachliwe?

A oto pytanie trzecie. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w naszym przypadku nie jest to szanowanie zbyt wygodne, żeby nie powiedzieć zbyt strachliwe? Co by się stało gdyby Finowie odmówili podpisania kompromitującej „dwustronnej” konwencji? Czy Moskwa najechałaby Finlandię aby odebrać dwóch niedoświadczonych amatorów wycieczek za granicę? Czy „jedenasty Rosjanin” pojawił się w 1973 roku, aby odebrać Finom niejakiego Wiktora Schneidera, obywatela sowieckiego pochodzenia niemiecko-nadwożańskiego? Schneider uciekł gdzieś z wybrzeża litewskiego na małej łódce i został ledwo żywy wyłowiony przez fiński frachtowiec. Rosja zażądała wydania, ale Finlandia, choć azylu nie dała, to Schneidera nie wydała. Wydali go, ale do... NRF, o czym zresztą Schneider od dawna i wyłącznie nad Wołgą w Kazachstanie marzył. A co Rosja zrobiła Szwecji, po odmowie wydania Sosnowskiego?

Gdzie kończą się niezbędne koncesje sfinlandyzowanego państwa fińskiego a zaczyna zwykłe tchórzostwo? Sprawa Zagirniak-Selużko potwierdza, że finlandyzacja jest przede wszystkim procesem dobrowolnym, tylko do pewnej linii wyznaczanym przez przezorność i geopolitykę. Poza tą linią jest już tylko ochotnicza nadgorliwość i nieczyste sumienie.

4. Czy nie zbyt ślepo?

A oto pytanie czwarte. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w rozpatrywanym przypadku szanowanie to nie jest czasem zbyt ślepe? Czy gdyby Zagirniak i Selużko mogli normalnie, np. jak każdy młody człowiek w Finlandii, poprosić o paszport, po kilku dniach, jeżeli nie od razu, go otrzymać, pójść po wizę do jakiegokolwiek ambasady, jeżeli w ogóle wiza, byłaby potrzebna, wsiąść w jakikolwiek samolot, pod warunkiem wykupienia biletu, i udać się w jakimkolwiek kierunku, to czy w takiej sytuacji — która jest przecież normalną sytuacją w naszych krajach — Selużko i Zagirniak porywaliby samolot? Czy gdyby każdej prośbie o paszport nie towarzyszyło uczucie bezradności i beznadziei, to czy Rosjanie, Polacy i Czesi porywaliby samoloty, a Niemcy ryzykowaliby życie na strasznej granicy między dwoma państwami niemieckimi? Czy gdyby z Chin można było normalnie wyjechać to czy tysiące ludzi ryzykowałoby życie płynąc wpław do Hong Kongu, mimo iż przed „startem” wiadomo, że połowa zginie w paszczach rekinów, a spora część, tych co przeżyją zostanie wydana Pekinowi przez

Anglików, którzy płacą w ten sposób za przedłużenie kontraktu na brytyjską obecność w byłej perle byłego imperium.

Czy gdyby można było normalnie i po ludzku wyjechać z Związku, to marynarz Leskow uciekałby ze statku „Bielogorsk” w Las Palmas, kapitan i sześciu marynarzy ze statku „Iszon” w Atenach, czy kpt. Janin płynąłby małą łódką po ucieczce ze statku „Iwan Franko” przez trzy dni do tureckiego portu Arhani, czy marynarz Konenko wyskoczyłby ze statku „Szura Kober” natychmiast po przycumowaniu do portu Erie w USA, czy naukowcy Martynianowa i Kowalow uciekaliby z sowieckich statków oceanograficznych „Argos” i „Mendelejew” w Plymouth i w Honolulu, czy inż. lotnictwa Riabow wiałby potajemnie z kroazjery na „Łatwii” gdyby mógł inaczej wyjechać ze swej ojczyzny?

Czy gdyby można było w cywilizowany sposób wyjechać z Bułgarii to trójka marynarzy wyskoczyłaby kolektywnie ze statku „Ofelia” w porcie Coos Bay w stanie Oregon? Czy dziennikarz Kostow wybierałby wraz z rodziną wolność we Francji, składając przy tym okropne deklaracje o supersowietyzacji Bułgarii? Czy gdyby można było spokojnie opuścić Rumunię to czy pięciu sportowców musiałoby uprawiać tajny bieg z przeszkodami z wioski olimpijskiej w Montrealu? Czy gdyby żeglarz Moisiej mógł żeglować jak i gdzie chciałby, pod wszystkimi wiatrami, to czy wykorzystałby pobyt statku „Mircea” reprezentacyjnego żaglowca p. Ceausescu, na jubileuszu 200-lecia USA aby oducumować na stałe od swego przepięknego kraju? Czy gdyby można było normalnie wyemigrować z Węgier (tak, tak, tych liberalnych, tak popularnych na Zachodzie, Węgier), to czy inż. Reszo ryzykowałby wyprawę z żoną i trojgiem małych dzieci na małej łódce z Jugosławii do Włoch aby znaleźć się po naszej stronie świata?

Czy wreszcie Polacy porywaliby samoloty albo po prostu wiali na potęgę i tradycyjnie już z „Batorego” lub z meczu futbolowego w Kopenhadze, gdyby na Koszykowej czy w pałacu Mostowskiego zamiast ponurego policjanta siedziała sympatyczna panienska i z uśmiechem pytająca obywatela na kiedy paszport potrzebny i czy można odesłać pocztą, zamiast komunikować że jest odmowa z powodu punktu numer cztery...

Czy pianiści Jegorow i Afanasjew uciekaliby potajemnie i w skandalu, myśląc czujnie obstawione przez „dyplomatów” drzwi sal koncertowych we Włoszech czy w Belgii, gdyby mogli grać co chcieli w Moskwie lub za granicą, bez pytania KGB o zgodę na adres i repertuar? Czy uciekaliby w dziwnym *pas de trois* Barysznikow, Nurejew i Makarowa gdyby mogli normalnie wyjeżdżać na *tournee* a nie do turyrny i tańczyć gdzie by chcieli i jak by chcieli, a nie tam gdzie i jak im zagra KC? Czy polski strażak potajemnie znikałby w czasie olimpiady pompierskiej w Trento we Włoszech w sierpniu 1977 roku, gdyby mógł normalnie wspinać się na wszystkie drabiny świata i gasić inne pożary?

Dosyć tej listy, jest ona praktycznie niewyczerpna. Ruch jest jednokierunkowy, „dwustronne” układy to zwykła fikcja. Z wyjątkiem zawodowych spalonych szpiegów nikt z Zachodu na Wschód nie ucieka. Chyba wariat. W lipcu 1977 roku komunistą angielski nazwiskiem Johnson zagrożony postępowaniem sądowym postanowił wybrać wolność w NRD! Po kilku dniach był z powrotem. Wolał sąd w Anglii, gdzie się przynajmniej można bronić. No więc, powtarzam, gdyby można było normalnie...

5. Czy nie za jednostronnie?

A oto pytanie piąte. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w rozpatrywanym przypadku nie jest ono szanowane zbyt jednostronnie. Aleksander Woronel, fizyk, Żyd i Rosjanin chciał, w pełnym poszanowaniu prawa, opuścić ZSSR. Spotkała go odmowa, w związku z czym Woronel udał się do płk. Wereina, szefa biura paszportów w Moskwie. A oto krótkie streszczenie ich rozmowy:

Woronel: — „Kiedy będę mógł wyemigrować do Izraela?”.

Werein: — „Nie przed upływem lat pięciu”.

Woronel: — „Dlaczego?”.

Werein: — „Bo jest pan w posiadaniu tajemnic państwowych”.

Woronel: — „Oświadczam formalnie, iż nie znam żadnej tajemnicy państwowej”.

Werein: — „O tym nie pan decyduje. O tym tylko my wiemy”.

Woronel: — „Jeżeli dziś nie wiem, to i w przyszłości nie będę wiedzieć. Jak wobec tego uniknąć poznania tajemnicy państwowej?”.

Werein: — „Nie może pan uniknąć”.

Woronel: — „Co robić wobec tego?”.

Werein: — „Przyjść do nas za lat pięć i zapytać”.

Woronel: — „No, a jeżeli znowu odmówicie?”.

Werein: — „Oznaczać to będzie, że poznał pan nowe tajemnice państwowe”.

Woronel już jest w Izraelu. Ale inżynier radiowy Władimir Ślepak jest ciągle w Moskwie. On też był u Wereina.

Ślepak: — „Dlaczego nie pozwalacie mi emigrować?”.

Werein: — „Bo zna pan tajemnice państwowe”.

Ślepak: — „W moim zawodzie nie ma żadnej tajemnicy. W porównaniu z Zachodem jesteśmy o 10 lat spóźnieni”.

Werein: — „To jest właśnie ta tajemnica”.

Pytanie piąte więc brzmi: kto w tej sytuacji jest terrorystą i porywaczem?

6. Czy nie zbyt ironicznie?

A oto pytanie szóste. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w omawianym przypadku nie jest ono szanowane zbyt ironicznie? Czy nie jest mianowicie szczytem ironii, że dwaj młodzi ludzie, którzy pragnęli jedynie wyjechać ze swego kraju i wybrali w tym celu jedyny dostępny choć naganny sposób, jako że wszystkie inne normalne sposoby były dla nich niedostępne, czy nie jest więc ironią fakt, iż ci dwaj młodzi ludzie zostali skazani na życie do śmierci w kraju, który właśnie chcieli opuścić, przez władze kraju, w którego stolicy przed dwoma laty podpisany został uroczysty układ dający wszystkim ludziom prawo wolnego i swobodnego poruszania się po całym świecie i przekraczania wszystkich swoich i cudzych granic? Czy nie zasługiwał na uwagę Finów fakt, iż ci dwaj młodzi Rosjanie wybrali porwanie, albowiem w żaden, ale to w żaden inny sposób nie mogli z ZSSR wyjechać?

Dlaczego połowa sygnatariuszy aktu końcowego w Helsinkach milcząco toleruje fakt, iż druga połowa sygnatariuszy tego samego układu zmusza swych obywateli do wiecznego i przymusowego pozostania za murami ich własnych krajów lub też do wybierania, w celu zrealizowania jednego z podstawowych paragrafów aktu z Helsinek, najdziwniejszych (kufry samochodowe w NRD, luki bagażowe w Bułgarii czy Rumunii, gumowe łódki na polskim Bałtyku) albo też najbardziej niebezpiecznych (porywanie samolotów w ZSSR) środków lokomocji?

Kto jest prawdziwym zbrodniarzem: samotny człowiek ryzykujący swe własne, a czasem także i cudze życie, aby uzyskać możliwość osiedlenia się gdzie indziej, pod innym niebem, czy też kolosalny aparat samokratycznego państwa i samodzierżawnej władzy, która mu tego świętego prawa życia pod innym niebem, wbrew wszystkim światowym konwencjom, brutalnie i arbitralnie odmawia?

Nie tylko Finlandia?

Tych sześć pytań należy, to jasne, do tzw. retorycznych. Nie trzeba się łudzić. Ochoczo i dobrowolnie finlandyzujący się świat nie odpowie na tak sformułowane pytania. Nie udzieli na nie jasnych i niedwuznacznych odpowiedzi. Nie podejmie jasnych i logicznie wypływających z tych pytań kroków.

Prawda jest krótka i podwójna.

Po pierwsze, gdyby ZSSR i obóz socjalizmu nie były obozem koncentracyjnym, to nikt nie próbowałby niczego ani nikogo porywać aby móc ten obóz opuścić albo do tego obozu wrócić.

Po drugie, myli się ten, kto w związku z rozpatrywaną tu sprawą próbował mi dowodzić, że Finlandia prowadziła już 42 wojny przeciwko Rosji, że wszystkie przegrała i że wydała zbiegów, albowiem nie chce już przegrywać wojen z Rosją.

Finlandia się myli. Wydając Zagirniaka i Selużkę, swą 43-cią wojnę przeciwko Rosji Finlandia właśnie przegrała.

Nie tylko zresztą Finlandia.

BRUKSELCZYK

Pisane 10 sierpnia 1977.

Korespondencja z Rzymu

REFLEKSJE PO ŚMIERCI KAROLA POPIELA

W ostatniej kronice wydarzeń odnotowaliśmy: 6 czerwca, w wieku 90 lat, zmarł w Rzymie Karol Popiel, prezes Stronnictwa Pracy, b. minister rządu gen. W. Sikorskiego. Data ta zamyka pewien okres w dziejach polskiego ruchu chrześcijańsko-społecznego. Poznałem go na jesieni 1945 roku w należącym do Kurii warszawskiej gmachu „Roma” w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej w mieszkaniu śp. ks. prałata Z. Kaczyńskiego (również b. ministra w rządzie londyńskim, zamęcnzonego w pawilonie XI na Mokotowie). Od tej chwili moja droga polityczna zesłała się z losem przywódcy Stron. Pracy, powołanego na to stanowisko po śmierci Wojciecha Korfanteo w 1939 roku (razem z Korfantym doprowadził w roku 1937 do fuzji Narodowej Partii Robotniczej, której przewodniczył, ze Stronnictwem Chrześcijańskiej Demokracji, inspirowanym przez tzw. Front Morges czyli przede wszystkim: I. Paderewski, gen. W. Sikorski i W. Witos). Nie mogłem przypuszczać wówczas, że odnajdę go w 1963 roku w Rzymie na emigracji (dla niego trzeciej z kolei).

Po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu przez mocarstwa zachodnie Popiel wrócił do kraju w tym samym czasie co Stanisław Mikołajczyk. W oparciu o umowę trzech mocarstw przystąpił do reaktywowania partii o którą upominał się w Moskwie amb. Averell Harriman w typowo amerykański, uproszczony sposób: „Where is the churchgoing people party?”. Proponowano mu wejście do rządu jedności narodowej za cenę przystąpienia Stron. Pracy do „frontu stronnictw demokratycznych”. Odmówił. Nie szukał ani dla siebie, ani dla Stron. Pracy, udziału we władzy. Uważał, natomiast, że Stron. Pracy jako wykładnik ideologii chrześcijańsko-społecznej, powinno być obecne przy odbudowie kraju. Od samego początku działalność Stron. Pracy

napotykała, niezależnie od trudności obiektywnych, wynikających z narzuconego systemu, na przeszkody wewnętrzne. Kiedy prezes Popiel wrócił do kraju zastał, obok prawowitych przedstawicieli Stron. Pracy, konia trojańskiego w postaci grupy „Zryw” kierowanej przez wicewojewodę pomorskiego, Felczaka, uznanej jeszcze przez władze PKWN'u w Lublinie za uprawnioną do występowania w imieniu Str. Pracy. Grupa ta składała się z kilkunastu osób, które w różnych okresach opuściły bądź NPR bądź SP (w czasie okupacji), a której ideologiem był Jan Stachniuk, twórca „Zadruży”, ugrupowania neo-pogańskiego, nacjonalistycznego i panslawistycznego. Nie pomogła gra na zwłokę i odwoływanie się do argumentu, że o składzie personalnym stronnictwa mogą decydować jedynie prawowite władze cieszące się zaufaniem bazy. PPR był zdecydowanie nie dopuścić do legalizacji o ile jego wtyczki nie będą reprezentowane we władzach SP. Chodziło o to, by sparaliżować w zarodku ugrupowanie katolików, uważane za groźnego przeciwnika. W listopadzie 1945 roku doszło do zawarcia tzw. umowy toruńskiej z uzurpatorami, którzy obiecywali lojalną współpracę. Był to tylko fragment z góry obmyślonego scenariusza. Zdając sobie sprawę z tego, że nie dysponuje żadnym zapleczem w terenie, grupa ta czyniła wszystko co możliwe, by przekształcić Str. Pracy w ugrupowanie satelickie, podobne do Str. Ludowego i Str. Demokratycznego. Władze administracyjne i służba bezpieczeństwa, używały akcji nękania, hamującej normalny rozwój pracy organizacyjnej. Popiel próbował przeciwstawić się temu, informując zachodnich ambasadorów „czuwających nad weryfikacją umowy moskiewskiej” i szukając poparcia u przywódców PSL i PPS. Mikołajczyk niewiele mógł pomóc, uwikłany w walkę z komunistami, którzy na wiosnę 1946 roku przystąpili do bezwzględnej rozprawy z kadrą organizacyjną PSL'u. Socjaliści, obciążeni kompleksem niższości wobec komunistów, byli podzieleni na zwolenników autonomii i tzw. jednolitego frontu lewicy. Po SP i PSL przyszła zresztą kolej na likwidację PPS. W tym krótkim okresie działania SP odbyłem z prezesem Popielem kilka wyjazdów w teren, gdzie odbywały się różne narady oraz zjazdy wojewódzkie, przygotowujące pierwszy, statutowy kongres. Wówczas, lepiej niż w rozmowach z zachodnimi dyplomatami, ujawniały się jego główne zalety wytrawnego działacza politycznego i społecznego, odczuwającego interesy ludzi pracy, rozumiejącego problematykę lokalną, znajdującego szybko i łatwo argumenty i język porozumienia. Popiel nie był mężem stanu, ani politykiem szczególnie wielkiego formatu. Był na pewno człowiekiem głęboko ideowym i zaangażowanym, wychowawcą kadry działaczy chrześcijańsko-społecznych, zasłużonym organizatorem, oddanym sprawie realizacji programu ugrupowania któremu przewodniczył. Nie był intelektualistą. Zapomina się nieraz o tym, że Str. Pracy nie było ugrupowaniem o charakterze inteligentkim. Dopiero w czasie okupacji oryginalny wkład intelektualny wniosła do Str. Pracy elitarna grupa „Unia”, której dziełem był

odnowiony, społecznie radykalny program Str. Pracy, uchwalony w Krakowie 6 grudnia 1944 roku i zatwierdzony w Warszawie w lipcu 1945 roku. Bazą stronnictwa od czasów NPR'u i Chrześcijańskiej Demokracji byli robotnicy na Śląsku, Wielkopolsce i Pomorzu, oraz klasyczny średni stan: rzemieślnicy, drobni urzędnicy, wolne zawody, głównie na terenie b. Kongresówki i Małopolski. To właśnie od tej tradycyjnej bazy zaczął się napływ członków do odrodzonego stronnictwa. Kiedy na Śląsku, gdzie związane z Korfantym tradycje chadecji były szczególnie silne, rejestracja członków przekroczyła liczbę 100 tysięcy, władze postawiły veto. Najpierw narzucając górną granicę 40 tysięcy, potem dokonując sekwestru dokumentów rejestracyjnych. Wreszcie, nie pamiętam już pod jakim pretekstem, doszło do opieczutowania lokalu wojewódzkiego komitetu w Katowicach. PPR nie mogła dopuścić, by robotniczy Śląsk stał się domeną wpływów chrześcijańskiego stronnictwa. Równocześnie, wobec zbliżającej się daty kongresu Str. Pracy, bezpieczeństwa w całym kraju zaostrzyła środki represji: groźby, zastraszanie, szantaż. Usiłowano w ten sposób zmusić tzw. grupę Popiela (tj. macierzysty trzon SP) do przyjęcia wniosku uzurpatorów: 40 % z góry zagwarantowanych mandatów w przyszłych władzach stronnictwa. Kierownictwo Str. Pracy zdawało sobie sprawę z ostatecznej granicy koncesji, które by musiały doprowadzić do utraty zarówno twarzy jak i niezależności. Ultimatum zostało odrzucone. Kiedy premier E. Osóbka i szara eminencja rządu, J. Berman, oświadczyli wręcz Popielowi, że nie mogą dać gwarancji osobistego bezpieczeństwa dla delegatów na kongres, nie pozostawało nic innego jak zawiesić działalność Str. Pracy (16 lipca w Warszawie na zebraniu Komitetu Wykonawczego w rozszerzonym składzie, w jakim brałem udział) 8 września 1946 roku. Episkopat na konferencji plenarnej w Częstochowie wypowiedział się przeciwko temu aktowi przemocy, odmawiając kredytu zaufania grupie samozwańców, która przejęła kierownictwo Str. Pracy. Przed wyborami w 1947 roku kilkunastu działaczy Str. Pracy z adw. W. Bittnerem na czele podjęło próbę reaktywowania działalności pod nazwą Chrześcijańskie Stronnictwo Pracy. Nic z tego wyszło. Niedługo zresztą samozwańcy utrzymali się przy życiu. Wtyczki nie były już partii potrzebne. Po roku doszło do likwidacji fałszywego SP i wchłonięcia do Stronnictwa Demokratycznego. W październiku 1947 roku Popiel opuścił kraj legalnie. Paszport otrzymał nazajutrz po ucieczce Mikołajczyka. Reżymowi chodziło o stworzenie wrażenia tolerancyjnego stosunku do „przebranych” przywódców opozycji.

Na emigracji Popiel stał na stanowisku że Str. Pracy nie może uprawiać „wewnętrznej polityki emigracyjnej”, lecz że terenem jego działalności powinny być sprawy międzynarodowe. W związku z tym, odcinając się od legalizmu i tzw. obozu londyńskiego, współpracował z Polskim Str. Ludowym i Mikołajczykiem. Str. Pracy uznało, że przechodzi z „pozycji emigracyjnych na pozycję opozycji zagranicznej w stosunku do systemu panującego w

kraju”. Na terenie międzynarodowym Popiel wraz z najbliższymi współpracownikami K. Sieniewiczem i St. Gebhardtem, brał czynny udział w pracach europejskiej Międzynarodówki chadeckiej i w inicjowaniu konferencji interkontynentalnych, które doprowadziły do utworzenia chadeckiej Unii Światowej (UMDC). Uczestniczył ponadto w zorganizowaniu w 1950 roku w Nowym Jorku chadeckiej Unii Europy Środkowej, składającej się z przedstawicieli partii na wygnaniu (czeskiej, węgierskiej, litewskiej, łotewskiej i jugosłowiańskiej). Unia ta jednak, po wymarcu lub usunięciu się z aktywnej pracy większości członków, stała się kompletną fikcją odciętą od rzeczywistości krajów pochodzenia. Nie jest też uznawana za reprezentatywną przez licznych chrześcijańskich „dysydentów” wschodnio-europejskich, a w szczególności przez katolików współpracujących w taki czy inny sposób z duszpasterstwem emigracyjnym i powiązanych ściśle z opozycją antytalitarną.

Przez cały czas główną troską Popiela było utrzymanie łączności z krajem i oddziaływanie na zachodnie czynniki polityczne w kierunku wzmożenia pomocy gospodarczej dla Polski oraz swobodnej wymiany kulturalnej i informacyjnej. Przez jego rzymskie mieszkanie przewinęło się sporo krajowców. Interesował się zawsze żywo ewolucją w kraju, cieszył się z każdego przejawu niezależności myśli politycznej. Odwiedzali go ludzie różnych przekonań, nie tylko katolicy ze „Znaku” i niezorganizowani. Obdarzony wyjątkową pamięcią, był prawdziwą kopalnią wiadomości z politycznych dziejów XX-wolecia i okresu wojennego. Kilka interesujących książek młodych historyków, jakie ukazywały się w ostatnich latach w kraju, wiele zawiadziały rzymskim rozmowcom. Umiał słuchać i wyprowadzać wnioski niekoniecznie pokrywające się z partykularnymi interesami Str. Pracy. Pod powłoką szorstkiego obejścia krył ogromny zasób dobroci i życzliwości oraz tolerancji dla ludzi odmiennych, demokratycznych przekonań. Krytycznie nastawiony do Koła sejmowego „Znak”, zwłaszcza do Stommy, tzn. do jego neo-pozytywistycznej linii i procedury „licytowania w dół” w stosunkach z reżymem, obdarzał początkowo sympatią grupę ODISS, kierowaną przez pośła Zabłockiego. Uważał, że poszanowanie zasady pluralizmu w laikacie wymaga uznania równouprawnienia dla grupy proklamującej otwarcie zainteresowania polityczne i preferencje dla ideologii chrześcijańsko-społecznej. Kiedy nastąpił ostateczny rozłam w „Znaku” stanął na stanowisku, że należy pozostawić nowej reprezentacji sejmowej otwarty kredyt zaufania. Po strajkach czerwcowych, w obliczu wymowy faktów, zaczął stopniowo rewidować to stanowisko, mimo że był stale dezinformowany. Kiedy na wiosnę tego roku stało się dla wszystkich oczywiste, że grupa Zabłockiego działa na zasadach kolaboranckich, i jest izolowana i zdyskredytowana w oczach społeczeństwa, a w Episkopacie zaczęły podnosić się głosy coraz bardziej krytyczne, rósł jego niepokój i świadomość że zmieniały się reguły gry. Powiedział mi kiedyś wręcz: „Zabłocki powtarza błędy

Stommy, ignorując społeczeństwo w nowej sytuacji, wymagającej innego typu polityki". Uświadamiał sobie, że w kraju rosną nowe zastępy zwolenników idei chrześcijańsko-społecznej, którzy obok starych działaczy chadeckich jak adwokaci W. Siła-Nowicki i S. Kaczorowski, obecni są w różnych formacjach ruchu oporu (KOR, ROPCiO, PPN, Studencki Komitet Solidarności). Marzył o spotkaniach w kraju z młodymi zwłaszcza z przedstawicielami opozycji katolickiej. W ostatnich miesiącach życia był coraz bardziej rozdrażniony i zniecierpliwiony, wydawało mu się — w chwilach kiedy tracił poczucie rzeczywistości — że komunikat o jego powrocie do kraju już się ukazał. Nie doczekał się chwili powrotu, mimo że czekał na niego pokój w mieszkaniu na Saskiej Kępie u bratanicy, której kupił mieszkanie z oszczędności odkładanych przez lata. Wymyślano ciągle różne preteksty, by ten wyjazd opóźnić, jeśli nie wręcz uniemożliwić. Kiedyś powiedział mi: „Gebhardt ma rację, że Sieniewicz przetrzymuje mnie tutaj, bo czuje że beze mnie nic nie będzie znaczyć” (Gebhardt to potwierdził). Dużo musiał go kosztować tak otwarcie postawiony zarzut wobec swego najbliższego współpracownika. Wyrządzono mu krzywdę. To co miało stanowić wyłącznie akt czysto humanitarny zamieniono w przedmiot krypto-politycznej, egoistycznej kalkulacji.

Kryzys w zespole zagranicznym Str. Pracy wybuch dużo wcześniej, kiedy sędziwy prezes przestał odgrywać rolę czynnika integrującego. Kilka lat temu opuścili ten zespół zasłużeni działacze chadecy śp. M. Kwiatkowski, założyciel *Narodowca*, a po nim b. amb. w Belgii S. Glaser, b. prof. KUL'u i katolickiego uniwersytetu w Louvain, znawca międzynarodowego prawa karnego. W jednym i drugim przypadku nie chodziło o rozbieżności ideologiczne i polityczne, lecz o „powody specyficzne”. Popiel w ostatnich latach oddał praktycznie ster b. sekretarzowi generalnemu Str. Pracy K. Sieniewiczowi, który przekształcił sprawę tego ugrupowania i chadeckiej Unii Europy Wschodniej, we własne podwórko, używając szyldu SP dla indywidualnych, niekonsultowanych z nikim poczynań. Doprowadziło to do odmówienia mu przez zespół votum zaufania na zebraniu w marcu w Brukseli (powołano trzyosobowe kierownictwo, zachowując jednak historyczny relikw w postaci „prezydium SP”). Doszło jednak tylko do zakłajstrowania, a nie do rozwiązania węzłów spraw, utrudniających temu ugrupowaniu należyte samookreślenie się i zajęcie politycznie słusznej postawy wobec sytuacji w kraju (połowicznie załatwiono też kwestię stosunku do rozłamu w „Znaku”). *Mea culpa* — sam bowiem wziętem udział w tym niewydarzonym zebraniu, łudząc się, że tego rodzaju kom-

* Podzielał moje zdanie, że Zabłocki powinien przerwać milczenie w sprawie represji, załatwić przyzwoicie sprawę „Libelli” i włączyć się do ruchu społecznej presji antytotalitarnej — są to nieodzowne warunki jakiegokolwiek z nim współpracy.

promisowe *arrangement* stanowi bądź co bądź krok naprzód. Sytuacja w łonie zespołu psuła się nadal. Kryzys ten określił jeden z członków zespołu jako „niszczenie przez Sieniewicza długoletniego emigracyjnego dorobku politycznego SP”, nawołując do „ratowania SP od kompromitacji”. Zapanowała jednak gombrowiczowska „niemożność”. W tym stanie rzeczy kilku członków zespołu podjęło akcję indywidualną. Np. J. Kułakowski, sekretarz gen. Konfederacji Pracy w Brukseli, interweniował w Warszawie na rzecz zwolnienia robotników i członków KOR'u oraz zadeklarował solidarność z zespołem Więzi, zwłaszcza z T. Mazowieckim, mężem zaufania grupy osób, wierzących i niewierzących, które podjęły głódówkę protestacyjną w kościele św. Marcina.

Nie będę zajmował się praniem brudów rodziny z którą się rozstałem, zwłaszcza że jest osierocona i rozbita. Wraz ze śmiercią Karola Popiela kończy się jednak historyczne Stronictwo Pracy i to wymaga odnotowania kilku zasadniczych spraw. Program krajowy SP, o jakim już była mowa, stwierdza: „podstawowe prawa obywatelskie przysługują jednostce nie z łaski rządu, lecz są jej nigdy nieprzedawnionym, niepozbawialnym prawem, przysługującym jej z samej natury rzeczy... naczelną ideą SP jest wielka reforma moralna, bez której daremne będą wysiłki polityków i ekonomistów i olbrzymi rozlew krwi wojen światowych... konieczne jest przyjęcie przez ludzi i narody podstawowych zasad sprawiedliwości, tzn. praw moralnych, którym jesteśmy dobrowolnie posłuszni choćby nawet były one sprzeczne z naszym własnym interesem... SP odrzuca wszelkie formy totalizmu”. Te słuszne wytyczne programowe nie były w ostatnim czasie respektowane w praktyce przez zespół zagraniczny SP. Nie wystarcza czysto deklaratywne ich recytowanie. Kiedy L. Lama, sekretarz gen. CGIL, największej włoskiej centrali związków zawodowych i członek KC partii komunistycznej, wysłał telegram do przewodniczącego Rady Państwa, domagając się położenia kresu represjom i uwolnienia skazanych robotników i członków KOR'u — b. sekretarz gen. SP kompromituje się powtarzaniem sloganów partyjnych o „awanturkach, syjonistach i rewizjonistach”, dążących rzekomo do wywołania w kraju rewolucji. Powtarza, co gorzej, te brednie w lipcu po powrocie z pogrzebu Popiela. Nikt z zespołu nie protestuje. „Awanturnicy” i zwolennicy „rewolucji” tymczasem wychodzą z więzienia, bo partia była zmuszona wycofać się z drogi represji i doprowadzić tym samym do semi-legalizacji opozycji. Kiedy nasz bohater wrócił z niefortunnej, styczniowej wyprawy do Warszawy po spotkaniu „Dialog i kooperacja”, gdzie politycznie spalił się, wprowadzając w błąd zachodnich chadeków (niemieccy nie dali się nabrać — nie pojechali — inni, po powrocie, otrzęźwieli), spotkał się z powszechną dezaprobatą w środowiskach krajowej opozycji, w środowiskach emigracyjnych, a ponadto z krytyką w samej międzynarodówce chadeckiej. Dr K. Hahn,

zastępca sekretarza gen. europejskiej unii chadeckiej oświadczył, że popieranie grupy Zabłockiego przez Sieniewicza jest szaleństwem, jego poglądy przychylne dla „kompromisu historycznego” pomiędzy partią i Kościołem — nie do przyjęcia i cała ekspozycja sytuacji i stosunków pomiędzy partią i opozycją — błędna. „Nie możemy dopuścić do tego, by pozostawić lewicy monopol na obronę praw ludzkich i obywatelskich w Europie Wschodniej” — tak brzmiał wniosek dr. Hahna, wysnuty z niedorzecznych „myśli politycznych” Sieniewicza. Ubierał on bowiem swoje „rozmyślenia” w formę raportów i komunikatów, opartych na nieprawdzie. Pewien członek polskiego Episkopatu, któremu posłał swój elaborat, komentował: „według pana Sieniewicza reżym polski wypełnia zobowiązania układów w Helsinkach”; b. deputowany czeskiej partii chadeckiej, pracujący do niedawna w Unii światowej powiedział mi: „według Sieniewicza w Polsce wszystko układa się pięknie” (nie dodał tylko — co inni stwierdzili w formie pytania: dlaczego tam nie został, by budować partię chadecką według własnej miary?). W raporcie o sytuacji w kraju, rozsyłanym do wielu na pewno niezorientowanych osób, podtrzymywał schemat z roku 1968: partia przeciw „renegatom-rewizjonistom”, w opozycji — jego zdaniem — tylko marksiści, rozstrzygał wizję dualistycznej przyszłości: partia i Kościół (w towarzystwie katolików posłusznie kolaborujących z reżymem „dla dobra narodu” — reszta się nie liczy). Atakował „romantyzm” opozycji, przeciwstawiając mu chwalebny neo-pozytywizm. Kiedy tenże neo-pozytywizm, reprezentowany był przez Stommę, nie mógł go strawić — teraz go reklamuje!

Program SP stwierdza konieczność „przywrócenia jedności duchowej i polityczno-społecznej Polski i Europy przez uznanie zasad moralnych w polityce oraz ścisłego związku między postępem kultury a wyzwoleniem społecznym pracy” („polski, chrześcijański unionizm”) ... stworzenia silnego bloku federalnego ze wszystkich krajów obszaru środkowo-europejskiego, gdzie żyje liczna rodzina narodów (... między Bałtykiem a Morzem Czarnym) znajdujących się w podobnej sytuacji geopolitycznej i jednakowo zagrożonych przez zakusy imperialistyczne”). Zamiast utrzymywać i próbować galwanizować trupa w postaci chadeckiej Unii Europy Środkowej należało dawno pomyśleć o zespoleniu wszystkich sił chrześcijańskich na emigracji łącznie z litewskimi i ukraińskimi katolikami i nie wykluczając wspaniałych rosyjskich chrześcijan, świeżych wygnańców, mających nie raz polskich przodków (Bukowski). Wbrew założeniom programowym SP, zamiast uprawiania ekumenizmu i unionizmu, mieliśmy dotąd do czynienia z najgorszą wersją polskiego nacjonalizmu. B. sekretarz gen. SP sprzeciwił się nawet w pewnym momencie rozprowadzeniu książek autorów rosyjskich i ukraińskich przez wydawnictwo „Odnova” założone i kierowane przez członka zespołu SP, J. Kulczyckiego (usunięty został w konsekwencji z zarządu „Odnovy”).

Program SP mówi o „dążeniu do ujęcia życia polityczno-społecznego kraju w kilka wielkich prądów ideowych, odpowiadających zasadniczym, istotnie różniącym się między sobą koncepcjom politycznym... zmierzaniu do stworzenia lub wykorzystania warunków, które pozwoliłyby na *odtworzenie wolności i pluralizmu* życia politycznego w Polsce, a w jego wyniku *możliwości istnienia ruchu chrześcijańsko-społecznego*” (podkr. moje). Trzymanie się kurczowe przez pewnych członków zespołu *idée fixe*, przyznawania prymatu sprawie odbudowy SP w kraju bez uwzględnienia konieczności ewolucji w kierunku antytalitar-nym, jest oczywiście niezgodne z w/w założeniami. Sprawą o kluczowym znaczeniu jest zajęcie konkretnej postawy antytalitarnej, otwartej ku prądom demokratycznej lewicy, laickiej i socjalistycznej, w przeciwnym wypadku musi nastąpić samowyzolowanie z zachodzących procesów oraz zawsze będzie grozić niebezpieczeństwo sprzyjania machinacjom prowadzącym do faworyzowania fałszywej chadecji. Nikt w kraju nie potrzebuje SP za wszelką cenę, a w szczególności za cenę odcinania się od tych, którzy w ruchu katolickim nie dali się wciągnąć w zakładanie (zespół *Tygodnika Powszechnego*) i mają wielką zasługę (*Więź*, *Znak*) przyczynienia się do procesu rewizji poglądów na Kościół i chrześcijaństwo w środowiskach młodej lewicy demokratycznej. Bilans „Znaku” nie wypada negatywnie, jeśli się weźmie pod uwagę walory moralne i wychowawcze. To właśnie „Znak”, a nie ODISS, wychował kadrę młodych ludzi, którzy zasilili również szeregi KOR'u i innych formacji ruchu oporu. Pod tym względem oddziaływanie społeczne „Znaku” było na pewno większe niż innych kierunków w ciągu ostatnich 20 lat, których, mimo że miały duże znaczenie polityczne (na przykład rewizjonizm) wpływ moralny i wychowawczy był raczej ulotny. Fakt, iż działalność liberalnych środowisk „Znaku” przyczyniła się do zasypania dawnej przepaści pomiędzy lewicowymi środowiskami niekomunistycznymi a katolickimi, pomiędzy kulturą laicką a chrześcijańską, nie może być niedoceniany.

Nie należy bronić sztyldu, lecz humanistyczną treść zawartą w założeniach programowych SP. Odnova SP w kraju może nastąpić jedynie w warunkach pełnego pluralizmu, a nie na zasadzie przywileju czy koncesji.

Komuniści i Watykan

W poprzedniej korespondencji relacjonowałem wizytę Kadara u Papieża. Potraktowałem ten fakt dość bezpardonowo. Doświadczenie nauczyło mnie, że nie należy przesadnie obawiać się surowych sądów dotyczących polityki watykańskiej. W sukurs przyszedł mi nieoczekiwany kard. Franz Koenig z Wiednia, przewodniczący watykańskiego sekretariatu dla niewierzących. W wywiadzie radiowym (15 lipca) stwierdził mianowicie, że mimo konferencji w Helsinkach postawa reżymów komunistycznych

wobec religii nie uległa zmianie i ateizm jest nadal uznawany jako „religia państwowa”. Jego zdaniem, reżymy te starają się usilnie stwarzać wrażenie, że „wszystko odbywa się normalnie, nie przynosząc nikomu szkody”. Wizyty przywódców tych reżymów w Watykanie służą jedynie celom propagandowym — powiedział kard. Koenig i dodał: „po tych wizytach często nic nie ulega zmianie w zainteresowanych krajach”. Wizytę Kadara u Pawła VI-go nazwał „wydarzeniem spektakularnym” (według Papieża było to „wydarzenie o szczególnej wymowie i specjalnym znaczeniu”). Czy wierni na Węgrzech odniosą z tego jakąś korzyść? — „zobaczymy, odpowiedział Koenig, do tej pory bowiem są ofiarami wychowania w duchu ateistycznym”. W Polsce — według kard. Koeniga — Kościołowi udało się stworzyć sytuację specjalną w porównaniu z innymi państwami komunistycznymi, ale „Moskwa nadal naciska, by rząd warszawski stosował linię nieprzejednaną w dziedzinie religijnej”. W żadnym wypadku — stwierdził Koenig — kontakty Watykanu z reżymami komunistycznymi (mające na celu zabezpieczenie większej swobody dla wiernych) nie mogą być interpretowane jako ewentualny alians pomiędzy chrześcijaństwem a komunizmem. Ocenę Koeniga podziela ekonomista węgierski prof. P. Kende, wybitny przedstawiciel węgierskiej opozycji socjalistycznej, wykładowca na uniwersytecie w Nanterre. Na niedawnej konferencji, poświęconej analizie sytuacji w Europie Wschodniej, Kende oświadczył, że tzw. kompromis w wydaniu Kadara, czyli „mechanizm stosunków pomiędzy władzą a społeczeństwem”, dzięki czemu udało się uniknąć gwałtownych napięć społecznych, nie dotyczy kwestii religijnej. Niezależny marksista zgadza się więc z kardynałem Rzymskiego Kościoła. Na pomoc Watykanowi ruszyli włoscy komuniści. *Unità*, organ PCI (30 lipca) ostro skrytykowała Koeniga za „atak na watykańską *Ostpolitik*”, stwierdzając, że zdementował go... min. Kąkol, który zapowiedział, że rząd polski „zamierza przejść od fazy koegzystencji do fazy kooperacji w stosunkach z Kościołem... pod warunkiem że Kościół uzna socjalistyczny charakter Polski i jej przynależność do obozu socjalistycznego”. Organ włoskich komunistów wzywa w związku z tym polski episkopat do „teologicznego przemyślenia procesu budownictwa socjalistycznego w Polsce”. Kardynała Koeniga zdementował ponadto — według włoskich komunistów — rząd praski, godząc się na otwarcie rokowań ze Stolicą Apostolską w sprawie obsadzenia wakujących stolic biskupich. Organ PCI chwali Watykan za „dążenie do odprężenia i normalizacji” w krajach komunistycznych. „Dialog między tymi krajami a Stolicą Apostolską — stwierdza *Unità* — postępuje wbrew twierdzeniom kardynała Koeniga” (znajdującego się naturalnie „pod wpływem europejskich kół konserwatywnych, zwłaszcza niemieckich”).

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 sierpnia 1977.

Czy ruch innomyślnych jest czynnikiem politycznym?

Zasięg upowszechnienia nastrojów ideologicznie opozycyjnych

W dokonywanych przez zachodnich dziennikarzy i ekspertów ocenach zasięgu innomyślności¹ i ruchu na rzecz przestrzegania prawa w ZSSR występowały — mam to stale na uwadze — dwie skrajności. Początkowo, gdy tylko ruch ten głośno dał znać o swoim istnieniu, pojawiła się skłonność do oceniania go jako siły zdolnej do skutecznego oddziaływania na rozwój sowieckiej polityki. Być może, iż na taką ocenę miała wpływ tendencyjność z jaką eksperci rosyjskiej emigracji politycznej często osądzają dowolne wydarzenia w ZSSR; mam tu na myśli, charakterystyczne dla emigracji politycznych w ogóle, pośpieszne wyciąganie wniosków mających dowiedzieć świata, że niemiły sercu reżym panujący w ich ojczyźnie znajduje się na skraju katastrofy.

W swoim czasie, na początku lat 70-tych, należałem do tych, którzy w rozmowach z zachodnimi dziennikarzami starali się rozwiać złudne wrażenie jakoby innomyślni i ruch na rzecz przestrzegania prawa były już w ZSSR siłą politycznie wyczuwalną.

Później, kiedy ilość aktywistów tego ruchu przestała narastać, a co więcej wskutek aresztów i banicji zmalała, zachodni eksperci popadli w odwrotną skrajność: obecnie często mniema się, że ruch ten nie jest czynnikiem społecznym, który warto by uwzględnić w politycznych prognozach.

Jest to ocena błędna, chociażby ze względów czysto ilościowych. Ludzie, których znamy z nazwiska jako aktywistów ruchu, nie są jedynymi dysydentami; wręcz przeciwnie, stanowią oni znikomą mniejszość innomyślnych, są jedynie wystarczająco odważni by głośno mówić o swej innomyślności.

Wielu — a mowa tu o inteligencji i urzędnikach — nie występuje jawnie w roli dysydentów; ich odwaga polega na zaznaczaniu swej postawy choćby w drobiazgach, lecz stale, w pracy twórczej czy menadżerskiej. Ogromna ilość nie czyni nawet tego, pozostając z pozoru posłusznymi wykonawcami; a jednak ich opozycyjność jest na tyle silna by ujawnić się przy odpowiedniej okazji, lub by po prostu, i w sposób niezauważalny dla nich samych, wpływać na sposób w jaki wykonują swoje służbowe

1. W oryginale *inakomyslije*, *inakomyslaszczije* itp. Proponując neologizm „innomyślność”, „innomyślni” itp., redakcja polskiego przekładu kierowała się przekonaniem, że polski tekst powinien zachować ważną znaczeniowo cechę: chodzi tu wszak o ludzi, którzy po prostu „myślą inaczej” niż chce tego oficjalna sowiecka doktryna ideowo-polityczna — przyp. redakcji polskiej.

obowiązków. Wygląda na to, że władze świetnie zdają sobie sprawę z mnogości takich ewentualnych opozycjonistów i że przeróżne kampanie, jak antysyjonistyczna lub antysacharowska, czy akcje w rodzaju podpisywania apelu sztokholmskiego, służą właśnie „demaskacji” takich ideowo niepewnych elementów.

Określenie ilości takich ideologicznie opozycyjnych inteligentów czy urzędników jest, rzecz jasna, niemożliwe; niejednokrotnie jednak wypowiadano pogląd, że w głównych miastach ZSSR prawie cała inteligencja jest ideologicznie opozycyjna. Mniemanie to — jeśli nawet nie jest przesadne — oparte jest na mglistości pojęcia „opozycyjny”, na tym że w stosunku do bieżących haseł partii każdy może zachowywać jakąś dozę sceptycyzmu. Takie rozszerzenie zakresu pojęcia „ideologiczna opozycyjność” jest oczywiście nonsensem. Z pewnością natomiast powiedzieć można — a opieram się tu nie tylko na własnym, wciąż jeszcze aktualnym doświadczeniu, lecz również na świadectwach świeżo przybyłych z ZSSR — że znani dysydenci publicyści na ogół wyrażają poglądy nie tylko czysto osobiste. Wiele przemawia za tym, że często publikacje dysydentów są owocem przeróbek i uzgadniania opinii, właściwych ich kręgowi społecznemu².

Mogę to powiedzieć z całą pewnością o dwóch najbardziej znanych pozacenzuralnych autorach (tj. tych, których teksty po prostu omijają cenzurę); mam na myśli Andrieja Sacharowa i Roja Miedwiediewa.

Rezultatem takiego „uprzątnięcia” poglądów, w tym przypadku poglądów i rozterek liberalnie nastrojonych funkcjonariuszy partyjnych, są teksty Miedwiediewa. Dlatego też zasługują one na baczną uwagę³. Jestem zresztą pewien, że nie umniejsza to autorskiej roli Miedwiediewa. Znaczenie tych tekstów polega na tym, że napisane są charakterystycznym sowieckim językiem, bardziej dostępnym działaczom partyjnym niż język publicystyki inteligentkiej. Jak się wydaje, Miedwiediew ściśle powiązany jest z tą warstwą społeczną, którą określić można jako depozytariuszy partyjnej herezji. Mam tu na myśli starych komunistów i ich rodziny. Niektórzy z tych ludzi pamiętają jeszcze partyjne dyskusje lat dwudziestych, dla wielu szkołą herezji były stalinowskie obozy, prawie wszystkich okres chruszczowskich reform skłonił do poszukiwań, mających na celu udoskonalenie partyjnej teorii i praktyki. Należy tu zauważyć, że chociaż warstwa ta, jako taka, nie sprawuje władzy, to w jakimś zakresie

2. Nie odnosi się do tzw. legalistów — Wolpina, Czalidzego, Twierdochlebow. Ograniczali się oni do specyficznej problematyki, jaką jest analiza sowieckiego i międzynarodowego prawa; ich teksty nie odzwierciedlają nastrojów społecznych. Por.: *Dokumenty Komiteta Praw Człowieka*, Andriej Twierdochlebow — *W zaszczytu praw człowieka*, Czalidze — *Prawa Człowieka i Sowietkiej Sojuz*.

3. Por. *K sudu istorii, Kniga o socialisticzeskoj demokratii, Chruszczow — gody vlastii* (współ z Z. Miedwiediewym), *Politiceskiej dniewnik, Dwadecyj wiek i in.* — *Przegląd literatury i sztuki* 1978, 1, 10.

ten rezerwat partyjnej herezji przekazuje swe wątpliwości rządzącej partyjnej biurokracji. Oczywiście oznaczenie ilości liberalnie nastrojonej części partyjnych funkcjonariuszy nie jest możliwe. Nie wolno przy tym zapominać, że w środowisku tym skryty liberalizm nie jest jedynym „odchyleniem”: opozycyjne w stosunku do obecnej polityki utrzymania *statu quo* są również grupy zwolenników twardego kursu, w niektórych wypadkach zwolennicy twardej, nacjonalistycznej polityki.

O wadze liberalnych nastrojów wśród partyjnych funkcjonariuszy świadczy fakt, podany do wiadomości publicznej przez Miedwiediewa (któremu ufam), że wśród książek zakazanych a udostępnianych pracownikom KC są utwory Sołżenicyna, lecz nie ma publikacji Miedwiediewa. Jak łatwo się domyśleć dlatego, że te ostatnie bardziej odpowiadają nastrojom części partyjnych funkcjonariuszy.

Poglądy głoszone przez Sacharowa w jego znanych wystąpieniach i w książce „Mój kraj i świat” najbliższe są wartościom europejskiej i północno-amerykańskiej cywilizacji. Tym miłsza jest świadomość, że nie są to bynajmniej poglądy jednego tylko człowieka, sposób myślenia jemu tylko właściwy. Nie umniejsza to wagi autorstwa; pewien jednak jestem, że sam Sacharow nie zaprzeczy temu, iż jego teksty są rezultatem wnikliwego, twórczego opracowania całego zespołu poglądów, krążących w bliskich mu kręgach społecznych, przede wszystkim wśród uczonych i techników pracujących w instytutach naukowo-badawczych. W ostatnich latach oczywisty wpływ na Sacharowa wywarły jego kontakty z jawnymi dysydentami. Środowisko uczonych i twórczo pracujących inżynierów jest prawdopodobnie częścią społeczeństwa sowieckiego najbardziej liberalną i zarazem myślowo najodważniejszą. Nic tedy dziwnego, że wielu znanych działaczy ruchu dysydenckiego stąd się właśnie wywodzi. I w tym wypadku nie należy zapominać, że do nas docierają jedynie nazwiska tych, którzy w jawny sposób dali świadectwo swemu myślowemu innowierstwu. Większość, mniej lub bardziej opozycyjnie nastawionych pracowników naukowych, nie manifestuje swej opozycyjności, nie uważa by to było potrzebne; jest to zrozumiałe jeśli uświadomić sobie warunki (sowieckie) w jakich żyją, oraz psychiczne nastawienie uczonego, dla którego praca badawcza jest zazwyczaj wartością donioślejszą, niż publiczne deklaracje na tematy społeczne. Często też zdarza się, że nie ujawniający się innomyslni otwarcie poświadczają swą lojalność względem partyjnej ideologii; wiadomo, że działalność Sacharowa cieszy się sympatią niektórych uczestników oficjalnych antysacharowskich kampanii.

W tekstach innych autorów mamy często prawo dostrzegać wypadkową przeświadczeń innych kręgów społecznych, na przykład humanistów lub środowisk zainteresowanych refleksją i poszukiwaniami natury religijnej. Dla badacza samizdatu nie ulega wątpliwości, że pozacenzuralna publicystyka jest nie tylko tworem

odważnych lub anonimowych autorów, lecz również socjologicznym świadectwem twórczego życia społeczeństwa⁴.

Czy ma sens branie pod uwagę takiej nie przejawiającej się, choć bardziej masowej innomysłowości? Czy należy traktować sowiecką innomysłowość jako istotny składnik życia społecznego? Sądzę, że właśnie ta skryta innomysłowość, ta nieujawniająca się lecz masowa aprobatą pojedynczych odważnych wystąpień, stanowi najistotniejszy składnik życia społecznego⁵.

Jak się wydaje władze sowieckie uważają, iż sam fakt istnienia jawnie poświadczonych innomysłowości dowodzi szerokiego rozpowszechnienia nastrojów ideologicznie opozycyjnych. Najwyraźniej również władze sowieckie uważają upowszechnianie takich nastrojów (czy choćby sceptycyzmu) za ważny, jeśli nie niebezpieczny, czynnik wewnętrznie polityczny.

Na temat tego czy aktywna funkcja tego czynnika będzie przybierać na sile — można żywić różne poglądy. Osobiście nie skłaniam się ku optymizmowi. Dopuszczam natomiast, że upowszechnienie sceptycyzmu czy ideologicznej opozycyjności osiągnęło poziom, czyniący czymś mało prawdopodobnym odwrócenie procesu intelektualnego uwłaszczania.

4. W tekście niniejszym w zasadzie mówię o tzw. kierunku liberalno-demokratycznym w ruchu dysydenckim, jak również o komunistach-here-tykach opowiadających się za tzw. socjalistyczną demokracją. W ramach dzisiejszej rosyjskiej innomysłowości ważną pozycję zajmują również inne kierunki, z których wymienię religijno-polityczny i religijno-narodowy. Nie są to określenia zbyt jasne, używając ich mam na myśli tych, którzy głoszą konieczność politycznej przebudowy Rosji na gruncie prawosławia jako ideologii państwowej, lub w oparciu o syntezę idei religijnych i narodowych, oraz inne pokrewne im poglądy (por.: *Iz pod głyb, Sołżenicyn List do przywódców, Program WSchSON, czasopismo Wieczje*). Analiza ruchów społecznych w dzisiejszej Rosji nie może pomijać tych tendencji, stanowią one ważny czynnik kulturalnego i duchowego rozwoju Rosji. Tu jednak omawiam problem innomysłowości jako czynnika politycznego; prawosławie i tendencje nacjonalistyczne są prawie nieobecne w tych kręgach społecznych, które z racji swej pozycji lub typu twórczości wpływać mogą na życie polityczne; nie są one również rozpowszechnione w tych warstwach, które mogą mieć wpływ na życie polityczne z racji swej liczebności. Należy jednak pamiętać o nacjonalistycznych tendencjach w aparacie partyjnym — o czym wiadomo raczej niewiele. Nie omawiam tego kierunku, mimo iż zdaje sobie sprawę, że właśnie on jest, lub może się stać, ważnym czynnikiem polityki.

5. Zakrawa to na paradoks. Na przykład wielokrotnie poświadczony jest następujący fakt: w sowieckich instytucjach naukowych lub artystycznych często dzień pracy zaczyna się od aprobującego omówienia wiadomości nadawanych przez BBC czy „Głos Ameryki”, w tym wiadomości dotyczących dysydentów (co prawda rozgłoszenie te rzadko mówią o dysydentach). Jeśli tych samych ludzi wezwą na zebranie i zażądają uchwalenia rezolucji potępiającej BBC lub „Głos Ameryki”, czy wreszcie dysydentów — uczynią to. Taka obuda stanowi minimum lojalności ideologicznej, jakiej domagają się władze. Wiedzą one, że jest to minimum i zdają sobie sprawę z tego, że skrywana innomysłowość musi wpływać na codzienną pracę urzędnika czy wysokiego funkcjonariusza.

Rozważałem tu zagadnienie horyzontalnego zasięgu upowszechnienia skrytej innomysłowości wśród warstw politycznie znaczących. Pytanie jak wysoko sięga to upowszechnienie? Nie jest tajemnicą, że ludzie sympatyzujących z dysydentami spotkać można na samej górze sowieckiej hierarchii naukowej. Ostrzejsza kontrola sprawowana jest — rzecz jasna — w kręgach partyjnych funkcjonariuszy. Wiemy na ten temat niewiele; znacznie więcej na temat potencjalnej innomysłowości tych kręgów wie władza. Możemy o tym wnosić na podstawie wzmożenia ideologicznej kontroli wśród kandydatów na kierownicze stanowiska.

Pewne wnioski na temat tego jak wysoko jest zasięg skrytej — choć niekiedy czynnej — innomysłowości poczynić możemy w oparciu o fakt, że do samizdatu docierają niekiedy informacje i dokumenty dostępne jedynie wysoko postawionym osobistościom; piszę o tym w następnym rozdziale.

Pod koniec lat 60-tych niektórzy wybitni sowieccy działacze kulturalni zdobyli się na złożenie podpisów pod petycjami w obronie prawa. Nazwiska ich nie uległy zapomnieniu, choć sam fakt nie musi świadczyć o zaawansowanej innomysłowości.

W niektórych przypadkach przyzwolone postępowanie wybitnego aktywisty pozwala nam (i władzy również) podejrzewać, że mamy do czynienia może nie z politycznie, lecz z moralnie opozycyjnym nastawieniem. Dzieje się tak w wypadku gdy ktoś odmawia udziału, powiedzmy, w kampanii antysyjonistycznej czy w nagonce na Sacharowa.

Istnieją podstawy do przypuszczeń, że nastroje opozycyjne pojawiają się wśród ludzi, których nazwisk nie znamy, i których nie mogliśmy nawet podejrzewać o opozycyjność. Zachowanie wysokiej pozycji w hierarchii wymaga od takiego innomysłowego szczególnej ostrożności. Inną sprawą jest czy taka skryta innomysłowość wpływa na działalność twórczą, albo na sposób w jaki dany człowiek wykonuje swe kierownicze funkcje. Rozumiemy, że bezpośredni wpływ nie ma tu miejsca; w każdym jednak razie fakt pojawienia się opozycyjnych nastrojów na wysokich szczeblach sowieckiej hierarchii jest czymś społecznie doniosłym.

Akcja na rzecz jawności

Jeśli nawet pominąć ilościowy aspekt zasięgu jawnej i skrytej innomysłowości, to sam fakt istnienia w społeczeństwie sowieckim innomysłowych oraz ruchu na rzecz przestrzegania praw należy uznać za istotny czynnik rozwoju politycznego; a to dlatego, że już prawie 10 lat dysydenci przyczyniają się do przekształcania społeczeństwa sowieckiego w społeczeństwo jawne tj. intensywnie działają na rzecz tego, by bezprawnie zatajane przez władze a społecznie doniosłe informacje docierały do naszego społeczeństwa i do reszty świata, by wiedza mieszkańców ZSSR o ży-

ciu na Zachodzie bliższa była prawdy, inna niż to czego chce sowiecka prasa. W tym krótkim okresie, dzięki temu właśnie czynnikowi, obrócona została w niwecz jedna z najtrwalszych sowieckich tradycji: całkowite milczenie na temat wyroków w sprawach politycznych, na temat obozów i więzień. Ujawniono fakty dotyczące prześladowań wierzących, dyskryminacji narodowej i wielu innych spraw. Władze starannie ukrywały wszystkie te fakty, zarówno przed społeczeństwem jak i przed swoimi zagranicznymi partnerami; polityka ich oparta była właśnie na założeniu, że to co zatajone nie zostanie nigdy ujawnione. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że stałe, idące na przekór władzy ujawnianie tego co przedtem było ukrywane, jest ważnym czynnikiem politycznym, i że obecnie władze planując swą politykę muszą się z tym liczyć. Nie znaczy to, że pojawienie się owego czynnika natychmiast skłoni władze do zaprzestania haniebnych, dawniej zatajanych praktyk. Oczywiście, że nie. Władze kontynuują politykę prześladowań, nie bacząc na to, że wbrew ich staraniom fakty te podawane są do wiadomości publicznej. Władze nie ustają w poszukiwaniach nowych metod zatajania informacji o represjach, nie mogą jednak pozostać całkowicie obojętne względem czynnika jawności. Jak się wydaje, konkretnym, uchwytnym dziś skutkiem działalności ruchu na rzecz przestrzegania prawa jest właśnie systematyczne ujawnianie faktów naruszania prawa, a nie jakieś skryte zjawisko społeczne, którego pojawienie się nastąpi nieprędko.

Władza uczulona jest szczególnie na ujawnianie bezprawnie zatajanych faktów, dotyczących naruszania międzynarodowych humanitarnych konwencji. W tej sprawie akcje innomyślnych, mające na celu wprowadzenie jawności do życia społeczeństwa sowieckiego, są szczególnie ważne, umożliwiają bowiem kontrolę wykonywania międzynarodowych zobowiązań. Być może, iż działalność innomyślnych przyczynia kłopotów nie tylko władzom sowieckim, lecz również międzynarodowym organizacjom, które nawykły do zadawania się dostarczającymi przez oficjalnych sowieckich przedstawicieli, radosnymi wieściami o wspaniałym przebiegu wykonywania przez Związek Sowiecki międzynarodowych zobowiązań. Zwolna jednak nie tylko władze sowieckie, lecz również międzynarodowe organizacje będą musiały zacząć się liczyć ze społecznymi źródłami informacji. Trudno pokładać nadzieje w inicjatywach organizacji międzynarodowych, ale opinia społeczna na Zachodzie może tu być pomocna.

Przekazywaniem do wiadomości publicznej bezprawnie zatajanych informacji zajmowało się wielu poważnych działaczy ruchu; z tego punktu widzenia przykładem służyć może redakcja moskiewskiej *Kroniki Bieżących Wydarzeń*. W ostatnim okresie duże znaczenie posiada działalność kierowanej przez fizyka Jurija Orłowa Grupy Społecznej, działającej na rzecz wykonywania postanowień Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach. Grupa Społeczna zbiera informacje o tym w jaki sposób Związek So-

wiecki przestrzega postanowień KBWE i proponuje państwom-sygnatariuszom zapoznanie się z owymi informacjami⁶.

Przyszłość pokaże do jakiego stopnia rządy państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego skłonne są skorzystać z tej pożytecznej akcji. Jeśli chodzi o władze sowieckie, to sądząc z ich reakcji, wolno przypuszczać, że rozeźlił je sam fakt powołania do życia Grupy.

Należy tu podkreślić drobiazgową ostrożność i uczciwość, jakimi kierują się działacze ruchu publikując dane dotyczące naruszania praw człowieka w ZSSR. Muszę tu przyznać, że w początkowej fazie działalności ruchu, pod koniec lat 60-tych, zdarzało się że niektórzy niezbyt poważni działacze ruchu na rzecz przestrzegania prawa składali publiczne oświadczenia, które — mimo iż oparte na faktycznych danych dotyczących bezprawia władz — byłyby niekiedy przesadzone i zawierały nazbyt już emocjonalne oceny. Względnie jednak szybko ukształtowała się w ramach ruchu tradycja dokładnego, i w zasadzie beznamiętnego, informowania społeczeństwa o faktach naruszania praw człowieka; na ukształtowanie się takiego stylu ogromny wpływ miała moskiewska *Kronika Bieżących Wydarzeń*, ciesząca się zasłużonym autorytetem dokładnego i odpowiedzialnego źródła.

Warto tu podkreślić, że uczestnicy ruchu przykładają od lat wielką wagę do moralnego aspektu swej działalności. Mogę poświadczyć, że wybrane przez nich zasady moralne godne są naśladowania; mogę stwierdzić, że brak jakichkolwiek podstaw do kwestionowania uczciwości znanych działaczy ruchu, których, smutna to ironia losu, władze oskarżają o oszczerstwa nawet wówczas, gdy komunikatom ruchu towarzyszą kopie oficjalnych dokumentów.

Sądzę, że nawet dla ludzi skrajnie krytycznie odnoszących się do informacji o naruszaniu praw człowieka w ZSSR znaczący winien być fakt, że informacje te przekazują ludzie wysokiej moralnej próby, którzy nigdy nie pozwoliliby sobie, nawet w szlachetnym celu, na zniekształcanie faktów.

Zbieraniem i redagowaniem informacji zajmują się nie tylko znani uczestnicy ruchu. Wiele świadczy o tym, że ruch korzysta z pomocy ludzi, których nazwiska niekiedy tylko docierają do

6. Nie należy zapominać o trudnościach towarzyszących zbieraniu informacji i o możliwych pomyłkach, w szczególności gdy chodzi o daleką prowincję. Pomyłki takie są jednak w miarę możliwości korygowane; nie-rzadko redaktorzy zaznaczają, że dana informacja nie jest sprawdzona. Znane są przypadki, gdy *Kronika*, celem weryfikacji, wstrzymywała ogłoszenie ważnych wiadomości. Można to uznać za paradoks, faktem jednak jest, że anonimowa, nie dysponująca trwałą organizacją redakcja, której skład ulegał nadto zmianom w miarę aresztowań, zasługuje na zaufanie w stopniu o wiele większym niż składane pod przysięgą świadectwa niedawnych emigrantów, którzy nie uczestniczyli w ruchu i nie przyswoili sobie jego tradycji. Niedawno np. pewien emigrant, indagowany przez komisję Kongresu USA, zeznał pod przysięgą, że w ZSSR jest obecnie milion więźniów politycznych, co zdaniem dobrze zorientowanych osób jest jawną pomyłką.

nas w komunikatach o nowych aresztowaniach. Nie należy sądzić, że informatorzy ruchu rekrutują się wyłącznie spośród więźniów, łagierników czy nisko usytuowanej w hierarchii inteligencji. Niektóre trafiające do samizdatu dokumenty — na przykład decyzje Głównego Zarządu Ochrony Tajemnicy Państwowej, dotyczące konfiskaty lub palenia książek — dostępne są jedynie wybranemu gronu funkcjonariuszy. Podobnie ma się rzecz z informacjami podawanymi do wiadomości wyłącznie na zamkniętych zebraniach, czy odczytach dla wtajemniczonych i zaufanych.

Analizując informacje pochodzące z kręgów ruchu na rzecz przestrzegania prawa, można sobie stworzyć pewne wyobrażenie o geograficznym rozrzucie źródeł informacji. Bez trudu można zauważyć, że „kontrolą informacyjną” ruchu najskuteczniej objęte są wielkie miasta, i to europejskiej części ZSSR — Ukrainy, republiki nadbałtyckich i w nieco słabszym stopniu Gruzji.

Wygląda na to, że władze, mimo iż wciąż z tym walczą, przestały się liczyć z możliwością zamknięcia przepływu informacji z Moskwy za granicę; gros wysiłku skierowują one obecnie na zatamowanie dopływu informacji z prowincji do Moskwy, oraz dopływu z Moskwy na prowincję publikacji samizdatu. Mnożą się wiadomości o rewizjach na lotniskach i dworcach kolejowych, co świadczy o tym, że władze podejrzewają rewidowanych prowincjuszy o związki z dysydentami.

O zaniepokojeniu władz tak szerokim zasięgiem aktywnych nastrojów opozycyjnych wnosić można m.in. stąd, że na prowincji stosuje się niekiedy wobec dysydentów surowsze represje, i to w sprawach, za które w Moskwie już się nie aresztuje⁷.

Dla jawności życia w ZSSR informacje dotyczące prowincji posiadają doniosłe znaczenie. Moskwa jest siedzibą ambasad, tu mieszkają korespondenci zagraniczni — od dawna wiadomo, że w Moskwie (i po części w Leningradzie) władza troszczy się o zachowanie pozorów ogólnej pomyślności, nie bez podstaw sądząc, że cudzoziemiec nigdy nie zobaczy nawet obwodowego miasta. Obecnie, dzięki rozszerzeniu zasięgu informacji gromadzonych przez ruch na rzecz przestrzegania prawa, a także dzięki temu że zagraniczni korespondenci mogą się poruszać nieco swobodniej, sowiecka prowincja stała się nieco bardziej dostępna oczom postronnych.

Ograniczeniem sprawy byłoby gdybyśmy mówili wyłącznie o narastającej dostępności dla zagranicy, wiedzy o sowieckim życiu. Ruch innomyślnych działa zarazem na rzecz udostępnienia sowieckim obywatelom wiedzy o zagranicy, sprzyja temu by w psychice sowieckiego człowieka ten zewnętrzny świat przestał być tabu.

7. Oddzielnym zagadnieniem, które pomijam, są ruchy narodowe w republikach związkowych, na przykład na Ukrainie, w krajach nadbałtyckich, w Armenii. Niekiedy mamy tu do czynienia ze zgodną współpracą między umiarkowanymi ugrupowaniami narodowymi i moskiewskimi dysydentami.

Najważniejszym chyba składnikiem tego procesu jest fakt, iż mieszkańcy ZSSR oswoili się z myślą, że ze Związku Sowieckiego można emigrować, że można zgłosić chęć wyjazdu na stałe, i że nie musi to za sobą pociągać represji typu penitencjarnego. Dla każdego kto pamięta sytuację sprzed 15 lat, jest to coś niesłychanego.

Zohydzenie samej zasady emigracji jest sprawą niezwykle dla władzy ważną; korzysta ona tu z faktu, iż większość emigrantów stanowią Żydzi, co w akcji szkalowania pozwala na odwoływanie się do nastrojów antysemitycznych. Niemniej exodus Żydów odgrywa istotną rolę w procesie burzenia psychicznego tabu wokół wszystkiego, co dotyczy kontaktów z zagranicą. Ludzie na własne oczy widzą innych ludzi, którzy jeszcze wczoraj niczym się od nich nie różnili, a wkrótce znajdują się w innym świecie, staną się obcokrajowcami — trudno przecenić psychologiczne skutki szoku, jakiego w związku z tym doznaje sowiecki obywatel.

Jestem przeświadczony, że to m.in. dzięki akcjom ruchu na rzecz przestrzegania prawa władze zmuszone zostały nie tylko do stopniowego zwiększania „kwoty” emigrujących Żydów, lecz i do jawnego uznania istnienia samego problemu. Władze musiały publicznie przyznać, że istnieje grupa ludności, pragnąca porzucić nasze wspańskie społeczeństwo.

Nie chcę przeceniać skuteczności akcji ruchu, ale jestem przekonany, że nie doszłoby do tak radykalnego przesunięcia w sposobach rozwiązywania tego problemu, gdyby nie fakt, że w 1971 roku sowieccy Żydzi okazali się zdolni do jawnej walki o prawo do wyjazdu. Jestem również przekonany, że na postawę Żydów istotny wpływ wywarł przykład dysydentów, otwarcie podejmujących oboląwą społeczną problematykę. Byłem w tym okresie blisko związany z ruchem żydowskim i jestem przekonany, że nie przeceniam tu roli jaką odegrał przykład jawnej działalności dysydentów.

W jakiś czas potem działacze ruchu na rzecz przestrzegania prawa poważnie zaangażowali się w walkę sowieckich Niemców o prawo do emigracji.

Wypadki potoczyły się tak, że wielu aktywnych dysydentów znalazło się za granicą jako banici, czy też dlatego, że postawieni wobec alternatywy: wyjazd lub represje — godzili się na wyjazd. Dzięki temu rozszerzył się znacznie obieg informacji między sowieckimi innomyślnymi i ich ziomkami przebywającymi za granicą.

Jakkolwiek ocenialibyśmy obecny stan politycznej kultury emigracji rosyjskiej, fakt iż ludzie w Rosji dowiadują się o istnieniu niepodlegającej cenzurze kultury rosyjskiej na wygnaniu jest czymś nader ważnym. Stosunek do rosyjskiej emigracji politycznej ulega w Rosji stopniowym przemianom; już dziś w rosyjskiej prasie ukazującej się za granicą można niekiedy trafić na nieanonimowy list do redakcji, nadesłany przez mieszkańca ZSSR — zjawisko nie do pomyślenia 10 lat temu.

Istotnym czynnikiem sprzyjającym narastaniu jawności w życiu sowieckiego społeczeństwa jest fakt, że dzięki odwadze innowacyjnych rozszerzają się pozarządowe kontakty z obcokrajowcami. Władze zwalczają ten stan rzeczy, ale tendencja do rozwoju takich kontaktów mimo wszystko przybiera na sile. Bez przesady powiedzieć można, że jeżeli przeciętny sowiecki człowiek ma znajomego, który z kolei ma znajomego, a ten zna człowieka przyjaźniącego się z obcokrajowcem — to relacja taka powoduje psychologiczne przesunięcie w stronę wyzwolenia spod władzy zastarzałych tabu⁸.

Niezwykle ważny z punktu widzenia jawności jest narastający nader wolno kolportaż rosyjskich książek wydawanych na Zachodzie. Podobnie jak samizdat, otwierają one przed czytelnikiem świat nowych idei, starannie trzebionych przez sowiecką cenzurę⁹.

Kończąc te krótkie uwagi o wpływie ruchu dysydenckiego na proces narastania jawności w społeczeństwie sowieckim, dodam że być może niektóre z wymienionych elementów jawności pojawiłyby się niezależnie od akcji innowacyjnych, ponieważ same władze umiarkowanie nasilają gospodarczą i kulturalną wymianę z Zachodem. Pewien jednak jestem, że wówczas przebieg procesu byłby powolniejszy i w o wiele większym stopniu zależny od oficjalnej kontroli.

Akcja na rzecz rozwoju świadomości prawnej społeczeństwa

W tej dziedzinie rola ruchu na rzecz przestrzegania prawa jest niezwykle doniosła. Trzeba tu przede wszystkim uświadomić sobie, że mieszkaniowiec ZSSR wychowywany jest w warunkach całkowitego wypaczenia wyobrażenia o prawach obywatelskich. Jedynie wówczas można ocenić właściwie znaczenie tego, że sama postawa działaczy ruchu daje przykład innym, że można

8. Charakterystyczne jest, że w kręgu niezastraszonych do szczętu części sowieckiego społeczeństwa taki fakt jak znajomość z obcokrajowcem albo z jawnym dysydem, a także dysponowanie informacjami pochodzącymi z Zachodu, jest oznaką hierarchizującą (można się tym chwalić, inni mogą tego po kryjomu zazdrościć). Jedną z przyczyn dla których ludzie, bez żadnego po temu powodu, zwracają głowę znanym dysydemtom jest chęć zawarcia z nimi znajomości.

9. Wydawane na Zachodzie książki rosyjskie cieszą się w Rosji niezwykłym popytem; świadczą o tym czarnorynkowe ceny książek najpopularniejszych autorów — np. Mandelsztama, Achmatowej, Sołżenicyna; przekraczają one sumę 100 rubli, tj. miesięcznej pensji asystenta. Powszechnym obyczajem jest pożyczanie książek na jedną noc — w ten sposób jeden egzemplarz w krótkim czasie dociera do wielu czytelników. W środowisku inteligenckim znany jest również obyczaj zbiorowej nocnej lektury, co jest sposobem szczególnie dogodnym gdy „zacytana książka” rozlatuje się na pojedyncze kartki. Często sporządzane są odbitki fotograficzne, niekiedy nadsyłane z Zachodu egzemplarze przepisuje się na maszynie.

domagać się stosowania litery prawa, można negocjować jego czynowniczą interpretację, że poszanowanie praw jednostki nie jest zasługującą na pochwały łaskawością, lecz zwykłym obowiązkiem państwa.

Nader ważną rolę odgrywa tu fakt, że krytyka poczynań władz i żądania wysuwane przez działaczy ruchu mają solidne pokrycie w istniejącym sowieckim prawodawstwie i w międzynarodowych zobowiązaniach ZSSR.

Pamiętam czasy, kiedy nawet wśród inteligencji mało kto wiedział o Deklaracji Praw Człowieka, kiedy sam termin „prawa człowieka” nie egzystował w potocznej sowieckiej praktyce językowej. Sowiecki człowiek wiedział, że ZSSR najdoskonalej w świecie gwarantuje prawa ludu pracującego, przy czym samo pojęcie prawa ludu pracującego obejmowało prawo do pracy, prawo do nauki, prawo do korzystania z lecznictwa. O nielicznych, gwarantowanych przez Konstytucję, prawach obywatelskich propaganda wspominała rzadko, nie chcąc zwracać na nie uwagi.

Obecnie, i to właśnie dzięki działalności ruchu na rzecz przestrzegania prawa, pojęcie prawa człowieka zadomowiło się, w każdym razie w środowisku inteligencji; sowieckie dzienniki zmuszone zostały do posługiwania się tym terminem. Usiłują one wprawdzie nadać mu dogodną dla siebie interpretację, ale i tak wbrew temu co było dawniej to wymowne pojęcie weszło w obieg.

Działalności ruchu zawdzięczać należy fakt, iż ludzie dowiedzieli się o istnieniu międzynarodowych zobowiązań dotyczących przestrzegania praw jednostki i gotowi są uznać ich moc prawną.

Pamiętam, że gdy rozpoczynaliśmy samizdatową propagandę nie ratyfikowanych jeszcze wówczas umów społecznych dotyczących praw człowieka, niektórzy innowyślni uważali te dokumenty za czczą gadaninę, nikomu niepotrzebną propagandę, która niczego nie zmieni. Obecnie zdarza się, że otrzymuję różne dokumenty dotyczące przestrzegania praw i powołujące się na konwencje dotyczące praw człowieka — świadczą to, moim zdaniem, o istotnym rozwoju świadomości prawnej społeczeństwa.

Doniosłe jest znaczenie innowyślnych inicjatyw, mających na celu organizowanie niekontrolowanych przez partię i państwo stowarzyszeń społecznych: Komitetu Obrony Praw Człowieka, grupy „Amnesty International”, grupy kontrolującej wykonanie postanowień KBWE w Helsinkach. Ważne jest również, że inicjatywy te cieszą się poparciem różnych międzynarodowych, pozarządowych organizacji.

Nie jest oczywiście tak, by ludzie dzięki ruchowi na rzecz przestrzegania prawa mogli skutecznie dochodzić swych praw, lecz mimo wszystko jest tak, że ludzie zaczynają się dowiadywać jakich praw państwo winno strzec i które prawa są naruszane. Fakt ten niewątpliwie działa hamująco na bezprawne poczynania władz.

Polityczne koncepcje ruchu innomyślnych

Nie da się stwierdzić by ruch innomyślnych wypracował nowe koncepcje rozwoju politycznego, lub stworzył nowe teorie polityczne. Mierzony współczesnymi standartami, przeciętny poziom samizdatowej publicystyki politycznej jest raczej niewysoki. Jest to zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że publicyści dysydenci nie mają dostępu do współczesnej światowej literatury politycznej (niewiele zagranicznych książek z zakresu nauk społecznych trafia do ZSSR i niewiele osób zna obce języki). Niemniej u wielu publicystów widoczne jest dążenie do poważnej analizy współczesnej sytuacji politycznej i do sformułowania własnych propozycji. W niektórych przypadkach propozycje te mają poważny charakter; ma to miejsce szczególnie wówczas, gdy sugestie wysuwane są przez ludzi dobrze znających daną problematykę (przykładem wypowiedzi Sacharowa w sprawie rozbrojenia).

Główny nacisk polityczna publicystyka samizdatu kładzie, rzecz jasna, na krytykę istniejącego stanu rzeczy; i krytyka ta bywa interesująca przynajmniej w swoim aspekcie informacyjnym, a często i z uwagi na swe podstawowe założenia wyjściowe.

W rozważaniach dotyczących przyszłego rozwoju sytuacji autorzy reprezentujący kierunek liberalno-demokratyczny zazwyczaj zgodni są co do tego, że pożądane są stopniowe reformy, kontynuacja zmian wprowadzonych w czasach Chruszczowa. Autorzy tacy jak Roy Miedwiediew podkreślają przy tym, że reformy demokratyczne możliwe są w warunkach zachowania współczesnej komunistycznej struktury rządów, nni zaś (Sacharow, Turczyn, Jurij Orłow) zastanawiają się nad tym do jakiego stopnia nadzieje na przeprowadzenie tego typu reform dają się pogodzić z tym, co w Rosji nazywa się socjalizmem. Chciałbym tu podkreślić, że mimo niewysokich kwalifikacji politycznych ogółu tej publicystyki, jej wnioski, porównania i zalecenia bywają często całkiem interesujące.

W niektórych punktach sugestie samizdatowej publicystyki zgodne są z tym, co niekiedy wypowiedziane bywało na łamach oficjalnej prasy. Publicyści samizdatu przychylnie odnoszą się do zamysłów reform gospodarczych, które pojawiły się po Chruszczowie — chodzi przede wszystkim o decentralizację zarządzania gospodarką — i wyrażają niezadowolnienie z wstrzymania realizacji tych koncepcji.

Inne kierunki rosyjskiej pozacenzuralnej publicystyki politycznej jak dotąd również nie wypracowały niczego co moglibyśmy określić mianem poważnej analizy politycznej czy politycznego systemu. Mamy tu autorów zalecających w sposób mniej lub bardziej jawny przebudowę Rosji w oparciu o prawosławie, lub też o ideę narodową rozumianą jako ideologia państwowa. Pomysły te są interesujące, jednak czytając te sugestie odnosi się wrażenie, iż w zakresie światowej litera-

tury politycznej wiedza autorów kończy się na pozycjach z końca XIX-go i początku XX-go wieku; jest to zapewne wiedza pozwalająca na opracowanie nowego, interesującego systemu myśli politycznej, chwilowo jednak nie zostało to zrealizowane¹⁰.

W dziedzinie prawa postulaty autorów samizdatu są bardziej precyzyjne, ponieważ prostsza jest tu zasada naczelną: postuluje się by władze sowieckie przestrzegały przepisów prawnych i stopniowo przystosowywały je do własnych międzynarodowych zobowiązań oraz do wymogów współczesnej cywilizacji. Dla rosyjskiej świadomości prawnej sprawą ważną i bynajmniej nie banalną jest wymóg przestrzegania nie tylko materialnych, lecz i proceduralnych gwarancji prawnych.

W niektórych przypadkach władze sowieckie nie mogłyby zrealizować takich zaleceń, nie zmieniając zarazem istniejącego ustroju politycznego. Często jednak autorzy postulatów pomijają tę oczywistą okoliczność, podkreślając że zalecenia ich dotyczą nie rozwoju politycznego, lecz systemu prawnego — jest to punkt widzenia być może nie nazbyt realistyczny, lecz logicznie konsekwentny.

Kiedy indziej, szczególnie gdy rzecz dotyczy konkretnych przypadków, władze bez trudu mogłyby zrealizować to czy inne żądanie, a jeśli nie czynią tego lub odwołują podjęcie słusznej decyzji, to moim zdaniem kierują się względami prestiżowo-politycznymi, a nawet świadomą chęcią podkreślenia swej samowoli.

Zdarza się, że zmiany wprowadzone do sowieckich przepisów prawnych stanowią jak gdyby odpowiedź na wezwania czy krytykę ze strony innomyślnych „jurystów”. Przykładem nowe przepisy odnośnie dowodów tożsamości, przewidujące wydawanie dowodów osobistych również i kołchoźnikom. Samizdat krytykował w swoim czasie dyskryminację kołchoźników, między innymi i fakt, że nie posiadając dowodów osobistych, mają ograniczoną swobodę poruszania się¹¹. W innych przypadkach wezwania inno-

10. Nie należy spodziewać się, by w bliskiej przyszłości nawet najpoważniejsi z pozacenzuralnych publicystów mogli zaznajomić się lepiej z ważniejszymi pozycjami zachodniej literatury politycznej. Jak się wydaje, publikacja rosyjskich przekładów tej literatury przekracza możliwości naszych wydawnictw na Zachodzie.

W Europie kilka rosyjskich wydawnictw z rozmachem działa w sferze literatury pięknej, religii i popularyzacji religijnej filozofii, jak również w zakresie reedycji utworów samizdatu.

W USA istnieją dwa aktywne wydawnictwa rosyjskie: *Ardis* i *Chronika*. Domeną pierwszego jest literatura piękna, drugie skupia swą działalność na problematyce praw człowieka w ZSSR, oraz publikuje teksty liberalno-demokratyczne w zasadzie pochodzące z samizdatu.

11. Rosyjskie słowo „paszport” oznacza zarówno paszport zagraniczny, jak i dowód tożsamości. W danym przypadku chodzi o dowody osobiste. W ZSSR człowiek nie posiadający przy sobie dowodu osobistego narażony jest w czasie podróży nawet w ramach swojej *obłasti*, na przykrości; nie

myślnych zgodne były jakby z późniejszą intencją prawodawcy; tak rzecz się miała w przypadku ratyfikacji konwencji dotyczącej praw człowieka, konwencji autorskiej, konwencji dotyczącej dyskryminacji rasowej. Nie należy stąd wnosić, że prawodawca usłuchał rad innomyślnych; w większości wypadków nowe prawa różnią się od sugestii publicystów pozaczernych.

Reasumując powiem, że głoszenie potrzeby przeprowadzenia reform niezbędnych z punktu widzenia wielu innomyślnych nie ma w sobie zazwyczaj nic rewolucyjnego. Na odwrót, autorzy takich zaleceń często *explicite*, z naciskiem, aprobuja ideę stopniowego rozwoju, dają wyraz przekonaniu, że nawet posiadając najszlachetniejsze intencje, nie można naraz zmieniać zbyt wiele.

Walerij CZALIDZE

posiadając dowodu osobistego, nie można, rzecz jasna, zmienić ani miejsca pracy, ani miejsca zamieszkania. Otóż kołchoźnikom nie wydaje się dowodów osobistych na stałe; za każdym razem, gdy mają zamiar udać się w podróż, muszą o nie prosić, po powrocie muszą je zwracać. Dowody tożsamości wydaje się im oczywiście wedle samowolnego uznania miejscowych władz. W ten sposób kołchoźnicy są „przypisani do ziemi”, a ich sytuacja prawna żywo przypomina sytuację Murzynów w Republice Południowej Afryki. Nowe przepisy dotyczące dowodów tożsamości, o których wspomina Czalidze, zostały wydane 1976 roku. Przewidują one, że do ??? roku wszyscy kołchoźnicy będą na stałe posiadaczami dowodów tożsamości. Zważywszy wolne tempo procesów tego typu zarówno w ZSSR jak w Południowej Afryce, można przyjmować zakłady: kto prędzej objęty zostanie „paszportyzacją” — południowo-afrykańscy Murzyni czy sowieccy kołchoźnicy? — przyp. redakcji polskiej.

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Kraj

Obywatel a Służba Bezpieczeństwa

Tekst poniższy nie jest instrukcją dla konspiratorów, ani nie stanowi podręcznika rewolucjonisty. Jest przeznaczony dla każdego kto żyje w państwie totalitarnej dyktatury jakim jest PRL. Policja polityczna (nosząca nazwę służby bezpieczeństwa) jest tu czynnikiem wszechobecnym, kontrolującym wszystkie dziedziny życia, interesującym się postawą i zachowaniem każdego mieszkańca kraju. Każdy więc jest stale narażony na to, że znajdzie się w orbicie jej działalności. Umiejętność redukcji szkodliwych skutków takich zetknięć jest gałęzią prawdziwej „wiedzy obywatelskiej” Polaka w PRL.

Służba bezpieczeństwa stara się infiltrować do wszelkich instytucji, środowisk i grup społecznych. Najważniejszym narzędziem tej infiltracji są konfidenti. Jakkolwiek współczesna technika policyjna zapewnia także inne, nieraz doskonalsze, sposoby zdobywania informacji, utrzymanie i rozszerzanie sieci donosicieli jest przedmiotem stałej troski i starań SB. Tacy poufni „współpracownicy” są bowiem nie tylko źródłem potrzebnych wiadomości, ale także ważnym czynnikiem zastraszenia, dezintegracji i moralnego porażenia środowiska, w którym działają.

Szczególnie intensywnie werbuje się ich w kręgach młodzieży akademickiej, uczniowskiej, robotniczej, oraz w środowiskach mających kontakt z zagranicą, niekoniecznie zresztą z Zachodem. Działalność werbunkowa SB jest tu tak szeroka, że niemal każdy narażony jest na propozycje współpracy popartą zawsze obietnicami różnego rodzaju korzyści, a bardzo często także szantażem.

Istnieje specjalna, szczegółowo opracowana technika takich operacji. Upatrzony z góry kandydat na konfidenta zapraszany jest na spotkanie z przedstawicielami bezpieczeństwa czasem przy okazji załatwiania jakichś spraw urzędowych (np. odbiór paszportu), częściej nieoficjalnie poza lokalem urzędu, w kawiarni, restauracji lub pokoju hotelowym. Funkcjonariusze SB

przedstawiają się często jako „pracownicy kontrwywiadu”, co ma podkreślać powagę sprawy. Rozmowa prowadzona jest swobodnie, w tonie przyjaznym, ale jednocześnie daje się rozmówcy do zrozumienia, że w jego otoczeniu działa ktoś zajmujący się „wrogą robotą” i że on sam może być lub jest mimowoli w tę działalność wciągnięty. Rzucane przy tym mimochodem aluzje mają wzbudzić w nim przekonanie o wszechwiedzy władz bezpieczeństwa, które są znakomicie poinformowane o jego sytuacji rodzinnej i majątkowej, stosunkach w pracy, kontaktach towarzyskich itp. Wiedzą też wszystko o ludziach, wśród których się obraca. Efekt ten uzyskuje się stosunkowo łatwo drogą podania uprzednio wytypowanych osób odpowiedniej obserwacji lub instalowania podsłuchu w ich telefonach, rzadziej w mieszkaniu, a następnie wykorzystując w rozmowie uzyskane tą drogą dane.

Propozycja współpracy rzadko pada przy pierwszym spotkaniu. Rozmówcę prosi się o przemyślenie przekazanych mu ostrzeżeń, „przyjrzenie” się osobom, które wskazano mu jako podejrzane. Zastrzega się oczywiście poufność rozmowy. Przy następnych spotkaniach prosi się o opinie o znajomych osobach, sytuacji panującej w miejscu pracy itp. Mimo, że indagowany z reguły usiłuje odpowiadać nic nie znaczącymi ogólnikami lub podawać tylko jakieś mało ważne szczegóły, funkcjonariusze SB starają się nakłonić go do własnoręcznego spisania dla nich tych opinii. Jeśli tym naleganiom ulegnie — dostarcza bezpieczeństwu „fant”, który będzie następnie wykorzystany przeciw niemu.

W trakcie rozmowy padają wzmianki o różnych trudnościach życiowych kandydata, w których władze mogłyby pomóc, jak np. uzyskanie lepiej płatnej pracy, oraz o represjach jakie mogą spotkać tych, którzy się bezpieczeństwu czymś narażą (np. odebranie paszportu zagranicznego). Prowadzący je funkcjonariusze SB dbają jednak o stworzenie przyjaznej, w miarę możliwości nawet przyjacielskiej atmosfery. Np. dzielą się z rozmówcą, jakby mimochodem, swymi prywatnymi kłopotami rodzinnymi. Dopiero po tego rodzaju przygotowaniu psychologicznym w toku szeregu spotkań pada konkretna propozycja „współpracy” po parta obietnicą wynagrodzenia pieniężnego lub innego rodzaju korzyści. Odmowa powoduje gwałtowną zmianę w tonacji rozmowy. Padają teraz groźby usunięcia z pracy lub uczelni, ujawnienie nieprzyjemnych dla rozmówcy faktów (np. zdrady małżeńskiej itp.). Jeśli spotkania trwały dłuższy okres czasu i delikwent zgodził się na zachowanie ich tajemnicy, a zwłaszcza gdy składał pisemne oświadczenia, mówi mu się, że propozycja podpisania zobowiązania jest tylko formalnością wobec istnienia już faktycznej współpracy i szantażuje skompromitowaniem w środowisku jako konfidenta poprzez ujawnienie własnoręcznie pisanego raportów.

Przedstawiona tu technika werbunku ma charakter typowy. Oczywiście w poszczególnych wypadkach służba bezpieczeństwa stosuje inne, odpowiadające okolicznościom, metody postępo-

wania. Zawsze jednak ich istotą, czasem tylko zawoalowaną, jest podstęp, szantaż lub korupcja.

Najkorzystniejszą metodą obrony stanowi kategoryczna odmowa prowadzenia z pracownikami bezpieczeństwa jakichkolwiek rozmów, które nie mają formalnego charakteru. Należy pamiętać, że żaden obywatel nie może być prawnie zmuszony do tego rodzaju spotkań. Dlatego w kontaktach z organami milicji (bezpieczeństwo jest jedną ze służb Milicji Obywatelskiej) powinno się przestrzegać następujących zasad:

- w każdym wypadku żądać doręczenia wezwania, w którym powinno być zaznaczone wyraźnie w jakim charakterze (świadka czy podejrzanego), oraz w jakiej sprawie adresat jest wzywany;
- odmawiać wszelkich spotkań poza urzędowymi lokalami milicji;
- żądać spisania protokołu z przebiegu przesłuchania i odmawiać wszelkich rozmów poza protokołem.

Jeśli ktoś pozwolił się zaskoczyć i wciągnąć w „prywatne rozmowy” z przedstawicielami bezpieczeństwa, może skutecznie uchronić się od groźących konsekwencji poprzez jak najszybsze przerwanie takich spotkań i jak najszybsze rozgłoszenie ich przebiegu. W świetle przepisów obowiązujących w PRL zarówno odmowa takich kontaktów, jak i ich ujawnienie nie są sprzeczne z prawem i nie stanowią jakiegokolwiek wykroczenia. Są natomiast najskuteczniejszym sposobem zniechęcenia organów bezpieczeństwa do kontynuowania wysiłków pozyskania nowego „współpracownika”.

W żadnym wypadku nie należy ulegać groźbom i próbom szantażu. Bezpieczeństwu zależy na zdobyciu konfidentów, ale nie ma ono możliwości masowego stosowania represji bez formalnego uzasadnienia i nie jest w tym zainteresowane. Doświadczenie wskazuje, że w ogromnej większości wypadków stanowcza odmowa „świadczenia usług” pomimo gróźb i nacisku psychicznego, nie powoduje w konsekwencji żadnych ujemnych następstw dla opornych.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa *formalnych kontaktów* z władzami bezpieczeństwa. W myśl przepisów Kodeksu Postępowania Karnego (KPK) są one uprawnione do prowadzenia na zlecenie i pod nadzorem prokuratury śledztw i dochodzeń. Dotyczą one z reguły czynów zakwalifikowanych przez te władze jako przestępstwa polityczne. W rzeczywistości chodzi bardzo często o takie wystąpienia, które nie tylko nie stanowią przestępstwa, lecz są próbą praktycznej realizacji zagwarantowanych w konstytucji i innych ustawach PRL praw i wolności obywatelskich. Paragrafy Kodeksu Karnego, z których w ostatnich latach wszczyna się śledztwa lub wytacza procesy, są z reguły sprzeczne z Paktami Praw Człowieka (które *nota-bene*, mimo że ratyfikowane przez Radę Państwa i Sejm PRL, z tego właśnie powodu nie są publikowane). Nadzór prokuratury nad działalnością śledczą organów bezpieczeństwa jest zresztą zupełnie

iluzoryczny. Dlatego mają one znaczną swobodę w interpretowaniu przepisów prawa i ocenie przestępności lub legalności postępowania obywateli.

Powinien o tym pamiętać każdy, kto zostanie wezwany na przesłuchanie choćby tylko w charakterze świadka. Przy składaniu zeznań należy zawsze zachowywać najwyższą ostrożność, nigdy bowiem przesłuchiwany nie wie do czego mogą posłużyć przesłuchującym podane przez niego fakty.

Art. 160 § 1 KPK stanowi, że „każda osoba wezwana w charakterze świadka ma obowiązek stawić się i złożyć zeznanie”. Za niestawienie lub nieuzasadnioną odmowę zeznań grozi grzywna nawet aresztowanie na okres do 30 dni. Na zeznającym ciąży również obowiązek mówienia prawdy, jeśli nie chce się narazić na odpowiedzialność karną za fałszywe zeznania. KPK przewiduje jednak sytuacje, gdy świadkowi przysługuje prawo uchylecia się od zeznań i z przepisów tych trzeba umieć korzystać.

Przesłuchiwany powinien na wstępie zostać poinformowany w jakiej (czyjej) sprawie został wezwany. Jeśli informacji tej mu nie udzielono, winien jej zażądać. Świadek *ma bowiem prawo odmówić* składania zeznań jeśli podejrzanym w sprawie jest osoba dla niego najbliższa. W myśl przepisów „osobą najbliższą” jest małżonek, wstępny, zstępny, rodzeństwo, powinowaty w tej samej linii lub stopniu, osoba pozostająca w stopniu przysposobienia, oraz jej małżonka, a także osoba pozostająca faktycznie we wspólnym pożyciu (art. 120 § 5 kk). Prawo odmowy zeznań służy także w sprawie małżonka rozwiedzionego i jego najbliższych krewnych.

Świadek również *może prosić o zwolnienie* z obowiązku składania zeznań w sprawie, w której podejrzanym jest osoba pozostająca z nim w „szczególnie bliskim stosunku osobistym” (art. 167 KPK), a więc przyjaźni, opieki itp. O zwolnieniu świadka decyduje jednak w tym wypadku sam przesłuchujący według swego uznania.

Każdy świadek może odmówić zeznań na okoliczności objęte obowiązującą go tajemnicą służbową lub zawodową (np. lekarską czy dziennikarską). W tym wypadku tylko sąd lub prokurator może wydać postanowienie o zwolnieniu świadka od zachowania tajemnicy i w ten sposób nakazać złożenie zeznań. Uprawnienia tego nie posiadają jednak funkcjonariusze śledczy milicji i bezpieczeństwa.

Przypadkiem w praktyce najczęstszym jest jednak odmowa odpowiedzi na każde pytanie, które mogłoby narazić na odpowiedzialność karną samego świadka lub osobę dla niego najbliższą (por. wyżej definicja osoby najbliższej). Takie uprawnienie przysługuje każdemu świadkowi na podstawie art. 166 § 1 KPK. Odmawiając odpowiedzi nawet na wszystkie zadawane mu pytania przesłuchiwany nie musi ujawniać w związku z czym obawia się odpowiedzialności karnej, ani czy grozi ona jemu samemu czy komuś z jego najbliższych. Nie ma też obowiązku

określać związku pomiędzy okolicznościami o jakie jest pytany a przestępstwem, za które grozi odpowiedzialność. Wystarczy, że powoła się na przywilej przysługujący mu z mocy art. 166 § 1 KPK. We wszystkich wątpliwych wypadkach należy bezwzględnie korzystać z tego przepisu.

Rola świadka łatwo bowiem zamienia się w rolę podejrzanego. Często się zdarza, że osobę faktycznie podejrzaną o popełnienie przestępstwa władze śledcze przesłuchują najpierw jako świadka, uzyskując w ten sposób materiał obciążający, który służy następnie do sformułowania przeciw niej zarzutów. Sytuacja świadka i podejrzanego różnią się jednak zasadniczo.

Po pierwsze — podejrzanemu trzeba przedstawić konkretny zarzut to znaczy podać mu do wiadomości jaki czyn mu się zarzuca i jaki przepis kodeksu karnego został czynem tym naruszony. Na żądanie podejrzanego trzeba sporządzić szersze uzasadnienie postawionego zarzutu i w ciągu 14 dni podać mu je do wiadomości.

Po drugie — podejrzanemu, w przeciwieństwie do świadka, służy prawo odmowy składania jakichkolwiek wyjaśnień bez konieczności podawania przyczyn odmowy (art. 63 KPK). Podejrzanemu wolno zresztą również składać wyjaśnienia kłamliwe i nie może on być za to pociągnięty do odpowiedzialności.

Mimo to w pojedynku między podejrzanym a prowadzącym śledztwo przewaga niemal zawsze jest po stronie tego ostatniego. Postępowanie śledcze unormowane w przepisach obowiązującego kodeksu postępowania karnego ma charakter inkwizycyjny. Podejrzanym jest całkowicie w rękach władz śledczych, które stawiają mu zarzuty, przesłuchują go, mogą go aresztować (postanowieniem prokuratora) i w ten sposób pozbawić wszelkich kontaktów z otoczeniem, oraz pomocy adwokata. Dopiero przy zakończeniu śledztwa podejrzanemu musi zostać zapoznany z materiałem dowodowym zebrany przeciw niemu, a jeśli jest aresztowany, to nie można odmówić mu również prawa porozumiewania się z obrońcą. W toku trwania śledztwa podejrzanym, zwłaszcza przebywającym w areszcie tymczasowym, jest przeważnie do końca zdezorientowany zarówno co do własnej sytuacji procesowej jak i zamiarów organów śledczych. Z reguły nie dopuszcza się do niego adwokata, jest pozbawiony wglądu do akt śledztwa, nie wie kto jest jeszcze w jego sprawie współpodejrzanym, nie ma pojęcia jakie zebrano przeciw niemu dowody. Zna tylko treść przedstawionego zarzutu, który zresztą w każdej chwili może być zmieniony. W tych warunkach *jedyną efektywną formą obrony jest milczenie* podejrzanego przez cały czas śledztwa. Każde złożone wyjaśnienia, prawdziwe czy kłamliwe, mogą zostać przez prowadzących śledztwo zrzeczenie wykorzystane przeciw niemu. Jedynie milczenie nie może go w żadnym wypadku obciążyć. Dlatego należy konsekwentnie i uparcie odmawiać składania w śledztwie dotyczącym zarzutów o charakterze politycznym jakichkolwiek wyjaśnień. Do przygotowania obrony można przystąpić dopiero z chwilą zapoznania się z akta-

mi sprawy i porozumienia się z adwokatem, to znaczy po zamknięciu śledztwa i otrzymaniu formalnego aktu oskarżenia.

Taktyka zupełnego milczenia jest trudną próbą charakteru, zwłaszcza dla człowieka pozbawionego wolności. Podejrzany osadzony w areszcie tymczasowym musi przy tym pamiętać, że powinien odmawiać wyjaśnień nie tylko podczas przesłuchań śledczych. Nie wolno mu mówić o żadnych istotnych faktach dotyczących sprawy także w celi aresztu. Często są tam zainstalowane urządzenia podsłuchowe. Jeszcze częściej wśród współwięźniów znajdują się specjalnie umieszczeni informatorzy służby bezpieczeństwa. Trzeba w tych warunkach wytrwać nieraz wiele miesięcy. Wymaga to narzucenia sobie twardej dyscypliny psychicznej. Trzeba nie tylko przestać mówić, ale nawet przestać myśleć o swojej sprawie. Trzeba starać się o niej na czas śledztwa po prostu zapomnieć. Ułatwiają to pewne zabiegi z dziedziny higieny psychicznej umożliwiające uwięzionemu przetrwanie w tej ciężkiej sytuacji. Podstawowym jest wypełnienie każdego dnia pobytu w areszcie określonymi zajęciami według ułożonego planu, takimi jak lektury, samokształcenie, nauka języków obcych.

Na koniec podajemy kilka ogólnych dyrektyw postępowania pomniejszających przynajmniej w pewnym stopniu zagrożenia wynikające z wszędobylstwa organów bezpieczeństwa i ze stosowania przez nie środków nowoczesnej techniki.

Wiele rodzajów działalności, jakie według obowiązujących przepisów prawa są dozwolone, bywa pod różnymi pretekstami uznawane przez władze za nielegalne: zbiorowe dyskusje polityczne, przekazywanie wiadomości o aktualnych wydarzeniach, wyrażanie, zwłaszcza na piśmie, poglądów społecznych i politycznych, powielanie tekstów o charakterze ideowym, pożyczanie wydawnictw zagranicznych, pomaganie ofiarom represji, itp. Dlatego, aby nie dawać władzom bezpieczeństwa okazji do wytaczania śledztwa i działań represyjnych, należy w miarę możliwości zachować ostrożność.

Zasadą, która powinna obowiązywać zawsze, wszędzie i wszędzie, jest dyskrecja na temat osób trzecich. Wypowiadając własne poglądy czy przekazując wiadomości lub teksty narażamy siebie i będziemy za to ewentualnie odpowiedzialni; ale informując czy plotkując o złe przez władze widzianej działalności kogoś innego — narażamy tę właśnie osobę, kierując na nią podejrzenia poza jej plecami.

W jakich okolicznościach należy pamiętać o ostrożności? Chociaż w PRL obowiązuje zasada tajemnicy korespondencji, listy bywają notorycznie otwierane, choćby na zlecenie prokuratora. Nawet prywatne listy, zawierające wyraz osobistych poglądów, bywały wykorzystywane jako obciążający materiał dowodowy w procesach sądowych.

Podsłuchiwanie rozmów telefonicznych nie przedstawia dla organów bezpieczeństwa żadnych trudności. Nie należy przesadzać w panikarstwie, ale warto o tym pamiętać. Treść podsłu-

chanych rozmów nie może co prawda być użyta jako materiał dowodowy, ale jest dla władz źródłem informacji o zamiarach i działalności rozmówców. Jeżeli mamy powody sądzić, że nasz aparat jest „na podsłuchu” (sprawdzenie tego bez specjalnych przyrządów jest niemożliwe), lepiej w poufnych sprawach telefonować do przyjaciół z automatu lub aparatów nie podejrzanych. Na sprawdzenie, z jakiego aparatu prowadzona jest rozmowa, podsłuchujący potrzebują kilku minut.

Najtrudniejsze do unieszkodliwienia są aparaty podsłuchowe. Nowoczesna technologia umożliwia zakładanie ich w miejscach mało widocznych i trudno dostępnych. Mogą to być aparaciki bateryjne rozmiarów pudełka od zapalek lub mniejsze, nadające na niewielką odległość do właściwego miejsca podsłuchu. Tę samą funkcję może spełniać każdy aparat telefoniczny, nie wyłączony z gniazdka. Czy telefon jest w danym momencie wykorzystywany jako aparat podsłuchowy można sprawdzić dość łatwo przy pomocy tzw. miernika; w tym celu wyjmujemy ze słuchawki mikrofon i, naciskając jednocześnie widełki, sprawdzamy, czy blaski kontaktowe mikrofonu są pod napięciem. Jeżeli tak, odłożona na widełki słuchawka rejestruje dźwięki w pokoju. Podsłuchiwanie rozmów, prowadzonych w mieszkaniach, jest w tej chwili możliwe teoretycznie prawie wszędzie — zależnie tylko od kosztów i wysiłku, na jakie zdecydują się podsłuchujący. Częściowym zabezpieczeniem jest zagłuszanie przy pomocy np. radia lub adapteru; jest ono jednak w pełni skuteczne tylko wówczas, gdy źródła głosu osoby mówiącej i aparatu zagłuszającego są mniej więcej w równej odległości od aparatu podsłuchowego. Jedynie rozmowy na otwartej przestrzeni, zwłaszcza w lesie, mogą być absolutnie bezpieczne od podsłuchu.

Powtarzamy: informacje powyższe nie są instrukcjami dla konspiratorów — bo rozmowy i wymiana wiadomości nie są, w świetle prawa, konspiracją. Są to rady dla ludzi, wobec których organy ścigania chętnie łamią zasady konstytucji i przepisy prawa.

Lipiec 1977.

PORADNIK SPOŁECZNY PPN

Oświadczenie

Lund, 3 sierpnia 1977.

W lutym bież. roku otrzymałem wezwanie do stawienia się w charakterze świadka w Komendzie Wojewódzkiej MO w Poz-

naniu. Podczas przesłuchania zostałem poinformowany o sytuacji w kraju, o dążeniach władz do osiągnięcia pokoju na świecie i spokoju w Polsce. Na moje pytanie w jakiej sprawie zostałem wezwany dowiedziałem się, że zostałem wezwany dla uzupełnienia informacji o moim bracie, Andrzeju, mieszkającym na stałe w Szwecji. Na zakończenie rozmowy otrzymałem do podpisania oświadczenie zobowiązujące mnie do zachowania tajemnicy zarówno faktu jak i treści rozmowy w KWMO. Oświadczenie to niestety podpisałem, co być może stało się powodem dla dalszych przesłuchań.

Na kolejne przesłuchanie wezwany zostałem w dniu 3 marca bież. roku. Przesłuchujący przedstawił się jako kpt. Sobisiak (jak się później dowiedziałem prawdziwe nazwisko tego oficera brzmia Sobczak). Tym razem padło szereg pytań na temat działalności Komitetu Obrony Robotników, pytanie czy mój brat współpracuje z KOR'em oraz czy zna Stanisława Barańczaka. Zapytano mnie czy nie zechciałbym nawiązać kontaktu ze Stanisławem Barańczakiem — „z polecenia mojego brata”.

O tej rozmowie poinformowałem natychmiast jednego z członków KOR'u. Oświadczenie KOR'u w tej sprawie nie zostało ogłoszone ze względu na zbliżające się terminy zdawania egzaminów na studia i fakt iż nie chciałem zadrażniać sytuacji do momentu ogłoszenia wyników egzaminów. W początkach kwietnia zostałem wezwany na kolejną rozmowę. Po krótkim wstępie kpt. Sobisiak (Sobczak) przedstawił mi moje „zadania”. Tekst ten odtwarzam z pamięci z możliwością pewnych drobnych odchyleń:

Zadania

- 1) Powołując się na mojego brata Andrzeja, nawiązać kontakt ze Stanisławem Barańczakiem.
- 2) W rozmowie z Barańczakiem mówić o swoich zainteresowaniach sprawami praw człowieka i działalnością KOR'u, prosić o dokumenty KOR'u.
- 3) Zamanifestować chęć pomocy. Rozmowę prowadzić w duchu antysocjalistycznym i nie wspominać o rozmowach z funkcjonariuszem S.B.

Kiedy odmówiłem jakiegokolwiek współpracy, przesłuchujący pozostawił mi czas do namysłu. Na zakończenie rozmowy dowiedziałem się, że S.B. zna moje zainteresowanie organizacją Amnesty International i że właściwie nie przeszkadzano by przy założeniu grupy Amnesty International w Poznaniu, gdybym przystał na współpracę.

Podczas kolejnego przesłuchania dowiedziałem się iż będę przyjęty na studia niezależnie od wyników egzaminu, jak również iż bez przeszkód mogę otrzymać paszport i wyjechać na wakacje do Szwecji.

Na początku maja powyższe obietnice (dostania się na studia niezależnie od wyników egzaminu i paszportu do Szwecji) po-

łączono z szantażem dotyczącym niekończących się kłopotów w życiu osobistym, wpływu tych kłopotów na zdrowie rodziców, kłopotów siostrzenicy z dostaniem się na studia itp. Kpt. Sobisiak wykazywał w tej rozmowie znakomitą znajomość mojej sytuacji rodzinnej, cytował również z pamięci fragmenty mojej korespondencji prywatnej.

W rozmowie tej dowiedziałem się iż w dalszych kontaktach będę występował pod pseudonimem „Alek”, a następnie pokazano mi cytowane wyżej zadania podpisane tym pseudonimem, charakterem pisma podobnym do mojego.

Ponieważ wielokrotnie informowano mnie, iż będę przyjęty na studia bez względu na wynik egzaminów postanowiłem zrezygnować ze zdawania na studia. Złożyłem jednak podanie o paszport. 29 lipca kpt. Sobisiak (Sobczak) poinformował mnie telefonicznie, iż mimo kłopotów mogę odebrać paszport i wyjechać do Szwecji. Obecnie przebywam w Szwecji i przed powrotem do kraju chciałbym, korzystając z uprzejmości redaktora *Kultury*, oświadczyć, że stosowane przez S.B. metody uważam za bezprawne. Moje osobiste doświadczenia stanowią jeszcze jeden przykład jaskrawego naruszania praw człowieka w PRL. Funkcjonariusze S.B. bez żenady przyznają się do naruszania korespondencji prywatnej. Próbuje zmusić ludzi do współpracy odwołując się do brutalnego szantażu i nadużyć władzy. Policja nieustannie wykorzystuje swoje możliwości ingerowania w każdą dziedzinę życia jednostki.

Chciałbym również skorzystać z okazji aby przedstawić pewne wnioski z moich doświadczeń. Wnioski bynajmniej nie nowe:

- 1) Łagodne i przyjazne przesłuchanie skłania przesłuchiwanego do unikania zadrażnień w nadziei, że sprawa zakończy się na pierwszym przesłuchaniu i nie spowoduje dodatkowych komplikacji w życiu prywatnym.
- 2) Nawet odmowa współpracy może być zachęcająca dla przesłuchującego jeśli przesłuchujący dostrzega wrażliwość na szantaż.
- 3) Psychicznie trudne okazują się nie tylko groźby ze strony S.B., ale również ich nieproszone usługi.
- 4) Najtrudniejsze do zniesienia jest zagrożenie pośrednie — w stosunku do bliskich oraz groźba kompromitacji przed środowiskiem.

Od pierwszego momentu przesłuchiwany powinien okazać całkowitą odporność na szantaż. Raz jeszcze wypada tu przypomnieć, iż niezależnie od stopnia zagrożenia własnych interesów i nieistotności „sprawy”, od pierwszego momentu należy bezwzględnie korzystać ze swoich uprawnień tj. formalnego wezwania z podaniem charakteru przesłuchania i statusu przesłuchiwanego jak również dokładnego określenia przestępstwa w sprawie którego prowadzone jest śledztwo; prawa odmowy odpowiedzi w sprawach, które w żaden sposób nie dotyczą przestępstwa jak i w sprawach, gdzie ujawnienie faktów spowoduje zagrożenie dla przesłuchiwanego. Przesłuchiwany powinien

zwracać uwagę na każdą (nawet podaną w najbardziej przyjaznym tonie) formę nadużycia władzy przez przesłuchującego. A wreszcie, iż nawet najślabsze ugięcie się przed szantażem wywołuje uczucie sukcesu u szantażującego i prowokuje do dalszych nacisków i szukania słabych punktów.

Błędem mojego zachowania była zgoda na prowadzenie rozmów na tematy obojętne i odmowa współdziałania dopiero w chwili przedstawienia konkretnych propozycji współpracy, zgoda na podpisanie zobowiązania o dochowaniu tajemnicy, zgoda na kontynuowanie przesłuchań mimo braku formalnych podstaw, a wreszcie bierna akceptacja interwencji przesłuchującego oficera w sprawie paszportu.

Na zakończenie chciałbym poinformować kpt. Sobczaka, iż w chwili kiedy organizacja grupy Amnesty International w Poznaniu będzie aktualna — zainteresowane osoby zwrócą się zapewne z podaniem o zalegalizowanie grupy do właściwych władz.

Tadeusz KORASZEWSKI
ul. Madalińskiego 8, m. 24
61511 Poznań.

Głos Ukraińców z Polski

W OBRONIE NARODOWYCH I LUDZKICH PRAW UKRAIŃCÓW ZNAJDUJĄCYCH SIĘ POD POLSKĄ WŁADZĄ

Do Braci i Sióstr w Wolnym Świecie!
Do wszystkich ludzi dobrej woli!

Mija już drugi rok od podpisania umowy w Helsinkach, która w części dotyczącej ludzkich praw pozwalała Ukraińcom na żywienie nadziei, że nasz naród, który się nigdy nie poddał, nasza Ojczyzna-Ukraina może spodziewać się lepszej przyszłości.

O cierpieniach ukraińskiego narodu i o bohaterskiej walce jego najlepszych synów ukraińscy patrioci informują narody Wolnego Świata bezpośrednio z rodzinnych terenów, ale prawie nikt nie mówi o losach i warunkach, w jakich żyją setki tysięcy Ukraińców w kontrolowanych przez Sowiety, satelickich państwach, gdzie są przedmiotem narodowej dyskryminacji.

Tak na przykład w Polsce, której reżym można zaliczyć, jeśli chodzi o kraje uciemiężone przez Sowiety, do najbardziej „humanitarnych”, postanowienia ugody w Helsinkach co do narodowych mniejszości i ich kultury są wykorzystywane wyłącznie do komunistycznej propagandy.

W 1956, w Polskiej Ludowej Republice powstało Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne (USKT), zaczął regularnie wychodzić tygodnik *Nasze Słowo*, pozwolono na naukę języka ukraińskiego, oraz na zakładanie

szkół z ukraińskim językiem wykładowym, powołano do życia katedrę ukraińskiej filologii na Warszawskim uniwersytecie, a na Jagiellońskim uniwersytecie w Krakowie otwarto lektorat ukraińskiej mowy. Życie ukraińskie wyszło z podziemia i zaczęło się odradzać. Co dziś pozostało z tego odrodzenia?

Polityka asymilacji, zapoczątkowana w 1947 roku przesiedlaniem na Ziemię Zachodnie stale przybiera na nasileniu. Nie pomogły protesty Łemków, weteranów Czerwonej Armii, polskiego wojska i polskiej partyzantki, nie pomogły protesty USKT — Ukraińcom nie wolno powracać na ich ojczyste ziemie. Administracja zwalcza działalność powiatowych placówek USKT i kółek artystycznych, co w wielu wypadkach doprowadza do ich likwidacji; zakazuje organizowania festiwali ukraińskiej pieśni na ukraińskich terenach.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat zniszczono ponad trzysta cerkwi, często z inicjatywy i przy współdziałaniu rzymsko-katolickiej hierarchii. Wszystkimi możliwymi sposobami wykańcza się wciąż jeszcze słabe ukraińskie szkolnictwo. Także nie należy zapominać o polskim szowinizmie, podtrzymywanym przez reżym antyukraińskimi publikacjami w prasie, oraz wydawaniem tendencyjnych książek.

Również trzeba zwrócić uwagę na gospodarczą bazę społeczno-kulturalnej pracy USKT. Jest ona prawie w całości uzależniona od państwowych dotacji. Ukraińska kooperatywa, zorganizowana w latach sześćdziesiątych przy USKT, która dawała możliwość dobrego zarobkowania swoim członkom, zaś nadwyżki przekazywała na społeczną i artystyczną działalność USKT, dawno została zlikwidowana. Obecnie USKT utrzymuje się wyłącznie z państwowych dotacji, a co to znaczy, szkoda mówić. Historia powtarza się. Nastąpił czas jeszcze większej dyskryminacji i bardziej konsekwentnej asymilacji ukraińskiej mniejszości, niż to się działo na naszych ziemiach między dwiema wojnami.

Dlatego też przyłączamy się do utworzonej w Kijowie, w dniu 6 listopada 1976 roku Ukraińskiej Grupy zwolenników wykonywania umowy w Helsinkach i domagamy się, aby Deklaracja Praw Człowieka stała się podstawą stosunków między państwem i obywatelem, bez względu na jego narodowość i wyznanie.

Zwracamy się do was wszystkich, Bracia i Siostry w Wolnym Świecie, abyście przy pomocy masowych akcji, manifestacji i demonstracji mobilizowali szerokie koła społeczne wszystkich krajów Wolnego Świata i wykorzystywali materiały informacyjne dla wzmacniania walki o prawa narodowe i ludzkie w krajach, uciemiężonych przez Sowiety, gdyż walka ta ściśle łączy się także z walką o niezależność naszej Ojczyzny, która nigdy nie skapitulowała.

Prosimy nasze ukraińskie Kościoły w Wolnym Świecie, by wszelkimi siłami podtrzymywały walkę o realizację umowy w Helsinkach, gdyż ta walka o prawa człowieka jest jednocześnie walką o swobodę w wyznawaniu wiary chrześcijańskiej.

Zwracamy się do wszystkich polityczno-wyzwoleńczych i społecznych organizacji, by wszelkimi środkami wspierały walkę z państwową polityką wyznaczenia i z narodową dyskryminacją w krajach uciemiężonych przez Sowiety.

Podtrzymujemy wszystkie wysiłki skierowane ku konsolidacji uświadomionej ukraińskiej emigracji, aż do pełnego zjednoczenia wszystkich wyzwoleńczo-rewolucyjnych sił w walce o Ukraińskie Niepodległe Zjednoczone Państwo.

TOWARZYSTWO ZWOLENNIKÓW UMOWY W HELSINKACH

Kwiecień 1977

Zmierzch Towarzystwa Kultury Moralnej

W początkach czerwca 1977 roku odbył się w Warszawie przewidziany statutem walny zjazd delegatów Towarzystwa Kultury Moralnej dla wyboru nowych władz. Atmosfera zjazdu była jednak nienormalna, dobór delegatów dziwny a swoboda wypowiedzi, podobno, ograniczona. Spowodowane to było przede wszystkim wewnętrznym, trwającym przeszło rok kryzysem moralnym Towarzystwa na tle zacieklej walki o władzę (!) między dwoma grupami: grupą dotychczasowego prezesa Towarzystwa, prof. S. Matuszewskiego (b. księdza, b. ministra PRL przed 1956 rokiem i b. profesora Uniwersytetu Warszawskiego), który objął tę funkcję po założycielu Towarzystwa prof. T. Kotarbińskim, a grupą jego osobistych przeciwników w Zarządzie Głównym Towarzystwa. Ostatni występowali w obronie zagrożonej jakoby przez prof. Matuszewskiego zasady kolegialnego sprawowania władzy w Towarzystwie. Dochodziło do gorszących awantur na niektórych zebraniach, tak iż w konsekwencji ustąpiło z Towarzystwa na znak protestu wielu członków (ok. 200) wśród nich i prof. Kotarbiński, zrzekając się jednocześnie tytułu członka honorowego.

Skład Zjazdu Delegatów jak i jego przebieg nie odpowiadał rzeczywistej sytuacji Towarzystwa, a nowe władze w składzie, złożonym z przeciwników S. Matuszewskiego, zostały wybrane niemal jednogłośnie. W większości składają się one z działaczy sprzed 1956 roku.

I tak Towarzystwo powołane do życia z najlepszych intencji dla dialogu między zwolennikami etyki chrześcijańskiej, racjonalnej i tzw. niezależnej (prof. Kotarbińskiego) raczej niechlubnie zakończyło swój niezależny byt (w poprzednim okresie swoboda wypowiedzi na zebraniach Towarzystwa była niemal nieograniczona). Nietrudno bowiem przewidzieć, iż w niedalekiej przyszłości Towarzystwo Kultury Moralnej stanie się jedną z przybudówek Frontu Jedności Narodu, tracąc tym samym możliwości swobodnego dialogu.

J. B.

ZWIĄZEK WARSZAWIAN W IZRAELU
WYZNACZYŁ NAGRODĘ W WYSOKOŚCI 5.000 FUNTÓW
ZA PRACĘ NA TEMAT

**HISTORII ŻYDOSTWA WARSZAWSKIEGO
— DO OKRESU II-giej WOJNY ŚWIATOWEJ
KTÓRA NIE UKAZAŁA SIĘ DOTYCHCZAS W DRUKU.**

Jury składa się z przedstawicieli Wydziału Historii Żydowskiej
w Polsce przy Instytucie Badań Diaspory Uniwersytetu Telawiwskiego
oraz Związku Warszawian w Izraelu.

Prace w językach — hebrajskim, żydowskim, polskim lub angielskim
— winny być dostarczone do Sekretariatu Instytutu Badania Diaspory
przy Uniwersytecie Telawiwskim do dnia 31 marca 1978 roku.

Sąsiedzi

Deklaracja solidarności

(W ZWIĄZKU Z „DEKLARACJĄ W UKRAIŃSKIEJ SPRAWIE”,
PODPISANĄ PRZEZ DZIAŁACZY POLSKIEJ, ROSYJSKIEJ,
WĘGERSKIEJ I CZESKIEJ EMIGRACJI)

W maju 1977 roku 14 wybitnych działaczy polskiej, rosyjskiej, węgierskiej i czeskiej emigracji podpisało i ogłosiło drukiem „Deklarację w ukraińskiej sprawie”, która stanowi novum w politycznym życiu emigracyjnym, oraz otwiera nowe perspektywy dla współpracy poszczególnych narodów na nowych, sprawiedliwych zasadach. „Deklarację” tę przedrukowały ukraińskie czasopisma wszystkich politycznych kierunków. O ile udało się nam stwierdzić, wywołała ona bardzo szerokie echo w społeczeństwach, w których jej autorzy pracują.

W „Deklaracji” jest mowa o krzywdach, jakich naród ukraiński zaznał w ciągu wielu stuleci od polskiego imperializmu; potępiony został imperializm rosyjski; wyrażono uznanie dla ukraińskiego narodu za jego konsekwentną walkę o własną suwerenność; podkreślono przodującą rolę ukraińskiej walki wyzwolenczej wśród innych narodów Związku Sowieckiego, oraz stwierdzono, że Polacy, Rosjanie, Węgrzy i Czesi nie zdobędą pełnej wolności, jeżeli jej nie uzyskają Ukraińcy, Białorusini, Litwini. Autorzy zwrócili się z wezwaniem do narodu rosyjskiego, aby odwrócił się od polityki imperialistycznej, i jednocześnie zaapelowali do rosyjskiej emigracji i rosyjskiego ruchu opozycyjnego w Związku Sowieckim o współpracę z Ukraińcami, walczącymi o niezależność Ukrainy.

My, wchodzący w skład Ukraińskiego Ruchu Demokratycznego, który stanowi federacyjne zjednoczenie trzech politycznych stronnictw: Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Za granicą (OUNz), Ukraińskiej Partii Rewolucyjno-Demokratycznej (URDP), Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO),

oraz niezależnych ukraińskich demokratów — witamy „Deklarację” i jej autorów, wdzięczni za moralne podtrzymanie, jakie swoim wystąpieniem dali ukraińskiemu narodowi w czasach jego ciężkiej próby.

Niemniej, uważamy za konieczne wyrazić nasze zastrzeżenie co do tego fragmentu „Deklaracji”, w którym wypowiedziana jest sugestia, że „może powstać taka sytuacja, w której Ukraińcy będą mogli swobodnie wypowiedzieć się, czy życzą sobie niepodległego państwowego bytu”. Przypominamy, że naród ukraiński w ciągu ostatnich przeszło sześćdziesięciu lat miał przed sobą kilkakrotnie taką sytuację i zawsze starał się ją wykorzystywać, za cenę krwi i majątku, by stwierdzić, że jego ideałem było i jest niepodległe ukraińskie państwo.

Cieszymy się, że w „Deklaracji” zostały potępione imperia-lizmy, więc, widząc nowe możliwości, przesyłamy polskiemu, rosyjskiemu, węgierskiemu i czeskiemu narodowi nasze szczere pozdrowienia, a zarazem życzenia, aby narody te całkowicie wyzwoliły się spod obcego panowania. Naród ukraiński, pozostawiając w niepamięci tragiczne wydarzenia przeszłości, gotów jest nie szczędzić wysiłków, aby uzgodnić współżycie z wszystkimi swoimi sąsiadami na podstawie wzajemnego zaufania, pokoju i przyjaźni.

Mamy nadzieję, że „Deklaracja” stanie się asumptem do utworzenia klimatu, sprzyjającego utworzeniu jednego frontu demokratycznych sił narodów Związku Sowieckiego, satelitów i działaczy emigracyjnych w walce o narodowe, społeczne i polityczne wyzwolenie.

Roman Baranowskyj (USA), Roman Borkowskyj (USA), Wasyl Wytwyčkyj (USA), Ołeh Woliański (USA), Mychajło Woskobijnyk (USA), Fedir Haenko (Niemcy), Josyp Hirniak (USA), Jakiw Hnizdowskyj (USA), Wasyl Hryszko (USA), Mychajło Dobriański (Anglia), Iwan Dubyłko (Kanada), Roman Ilnyčkyj (USA), Anatol Kamiński (USA), Hryhorij Kostiuł (USA), Wołodymyr Kubiłowycz (Francja), Jurij Ławrynenko (USA), Anatolij Łysyj (USA), Jurij Łuckyj (Kanada), Lubomyr Makaruszka (Niemcy), Omelan Pricak (USA), Myrośław Prokop (USA), Bohdan Rubczak (USA), Iwan Łysiak-Rudnyčkyj (Kanada), Ołeh Fedyszyn (USA), Atanas Figol (Niemcy), Marko Harynnyk (Kanada), Jurij Szeweliow (USA), Ołeksja Jaworśkyj (Kanada).



Do Deklaracji w sprawie ukraińskiej, ogłoszonej w numerze 5/356 Kultury, zgłosili akces: Jerzy Jankowski, redaktor Polski w Europie, oraz prof. Jerzy Lerski z San Francisco (USA).

Pierwszy krok

Majowa deklaracja czternastu intelektualistów z czterech krajów sąsiadujących z Ukrainą jest — zarówno z punktu widzenia Ukraińców jak też z uwagi na całokształt stosunków międzynarodowych w tej części Europy — pierwszym krokiem do przełamania zaklętego czy też raczej przeklętego koła nie-nawiści, nieufności lub jak w wypadku Czechów a nawet po części Węgrów — obojętności. Szkoda wielka, że w tym gronie szlachetnych zabrakło przedstawiciela narodu rumuńskiego, któremu przysze losy Ukrainy nie będą obce, bo z uwagi na historię i geografie takimi być nie mogą. Historyczna i współczesna dola Ukrainy była i jest spleciona wielorakimi wątkami z dolą narodów, do których należą sygnatariusze deklaracji. Rzecz jasna, że wątki te przebiegały w rozmaity sposób. Stąd też podpisy złożone pod tym dokumentem nowych przemian wywołują pośród Ukraińców odmienne refleksje. Prawdą jest, że wszystkie cztery państwa sąsiednie w różnych okresach czasu — odpowiednio do swych tradycji i możliwości — stosowały wobec ukraińskiego obszaru etnograficznego i językowego politykę ucisku lub co najmniej preferowania własnych interesów kosztem ludności autochtonicznej. W rezultacie drugiej wojny światowej, która radykalnie zmieniła obraz mapy w Środkowo-Wschodniej Europie, problem stosunku sąsiadów do Ukrainy uległ gruntownemu przeobrażeniu jeśli chodzi o Polskę, Węgry i Czechosłowację. Zniknęło zjawisko ustawicznej irredenty ukraińskiej. Nie ma dziś pomiędzy nami sporów terytorialnych, pozostały jedynie niezafatwione kwestie autonomii kulturalnej, językowej i religijnej dla pozostałych w obrębie nowych układów granicznych — nielicznych zresztą — mniejszości narodowych, lub bagatelizowane przez reżymy komunistyczne zagadnienie pielęgnowania zabytków historycznych i kulturalnych, pozostałych w poszczególnych regionach. Istnieje czy powstaje inny wymiar tych stosunków, rzutujący w naszą wspólną przyszłość. Obca przemoc, panująca doktryna i forsowne uprzedmiotowienie całego obszaru od Zagłębia Donieckiego po Dunaj, Łabę i Odrę sprawiły, że Ukraina jest głównym dostawcą kilku ważnych surowców dla trzech krajów sąsiednich. Dostawy te, osiagające olbrzymie rozmiary i odbywające się zarówno w rabunkowym tempie jak też bez należytego ekwiwalentu w imię sprawiedliwego rozrachunku, z którego korzysta w lwiej części „starszy brat” rosyjski dla swych celów imperialistycznych, mają tę dobrą stronę, że na skutek takich procesów ekonomicznych, następuje organiczne zespolenie gospodarcze ukraińsko-polsko-węgiersko-czechosłowackiego obszaru. Mało się o tym mówi i

jeszcze mniej pisze w naszych krajach. Stąd też powstaje niebezpieczeństwo ignorowania czynnika ukraińskiego.

Gorszymi w skutkach są jednak szerzące się ignorancja i niewiedza o Ukrainie, jej historii, kulturze i sztuce. Moskwa roztoczyła niewidzialną ale skuteczną blokadę i uczy swych satelitów traktowania Ukrainy jako mierzwy do tworzenia „narodu sowieckiego”. Dlatego więc pod tym kątem widzenia deklaracja jest wydarzeniem doniosłym; pod warunkiem, że nie ostanie się tylko jednodniową łatką, lecz będzie punktem wyjściowym do stałego i wciąż się pogłębiającego rozbijania kolonialnego pierścienia, zakuwającego Ukrainę w nowy system niewoli, może się stać zwrotnicą prowadzącą do tworzenia teoretycznych i duchowych podstaw przyszłego układu stosunków na Wschodzie Europy. Rzecz oczywista, że do tego potrzeba silnej woli, wytrwałości, twórczej fantazji a przede wszystkim rzetelności. Konkretna realizacja ducha i litery Deklaracji w sprawie ukraińskiej wymaga wspólnych wysiłków na rzecz walki ze złą milczenia na ten temat, szerzenia prawdy drogą publikacji, konferencji naukowych, wspólnych interwencji.

Niewiedza o Ukrainie jest w krajach sąsiadujących powszechna. Przeciętny młody Polak czy Węgier wie na pewno więcej o Kubie lub Angoli niż o Ukrainie. A mimo to czas pracuje na rzecz zniewolonego narodu dzięki rosnącemu umiędzynarodowieniu tej kwestii. Wynika to z trzech doniosłych przemian historycznych: upadku systemu kolonialnego w zasięgu całego globu, konfliktu imperium moskiewskiego z dążeniem narodów, pozostających pod jego władaniem, do wolności i niezawisłości oraz z postępu w dziedzinie komunikacji w erze rewolucji naukowo-technicznej. Coraz trudniej ukryć przed światem zbrodnicze praktyki polityki kolonialnej a jednocześnie odgradzić naród od wpływów innych bardziej wolnych i rozwiniętych formacji społecznych i duchowych.

W tym sensie ważną a jednocześnie wymowną i chyba logiczną stroną deklaracji czternastu jest właśnie współzależność tego dokumentu z umiędzynarodowieniem sprawy zniewolenia Ukrainy. Ten pierwszy manifest prawdy o jednej z ofiar imperializmu Moskwy jest krokiem, na który od dawna czekali wszyscy Ukraińcy. I dobrze się też stało, że powstał on na ziemi francuskiej, skąd przed blisko dwustu laty wyszedł duch rewolucyjnych przemian i emencytacji ludów. Dla Ukraińców jest to dowód, że walka okupiona strasznymi spustoszeniami i ofiarami, nie idzie na marne. Dokument ten jest w pewnym stopniu aktem deklaracyjnym zadośćuczynienia odwiecznym krzywdom zadawanym narodowi ukraińskiemu i jego aspiracjom narodowym. Jest on jednocześnie pierwszym kamieniem węgielnym pod fundamenty, na których mógłby i powinien powstać system wzajemnego zaufania, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do wszechstronnej współpracy.

Dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że strona polska — konkretnie środowisko *Kultury* — odegrało w tym rolę pio-

nierską. Bez długoletniego drażenia skały wiekowych uprzedzeń i niedawnych konfliktów, bez odwagi do poświęcenia maksymalistycznych lub sentymentalnych dezyderatów w imię realnych interesów, bez uporczywej wytrwałości wydawcy i redaktora pisma i wreszcie bez twórczej myśli Mieroszewskiego, długo by jeszcze trzeba było czekać na podobną deklarację. Przykład zespołu *Kultury* przyczynił się w walny sposób do tego, że kilku rosyjskich intelektualistów i polityków z młodszej i średniej pokolenia jakby się ocuciło z imperialistycznego czadu i odważyło się nareszcie przeciąć pępowinę mitu o *jedimoi, niedielimoi*. Podpisy Amalrika, Bukowskiego, Gorbaniewskiej, Maksymowa i Niekrasowa pod deklaracją zostały złożone w sto lat po „ukazie Emskim” cara Aleksandra z roku 1876, zabraniającym drukowania książek i prasy w języku ukraińskim i w czterdzieści lat po pogromie nauki, kultury i literatury ukraińskiej w imię stalinowskiej ofensywy rusyfikacyjnej. Podpisy te mają więc symboliczny charakter jakiejś części dążenia do wyrównania krzywd i zbrodni, dokonywanych na żywym ciele Ukrainy. Są one zapowiedzią nadziei i moralno-politycznym zobowiązaniem.

Odbity się już szerokim echem w diasporze ukraińskiej za granicą. Wachlarz reakcji zawiera wiele akcentów i odcieni, począwszy od wyrazów szacunku i uznania, poprzez wyczekujące stanowisko aż do sceptycznej nieufności a nawet wręcz ostrej krytyki, zwłaszcza jeśli chodzi o zawartą w deklaracji nutę dla większości ogółu ukraińskiego niestrawnej formuły *nieppredieszenstwa*. Klauzula ta była, niestety, w ciągu całej historii smutnych stosunków rosyjsko-ukraińskich we wszelkiej wykładni polityków Rosji instrumentem taktycznych uników i wybiegów i trudno się dziwić, że automatycznie wywołuje po dziś dzień odruchy negatywne w wielu środowiskach ukraińskich.

Tylko ludzie nieobeznani z ogromem nieszczęść, przytłaczających stosunki rosyjsko-ukraińskie mogą się dziwić, że Ukraińcy nie przyjęli deklaracji entuzjastycznie. Należy zawsze pamiętać, że Moskwa w ciągu całych dziejów nie dotrzymała żadnych przyrzeczeń i nie wykonała podjętych zobowiązań, wynikających z obopólnych układów lub porozumień. Nieufność wobec wszelkich nowych zobowiązań lub obietnic ma przeto zbyt silne korzenie historyczne, by mogła się nagle ulotnić i ustąpić miejsca postawom pełnym ufności. Liczne przykłady z rozmaitych procesów przechodzenia narodów pobitych do postaw neutralnych lub nawet pozytywnych w stosunku do przedstawicieli dawnych systemów kolonialnych winny być dla nas nauczka i przestroga, zwłaszcza kiedy w danym wypadku współczesny kolonializm i imperializm rosyjski w wydaniu sowieckim nie zdradza najmniejszych tendencji do pójsicia w ślady innych kolonializmów, które uległy samolikwidacji. Droga do dialogu rosyjsko-ukraińskiego nie będzie usłana różami. Jest ona zabarykadowana rumowiskiem przeszłości. Dlatego na wolnych Rosjanach spoczywa w pierwszym rzędzie moralny obowiązek stałego i mozolnego trudu przekonania swego południowego ukraińskiego sąsiada, że

wspólnie z przedstawicielami innych sąsiadów Ukrainy podpisana deklaracja nie jest dokumentem przejściowego czy taktycznego koniunkturalizmu lecz pierwszym krokiem do otwarcia wszechstronnej dyskusji na temat możliwości ułożenia przyszłych wzajemnych stosunków na bazie równych z równymi; wolnych z wolnymi.

Bohdan OSADCZUK

W sowieckiej prasie

Kultura w poprzednim numerze (lipiec-sierpień 1977) przedstawiła swój wariant zmian tekstu hymnu sowieckiego, który cała postępową ludzkość zacznie śpiewać z dniem 1 września. Prasa sowiecka pospieszyła się z opublikowaniem tekstu oficjalnego. 12 czerwca wszystkie pisma sowieckie zamieściły na pierwszej stronie tekst i nuty. Trzeba przyznać, że *Kultura* omyliła się i wprowadziła swoich czytelników w błąd. Okazuje się bowiem, że nie ma żadnych zmian w tekście i w muzyce. Tak samo pozostali ci sami autorzy tekstu. W tekście hymnu sowieckiego były dwa kluczowe zdania: pierwsze — „nierozzerwalny związek wolnych republik zepołą na wieki wielka Rosja”, i drugie (drugie zdanie refrenu) — „partia Lenina — partia Stalina prowadzi nas od zwycięstwa do zwycięstwa”.

Nowy tekst podaje bez zmian pierwsze zdanie: „Wielka Rosja pozostaje oficjalnie główną prowadzącą i kierowniczą siłą związku „wolnych republik”. W drugim zdaniu przeprowadzono jedynie kosmetyczny retusz, który jest świadectwem, że nic się nie zmieniło. Zdanie brzmi dzisiaj: „Partia Lenina, siła narodu, prowadzi nas do zwycięstwa komunizmu!”. Zamiast „od zwycięstwa do zwycięstwa” podano tylko bardziej dokładne określenie: „zwycięstwo komunizmu”, a miejsce Stalina zajął Lenin. Tego rodzaju kosmetyka jest dobrze znana ludziom sowieckim. Przykładem mogą służyć różne wydania tzw. sowieckich przysłów ludowych. W wydaniu z 1948 roku czytamy: „Polecenie Stalina to to samo co polecenie ojca”, „Iść za Stalinem — żyć w szczęściu i kwitnąć”, a w wydaniu z 1961 roku „narodowa mądrość” brzmi już inaczej: „leninowskie polecenie to to samo co polecenie ojca”, „iść za Leninem — żyć w szczęściu i kwitnąć”.

Ludzie sowieccy dobrze wiedzą, że kosmetyka — zamiana nazwiska Stalina nazwiskiem Lenina — ma na celu podkreślenie niezmiennego charakteru reżymu. I nie przypadkowo aresztowanie członków grupy broniącej wypełniania umów helsińskich nastąpiło w radosnym dniu ogłoszenia nowej konstytucji.

W Moskwie byli aresztowani: Jurij Orłow, Aleksander Ginzburg, Anatolij Szczaranski; na Ukrainie Mykoła Rudenko i Ołeks Tychyj; w Gruzji: Ewadi Hamsahurdija i Merab Kostawa. Tak samo nie było przypadkiem, że najpierw sądzono Ukraińców — w dniu ogłoszenia nowego hymnu i otwarcia konferencji w Belgradzie. I nie przypadkowo dano im niesłychanie wysokie kary: nauczyciel historii Ołeks Tychyj skazany został na 10 lat łagru i 5 lat zsyłki, b. sekretarz Związku Pisarzy Ukrainy, Mykoła Rudenko na 7 lat łagru i 5 lat zsyłki. Proces — jak jest obecnie w zwyczaju, miał miejsce przy drzwiach zamkniętych w maleńkim miasteczku Drużkowska, które można znaleźć jedynie na bardzo szczegółowej mapie Ukrainy. Obecnie na porządku dziennym są dalsze procesy.

Nikt lepiej od Stalina nie potrafił sformułować zasadniczej istoty tzw. sowieckiej demokracji: nierozzerwalnej więzi między realizacją obowiązków konstytucyjnych i terrorem. Występując na XVIII Zjeździe Partii (1939) ojciec konstytucji sowieckiej wyraził swą myśl jasno i niedwuznacznie: „W 1937 roku skazano na rozstrzelanie Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza i innych wyrodków. Potem nastąpiły wybory do Najwyższej Rady ZSSR. Wybory dały władzy sowieckiej 98,6 % wszystkich głosujących. Na początku 1938 roku skazano na rozstrzelanie: Rozenholca, Rykowa, Bucharina i innych wyrodków. Potem nastąpiły wybory do najwyższych Rad Republik Związkowych. Wybory te dały władzy sowieckiej 99,4 % wszystkich głosujących”. Być może, że profesorowie logiki znaleźliby błąd w stalinowskim sylogizmie, ale 60-cioletnia praktyka sowiecka — do dnia dzisiejszego — całkowicie potwierdza słuszność Stalina: Im ostrzejszy jest terror — tym wyższy jest procent głosujących na „władzę sowiecką”.

Na Zachodzie często słyszy się głosy: Nie można porównywać obecnego terroru sowieckiego z terrorem okresu stalinowskiego. W rzeczywistości jednak zmieniły się jedynie formy terroru, które nie mogły się nie zmienić: przeszło ćwierć wieku od dnia śmierci Ojca Narodów żyjemy w epoce naukowo-technicznej rewolucji — jak lubią ją nazywać pisma sowieckie. Jest oczywiste, że represje w stylu stalinowskim, aresztowania milionów, czy tylko setek tysięcy ludzi rocznie zniszczyłyby w bardzo krótkim okresie czasu sowiecką gospodarkę — całą maszynę państwową. A jednocześnie kolektywna pamięć narodu o „jeźow-szczyźnie”, o milionach aresztowanych, o setkach tysięcy rozstrzelanych, przekonanie ludzi sowieckich, że władza w każdej chwili może — jeśli uzna to za potrzebne — rozpocząć terror masowy, pozwalają obecnie ograniczać się do aresztowania wybranych przywódców opozycji, względnie wysyłaniem ich za granicę. Lidia Aleksiejewa, aktywny członek moskiewskiej grupy „Helsinki”, która wyemigrowała z ZSSR w czerwcu br. mówi: „Na wszelkie sposoby uniemożliwiając wyjazd, powiedzmy, Żydom czy Niemcom, praktycznie pozbawiając możliwości wyjazdu ludziom innych narodowości — rząd sowiecki życzliwie patrzy

na chęć wyjazdu aktywnego dysydenta". Lidia Aleksiejewa czekała na zgodę na wyjazd razem z rodziną — 10 dni!

Kolektywną pamięć zachowuje nie tylko naród sowiecki ale także przywódcy — wodzowie. Doświadczenie nauczyło ich, że niepohamowana inercja masowego terroru podnosi jego falę do samego szczytu i nie oszczędza wodzów. Zmieniły się formy sowieckich represji — niezmienną pozostaje jego treść: bezlitosne dławienie każdego odchylenia od oficjalnej linii, każdej próby powiedzenia prawdy.

Tym niemniej, mimo wszystkich wysiłków KGB, opozycja nadal istnieje: zmieniając formy, wysuwając nowych ludzi, zastępujących tych, których aresztowano lub zmuszono do wyjazdu. Jeszcze nie została napisana historia opozycji okresu po-stalinowskiego. Ale ta historia rozgrywa się na naszych oczach. I jedno można powiedzieć z całą stanowczością: z każdym rokiem nie tylko represje stają się coraz ostrzejsze, ale i opozycja zaczyna mówić coraz ostrzej. Realizuje się proroctwo Sołżenicyna. W styczniu 1972 roku, po śmierci Aleksandra Twardowskiego, autor „Archipelagu Gułag” pisał zwracając się do władz: „Szaleńcy! Gdy rozlegną się młode, ostre głosy, jakże będziecie żałować, że nie ma z wami tego cierpliwego krytyka, którego miękkiego, przekonywującego głosu słuchali wszyscy. Będziecie wtedy rozgrzebywali ziemię rękami, żeby przywrócić Trifonczika. Ale to będzie już za późno”. Czyżby wyrazem tych „młodych, ostrych głosów” były zrywy i pożary w Moskwie, których przyczyną bada się już od pół roku? 7 lipca Agencja TASS ogłosiła króciutko — 4 linijki — informację: „Organy KGB aresztowały przestępcę, który zorganizował 11 czerwca wybuch w taksówce przed hotelem Sowieckaja”. Przedtem o tym wybuchu nie było żadnej wzmianki. Andriej Amalrik po wybuchu w metrze moskiewskim kategorycznie twierdził, że to jest „robota KGB”, ale w niedawnym wywiadzie, zamieszczonym w paryskiej *Russkoj Mysli*, nieco zmienił zdanie: „Wybuch w metrze może być dziełem KGB, ale znamy już szereg przykładów indywidualnego terroru, wybuchów i podpałów, które nie były inspirowane przez władze”. I Amalrik kontynuuje: „Jeśli akty terrorystyczne nie są znane szeroko, to tylko dlatego, że teoria zawsze poprzedza praktykę. Gdy tylko pojawiają się książki i broszury ideologicznie uzasadniające terroryzm, terroryzm rozpowszechnia się w kraju”. Być może, że przekonanie Amalrika że „teoria zawsze poprzedza praktykę” ma charakter zbyt marksistowsko-leninowski, być może zbyt wierz w „książki i broszury, uzasadniające ideologicznie”, ale są wszystkie dane by przypuszczać, że terrorystyczny etap rozwoju sowieckiej opozycji jest bliski.

Coraz ostrzejsze są wypowiedzi obywateli sowieckich, krytykujących reżym. Niedawno ukazał się w samizdacie list do władz ZSSR ukraińskiego pisarza Helii Sniehriowa (list Sniehriowa i jego biografię zamieszczamy na str. 153). Książkę Helii Sniehriowa „Mamo, moja mamó” opublikował kwartalnik *Kontinent*. Tytuł książki ujawnia niezmiennie ważną cechę współczesnej

opozycji w Związku Sowieckim. Banalne już jest twierdzenie, że „rewolucja pożera swoje dzieci”. Sowiecka „rewolucja” pożera już nie tylko swoje dzieci, ale i wnuki. Wśród dysydentów coraz więcej jest ludzi w wieku 30-tu, 40-tu lat. Czują się oni odpowiedzialni za swój kraj i nie tylko za to co robią, ale również za czyny swoich ojców i dziadów. Młoda poetka Nina Korolewa pisze w wierszu, w którym wspomina tragiczny los „carycy z dzieckiem”: „Duszę się w niemocy, nie mogę ich uratować, uczestnicząc w biedzie i gwałcie, uczestnicząc w nienawiści”^{*}.

Zmiana pokoleń opozycji jest poprzedzona niezmiennie ważnym zjawiskiem. Po raz pierwszy od 60-ciu lat Zachód usłyszał świadectwa sowieckich dysydentów. Upłyne jeszcze trochę czasu zanim całkowicie doceni się rolę, jaką odegrał Aleksander Sołżenicyn, a przede wszystkim jego „Archipelag Gułag”, w zmianie stosunku opinii światowej do Związku Sowieckiego. Ale już dzisiaj można stwierdzić, że to znaczenie jest ogromne. Otworzyło ono oczy i uszy Zachodu na inne świadectwa. Mało tego, po raz pierwszy pod niewątpliwym wpływem sowieckiego pisarza, Aleksandra Sołżenicyna, pod wpływem sowieckiego doświadczenia „w budowie socjalizmu” rodzi się we Francji „bunt przeciw Marksowi”. Pojawiła się cała plejada młodych filozofów — André Glucksman („La cuisinière et le mangeur d'homme”, „Le maître penseur”), Bernard Henry Lévy („La barbarie à visage humain”), Jean-Marie Benoist („Marx est mort”) i inni analizując źródła totalitaryzmu niezależnie od jego koloru — czy jest on brązowy czy czerwony. Krytyka francuska niesłychanie wysoko oceniła „Przepastne wyżyny” Aleksandra Zinowiewa i z wielkim zainteresowaniem przyjęła niedawno wydaną po rosyjsku i francusku książkę wybitnego matematyka Igora Szafarewicza pt.: „Socjalizm jako zjawisko historii światowej”. Zasadnicze koncepcje swojej książki przedstawił autor w artykule pt.: „Socjalizm”, zamieszczonym w zbiorowym tomie „Iz pod głąb”. Moskiewski matematyk, honorowy członek amerykańskiej Akademii Nauk, członek Komitetu Obrony Praw Człowieka udowadnia w oparciu o ogromny materiał, że komunizm nie jest wynalazkiem Marksa, że to jest jak gdyby stała cecha charakteru człowieka. Francuski historyk Emmanuel Todd pisze w swojej recenzji: „Szafarewicz określa charakter trzech struktur — współczesnego komunizmu, komunizmu utopijnego i żywołowego komunizmu zarania ludzkości. Wzięte każda z osobna te struktury są znane. Sowiecki matematyk realizuje syntezę o zdumiewającej sile i wszędzie odkrywa, niezależnie od warunków geograficznych i stopnia rozwoju, jeden i ten sam system, tę samą *idée fixe*. Przychodzi do wniosku, że istnieje niezmienny

^{*} Utwór opisujący syberyjskie miasto Tobolsk, gdzie w 1918 roku zatrzymała się rodzina carska, był ogłoszony w leningradzkim piśmie *Aurora*, Nr 11, 1976. Dopiero po dwóch miesiącach cenzorzy zrozumieli o czym mówi wiersz Niny Korolewej. Natychmiast usunięto redaktora naczelnego i jego zastępcę.

system myślenia w ludzkiej naturze. Z dodatkiem jasności stylu jest dużo z Lévy-Straussa w tym odkryciu psychologii przy analizie społeczeństwa i jego ideologii".

Przykładem nowego stosunku do sowieckich dysydentów było spotkanie z nimi, zorganizowane przez francuskich intelektualistów — pisarzy i filozofów (zaproszono również dysydentów ze wszystkich krajów Europy Wschodniej). Jak mówili znawcy, po raz pierwszy w jednej sali na jednym spotkaniu znalazło się aż tylu francuskich „władców dusz”, a do tego wszystkich możliwych kierunków od Sartre'a do Ionesco. Spotkanie to było specjalnie ważne gdyż miało miejsce w tym samym czasie kiedy na drugim brzegu Sekwany prezydent Francji przyjmował Leonida Breżniewa.

Lipcowa wizyta Breżniewa we Francji była jego pierwszym wyjazdem na Zachód od ponad dwóch lat. Prasa sowiecka zapewniała swoich czytelników, że naród francuski, wdzięczny towarzysowi Breżniewowi za zaszczyt, przez cały tydzień nie jadł i nie pił a jedynie myślał o wodzu postępowej ludzkości. Pobyt Breżniewa we Francji dał dwa rezultaty. Pierwszy — Francuzi mogli zobaczyć ciężko chorego człowieka. Całą prasę francuską obiegła zdumiewająca fotografia: Breżniew przed grobem Nieznanego Żołnierza, chwytający się za głowę i widocznie nierozumiejący gdzie się znajduje. Wrażenia ciężko chorego człowieka nie zmienia fakt, że Breżniew przez dwie godziny czytał Giscardowi d'Estaing powitalną i pouczającą mowę. Jak to określił naczelny redaktor *Le Monde*, nie tylko cyklistom należy zabronić zażywania narkotyków. Drugi rezultat — prezydent Francji po rozmowach z Breżniewem wystąpił jako obrońca sowieckiej polityki *détente* zarzucając prezydentowi Carterowi, że ten naruszył „kodeks przyzwoitego zachowania się w warunkach *détente*”. Antyamerykańskie wystąpienia są obowiązujące dla wszystkich francuskich działaczy politycznych, a specjalnie w okresie przedwyborczym. Jednak budzi zdziwienie oświadczenie prezydenta Francji, że „naukowa analiza życia sowieckiego w okresie 1967-1977 — czy to mowa o rozszerzeniu dopływu informacji czy o fenomenie dysydentów — świadczy o zachodzących znacznych zmianach”. Zdumienie powoduje nie tylko fakt, że zmian w kierunku tzw. liberalizacji w życiu sowieckim nie sposób znaleźć, a także i to, że francuscy uczeni, zajmujący się Związkiem Sowieckim również tego rodzaju zmian nie odkryli. Zdziwienie niknie jednak jeśli sobie przypomnimy, że głównym doradcą prezydenta Francji w sprawach Związku Sowieckiego jest Samuel Pisar, adwokat szeregu wielkich firm amerykańskich, prowadzących handel z ZSSR, gorący obrońca *détente*, autor książki „Broń pokoju”.

Ciekawym komentarzem do poglądów Pisara jest książka amerykańskiego działacza związkowego, ekonomisty i socjologa Charlesa Levinsona „Vodka-Cola”. Jakby w odpowiedzi Pisarowi,

pierwszy rozdział książki zatytułowany jest: „Zysk z pokoju”. Charles Levinson przytacza różne fakty i dokumenty, stwierdzające, że zachodnie wielonarodowe towarzystwa chcą wykorzystać swoją potęgę dla podtrzymania reżymów komunistycznych we Wschodniej Europie. Zdaniem autora „Vodka-Cola” genialna koncepcja wielonarodowych towarzystw polega na przekształceniu obywateli krajów wschodnio-europejskich w tanich producentów towarów na licencjach zachodnich, z tym by te towary były potem sprzedawane na rynkach zachodnich z zyskiem — w pierwszym rzędzie dla wielonarodowych koncernów. Niektórzy recenzenci zarzucają Levinsonowi przesadę w obronie interesów robotników amerykańskich. Ale właśnie pismo amerykańskich bankierów *Fortune* ogłasza specjalne *dossier*, poświęcone sieci banków, stworzonych przez ZSSR za granicą. Amerykańscy bankierzy witają swoich sowieckich kolegów! *Dossier* nosi radosny tytuł: „Ta komunistyczna międzynarodówka mówi z kapitalistycznym akcentem”. *Fortune* powtarza prawie dosłownie to, co pisze Levinson: Niezbędne jest ułatwienie Związkowi Sowieckiemu otrzymania jak największej ilości twardej waluty, gdyż w ostatecznym rozrachunku waluta ta będzie wykorzystana dla nabycia na Zachodzie technologii i urządzeń, przy pomocy których będą wydobywane surowce — a te i tak przyjdą na Zachód.

Bankierskie powiązania gospodarcze pociągają za sobą powstawanie więzów politycznych. Między 9 a 13 lipca pod Rygą, w letniskowej miejscowości Jurmała, były prowadzone rozmowy pomiędzy sowieckimi specjalistami od Stanów Zjednoczonych a byłymi najbliższymi współpracownikami Kissingera — osławionym Sonnenfeldtem i Davidem Rockefellerem.

Najbardziej operatywne ze wszystkich sztuk — kino (mam na myśli kino amerykańskie) — już podchwyciło koncepcję o jedności kapitalistów wszystkich krajów, niezależnie od ich politycznego ustroju. W ostatnim filmie Sydneya Lumeta „Network” występuje z programowym przemówieniem najbogatszy kapitalista amerykański, właściciel wszystkich banków, fabryk i stacji telewizyjnych, który wzywa: bankierzy wszystkich krajów łącznie się i oświadczają, że pieniądze nie znają granic, a rubel jest dla niego równie cenny jak dolar.

Nie zdając sobie z tego sprawy Sydney Lumet pokazał na ekranie tego samego kapitalistę, o którym Lenin mówił, że sprzeda Związkowi Sowieckiemu sznur, na którym go powieszą. Lenin omylił się tylko w jednym: kapitalista nie chce sprzedawać sznura, on daje go na kredyt.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Do Warszawy przybył nowo mianowany ambasador Republiki Federalnej Niemiec, Werner Ahrens. ■ „Problemy wyobcowania jednostki i despotyzmu w systemie komunistycznym” były tematem odczytu, wygłoszonego przez prof. Leszka Kołakowskiego w *Otto-Suhr-Institut (FU)* w Berlinie Zachodnim. ■ W Morągu otwarto Muzeum *Jana Gotfryda Herdera* urodzonego w tym mieście (w 1744 r.), znanego niemieckiego pisarza i filozofa. ■ Niebawem ukaże się na niemieckim rynku księgarskim, nakładem *Evangelische Verlags-Anstalt*, powieść Szczypiorskiego *Msza za miasto Arras*, nagrodzona przez *PEN-Club* w roku 1972 jako najwybitniejsza książka polska ostatnich lat. ■ W Polsce przebywała delegacja hanzeatyckiego miasta Hamburga z prezydentem senatu tego miasta — Hansem Ulrichem Klose. Niemieccy goście wzięli udział w obchodach *Dni Hamburga* w Gdańsku. Przed dwoma laty odbyły się w Hamburgu *Dni Polskie* przygotowane przez Gdańsk. ■ *Informationdienst Nr 21*, wydawany w Bonn przez *Katholische Nachrichtenagentur*, ogłosił treść poufnego raportu, opracowanego przez działacza emigracyjnego *Stronnictwa Pracy* — Konrada Sieniewicza, po jego podróży do Polski. W raporcie Sieniewicz występuje wyraźnie w obronie posła na Sejm Janusza Zabłockiego, a działalność kierowanego przez niego *Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych* ocenia jako „pełną realizmu”. Sieniewicz ponadto zarzuca prasie zachodniej stronnictwość polegającą na udzieleniu poparcia moralnego wyłącznie działaczom konserwatywnego skrzydła *ZNAK'u*. ■ W Bonn przebywała na zaproszenie frakcji parlamentarnej SPD delegacja *Klubu Poselskiego PZPR* z jej przewodniczącym, członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC PZPR, Edwardem Babuchem. Hans hr. Huyn (CSU) oświadczył w *Bundestagu*, że „gdy delegacja Klubu Poselskiego PZPR prowadzi rozmowy z SPD i przedstawicielami rządu, to dzieje się to w czasie kiedy w Polsce aresztowani zostali członkowie Komitetu Robotników, m.in. Adam Michnik, który jeszcze niedawno był gościem w NRF”. Hans hr. Huyn wyraził żądanie, żeby kierownictwo SPD wystąpiło wobec polskich parlamentarzystów z „obroną prześladowanych działaczy polskiej opozycji”. ■ Sufragan diecezji w Paderborn, bp Nordhues, posiadający ważną wizę PRL nie otrzymał zezwolenia od władz wschodnoniemieckich na przejazd tranzytem przez terytorium NRD. Bp Nordhues zamierzał odwiedzić szereg diecezji w Polsce. ■ Michał Misiorny na łamach *Miesięcznika Literackiego*: „Na nazwiska i adres getyński polskich uczestników seminarium nadchodzi pocztą (stempel z Kolonii, nadawcy brak) emigracyjna literatura polityczna: sztokholmski *Aneks*, drukowany w Paryżu, dalej *Kultura*, różne minipisemka PPS, idiotyczna broszurka Kisielewskiego. Przeglądamy leniwie, a docent K. powiada: — Jeszcze trochę tego złomu...”. ■ W Warszawie i Berlinie Wschodnim ogłoszono wspólny komunikat o wizycie delegacji partyjnoparłamentarnej PRL w NRD, która przebywała tam w dniach 28-29 maja br. pod przewodnictwem I-go sekr. KC PZPR, E. Gierka. Rzecznik grupy parlamentarnej CDU/CSU do spraw polityki zagranicznej Werner Marx, stwierdził, że „Polska nie akceptuje reprezentowania na zewnątrz interesów Berlina Zachodniego przez Bonn”. ■ *Rektorat Misji Katolickiej w NRF*, kierowany przez ks. prałata Stefana Leciejewskiego, został przeniesiony z Frankfurtu do miejscowości Freising w Bawarii (Herrenweg 15). Po

obniżeniu rangi tej placówki przez Watykan (przedtem była to *Kuria Biskupia dla Polaków-Katolików w Niemczech*) i po przeniesieniu jej na prowincję, z dala od większych skupisk polonijnych, należy spodziewać się, że *Misja Katolicka w NRF* jeszcze bardziej ograniczy swą działalność. ■ *Inicjatywa na Rzecz Obrony Robotników, Studentów i Opozycji w Polsce* — taką nazwę nosi nowoutworzona organizacja na Uniwersytecie w Kolonii. ■ Przewodniczący SPD — Willy Brandt na konferencji prasowej w Warszawie: „Jako polityk niemiecki nie jestem zainteresowany prowadzeniem sporów o prawa obywatelskie i doprowadzeniem, być może, do unicestwienia zmian na lepsze dla ludzi”. Nic dziwnego, że przedstawiciel opozycji w *Bundestagu* Alois Mertens (CDU) stwierdził, że „wypowiedzi Brandta w Warszawie obiektywnie sprzyjają wysiłkom Bloku Wschodniego, zmierzającym do osłabienia znaczenia realizacji praw obywatelskich, co stanowiło treść odręczenia”. ■ Ojciec św. mianował ks. dr. Alfonsa Nossola biskupem ordynariuszem diecezji w Opolu. Ks. Nossol, ur. w 1922 roku na Opolszczyźnie jest pierwszym autochtonem, który otrzymał sakrę biskupią. ■ Radiostacja *Sueddeutscher Rundfunk* w Stuttgarcie nadała cztery dwudziestominutowe audycje z relacjami Władysława Bartoszewskiego o jego doświadczeniach moralnych z okresu okupacji, pobytu w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, udziału w katolickim ruchu konspiracyjnym (akcja pomocy Żydom) i o problematyce stosunków polsko-niemieckich. ■ Powieść Włodzimierza Odojewskiego *Zasypie wszystko, zawieje...* (Instytut Literacki, Paryż 1973), ukazała się w języku niemieckim (tłum. Gerda Leber-Hagenau i Rudolf von Jouanne) nakładem wydawnictwa *Zsolnay Verlag*. Tytuł niemiecki: *Katharina oder Alles verwehen wird der Schnee*. ■ Środki masowego przekazu w PRL prowadzą od pewnego czasu gwałtowną kampanię skierowaną przeciwko programom w języku polskim, nadawanym z Kolonii przez rozgłośnie *Deutschlandfunk*. ■ W pierwszej połowie 1977 roku przybyło do NRF 25 tys. 910 przesiedleńców z Polski. W tym roku rząd NRF przeznaczył na pomoc dla najnowszych przesiedleńców kwotę 365 mln. marek. ■ 25-osobowa delegacja Nauczycielstwa Polskiego przebywała z 14-dniową wizytą w NRF; chodzi o zbadanie jak dalece używane w Republice Federalnej podręczniki szkolne, a także programy szkół podstawowych i średnich, uwzględniają zalecenia polsko-niemieckiej komisji do spraw weryfikacji podręczników.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Litewski samizdat *Auśra* z lutego br. zamieścił obszerny list otwarty do przywódców partii komunistycznych Francji, Hiszpanii i Włoch, w którym donosząc o aresztowaniu dwóch litewskich intelektualistów w październiku ub. roku, apeluje o wstawienie się za nimi u władz sowieckich. „Jeśli prawdą jest, że komuniści Zachodu rzeczywiście szanują elementarne prawa człowieka i opowiadają się za samostanowieniem wszystkich narodów —

oczekujemy ich publicznej wypowiedzi na temat Litwy i innych narodów uciemiężonych... Jeśli chcą odkupić swe dawne błędy polegające na popieraniu ludobójczej polityki ZSSR — powinni jasno i niedwuznacznie powiedzieć: 'Nie aprobujemy sowieckiej polityki narodowościowej polegającej na ciemiężeniu małych narodów i prowadzącej do ich duchowego ludobójstwa'.

■ Litewsko-amerykański dziennik *Draugas* drukuje cykl artykułów J. Dainauskasa pt.: „Sprawa litewsko-polska”. W jednym z nich Dainauskas pisze: „Warto dodać, że Polacy nie przestają pisać i publikować mnóstwa wydawnictw o Litwie, Litwinach, stosunkach polsko-litewskich oraz o przeszłości i teraźniejszości Litwy. Opracowane przeze mnie zeszyty (1-6) *Litewskiej Historiografii*, wydane w latach 1971-1976 przez Litewskie Two Historyczne w Chicago, obejmują bibliografię 1778 prac dotyczących historii Litwy, napisanych nie przez Litwinów i nie w języku litewskim, i wydanych w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie na Litwie. Nie jest to bibliografia pełna ale i tak daje pewien obraz tego kto z obcych — nie Litwinów — najczęściej pisze o przeszłości Litwy i Litwinów. Wśród wspomnianych 1778 tytułów — 1003 są w języku polskim (56,4 %) i napisanych przez Polaków; 383 po rosyjsku, 198 po angielsku, 110 po niemiecku itd. Z tego 919 tytułów (51,7 %) wydano w dzisiejszej Polsce, 405 w Sowietach, 168 w USA, 82 w Anglii, 107 w Niemczech, itd. Wśród 775 wydawnictw napisanych nie w języku polskim znajduje się około 70-ciu (głównie w języku angielskim), również napisanych i wydanych przez Polaków. „Litewska Historiografia” nie obejmuje literatury dotyczącej historii Litwy ani mniejszych artykułów (kilka stron lub szpalt), związanych z historią Litwy. W licznej polskiej prasie ciągle ukazują się krótkie wspomnienia, opowiadania o obyczajach, notatki o życiu kulturalnym, kronika współczesnych wydarzeń itp. Takich drobnych wzmianek — nierejestrowanych w „Litewskiej Historiografii” — ukazuje po drugiej wojnie w polskiej prasie tysiące. ■ Korespondent kanadyjskiego czasopisma podaje, że w dniu święta narodowego, 16 lutego br., krążyły po ulicach Wilna liczne patrole sprawdzające dokumenty przechodniów. W tym okresie zdjęto z gmachu Bratniaka flagę sowiecką, usunięto portret Lenina z gmachu głównej poczty, na krótko wywieszona była flaga litewska na gmachu Min. Spraw Wewn. — siedzibie milicji i na ścianach domów ukazały się napisy „Wolna Litwa — Rosjanie precz!”. Zdaniem korespondenta na Litwie jest największy nacjonalizm ze wszystkich krajów Związku Sowieckiego mimo tego, że stopa życiowa w krajach bałtyckich jest wyższa niż w Rosji i że nadal przemysł rośnie. Litewski ruch oporu składa się z wielu drobnych grup, ze sobą nie powiązanych, wskutek czego nawet wykrycie jednej grupy nie pociąga za sobą likwidacji innych. Wielkim atutem ruchu oporu jest łączność uczuć religijnych i narodowych. Tym niemniej na dłuższą metę religia jest zagrożona na skutek zmniejszania się ilości księży, braku literatury religijnej, uniemożliwienia uczenia dzieci religii, oraz selekcji kandydatów na księży (kandydaci do seminarium wzywani są nieraz sześciokrotnie na przesłuchania w policji). ■ Po wielkim trzęsieniu ziemi w Taszkencie część ludności zrujnowanego miasta ewakuowano do Wilna na stałe wskutek czego miasto nabrało pewnego kolorytu azjatyckiego, niemiłego dla autochtonów. ■ Na Żmudzi, w pierwszych dniach września, w miejscowości Szydów obchodzony jest „fest” połączony z pielgrzymką (ostatni kilometr należy przejechać na kolanach) do statui Matki Boskiej (rzeźba Wiwuskiego). W ub. roku zebrał się tłum ok. 500-ciuset wiernych w tym 93 studentów, protestujących przeciwko uciskowi religijnemu. Sporządzone fotografie przekazano na Zachód i ukazały się w prasie litewsko-amerykańskiej. ■ Podczas gdy na pomniki dla sowieckiej armii i współpracujących z nią partyzantów asygnuje się dziesiątki tysięcy rubli na pomniczek najwybitniejszego powieściopisarza Mikolaitisa-Putinasa wyasygnowano rubli 300 (Mikolaitis był autorem pierw-

szej litewskiej powieści przetłumaczonej na język polski („W cieniu ołtarzy”). ■ W dn. 5. 6. 1977 zmarł w Nowym Jorku sędziwy dr D. Jasaltis, jeden z czołowych działaczy litewskiej emigracji, który ostatnio zbierał materiały do dziejów Żydów na Litwie. Dr Jasaltis był zwolennikiem współpracy emigracji litewskiej i polskiej. ■ Zmarł w Warszawie inż. Czesław Mackiewicz, b. kierownik resortu kulturalno-oświatowego organizacji polskich w Republice Litewskiej, a następnie współtwórca podokregu Armii Krajowej na Litwie. ■ W związku z ukazaniem się w Kanadzie książki prof. H. Radeckiego i red. B. Heydenkorna pt.: „Member of Distinguished Family”, tamtejszy gen. konsul litewski, dr J. Żmuidzinąs wystosował pismo protestujące przeciwko nazywaniu Rzeczypospolitej — Rzeczpospolitą Polską. Dr Żmuidzinąs twierdzi, że Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie były zjednoczone w konfederacji Rzeczypospolitej Obojga Narodów i że nazwa Rzeczpospolita Polska jest bezpodstawa. Dodać należy, że z litewskiego punktu widzenia Konstytucja 3 Maja została uchwalona ale nie uprawomocniona i przez Stanisława Augusta anulowana — nie posiada zatem mocy prawnej.



Litewski miesięcznik *Aidai* Nr 3/77 (Boston) zamieszcza artykuł V. Ciziunasa pt. „Kontynuując dialog z Polakami”.

„Wydaje się, że mało kto z ludzi oświeconych zaprzeczy, że dialog z Polakami jest potrzebny”. Autor dokonuje krótkiego przeglądu artykułów dotyczących spraw litewskich, zamieszczonych w *Kulturze*, w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

„Czasopismo imponuje swą treścią i szeregiem wysoko wykwalifikowanych współpracowników. Wśród nich badajże najbardziej wydajny był *Juliusz Mieroszewski*, zmarły w roku 1976, a poza tym: L. Kofakowski, J. Lewandowski, Zb. Byrski, G. Herling-Grudziński, Cz. Miłosz i in. Bardzo pilnie śledzi sprawy litewskie i białoruskie E. Żagiell, który w każdym prawie numerze dostarcza informacji z Litwy, o życiu kulturalnym emigracji, o posunięciach naszych ośrodków politycznych, posługując się komunikatami ELTY i cytatami z niektórych litewskich czasopism emigracyjnych. *Kulturę* stale redaguje, badajże od jej założenia, Jerzy Giedroyc. Pismo ma format naszego *Lituanusa* zawierając 160-240 stron”. (Podany też jest adres *Kultury*).

Pismu temu w naszej prasie większą uwagę poświęcają: kanadyjski tygodnik *Tėviškės Ziburiai* oraz kwartalnik *Seja*. W tym ostatnim Z. Dailidka i A. Barčius stale informują swych czytelników, podając obszernie cytaty i streszczenia artykułów, np. pt. „Co robić?”.

Następnie autor obszernie streszcza artykuły z *Kultury*: „Trudny dialog”, „Zgrzytliwe echa przeszłości”, „Dziwna polemika”, „Ostatnie słowo oskarżonego”, oraz „Późne refleksje po Kopenhadze”, powstrzymując się od komentarzy. Jedynie odpiiera zarzuty dr V. Daugirdaitė-Sruogienė, że E. Żagiell cytuje mało poczytne prowincjonalny tygodnik *Tėviškės Ziburiai*, gdyż pismo to przoduje w litewskiej prasie w omawianiu tematów, które inne pisma pomijają.

Powyższy artykuł V. Ciziunasa omawia czytelnik *Tėviškės Ziburiai*, żałując, że autor przemilczał wywiad red. J. Giedroycia w tymże piśmie, gdyż dawał on podstawę do poważnego dialogu. „Dotychczas wypowiadali się ludzie w gorącej wodzie kąpani (gorący) i czasem nietaktownie. Do nich zaliczyć można wypowiedź dr. V. Daugirdaitė-Sruogienė”. Autor kończy słowami: W dialogu z Polakami winni brać udział ludzie z głową a nie z sentymentem. Gdy z obu stron występują ludzie popędliwi, czynią więcej szkody niż pożytku”.

E. ŻAGIELL

Kronika białoruska

Białoruska Agencja Telegraficzna (BiełTA) powiadomiła, że moskiewskie wydawnictwo „Progres” opublikowało antologię poezji białoruskiej w języku angielskim pt. „Moja cudna Białoruś”, w której zostały zamieszczone wiersze Janki Kupały, Jakuba Kołosa, Kondrata Krapiwy, Piatrusia Brouki, Maksima Tanka, M. Łużanina, P. Pancanki, R. Baradulina, Uł. Karatkievica, H. Buraukina i wielu innych poetów. Antologię ułożył A. Wiarcinski, wiersze przetłumaczył na język angielski Walter May. ■ W wielkim amerykańskim przewodniku bibliograficznym — *The Reader's Advisor*, A Laymans' Guide to Literature; 12th Ed. edited by F. J. Sypher, R. R. Bowker Co., New York-London, 1977 — znalazł się po raz pierwszy rozdział poświęcony literaturze białoruskiej, poprzedzony przedmową dr. Vitauta Kipela. Przegląd zawiera skarynianę, publikacje Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku, prace A. Adamovica, St. Stankievica, A. Mac Millina, zbiór o białoruskiej literaturze emigracyjnej pod redakcją prof. T. Birda. Włączone zostały także: antologia Very Rich, zbiór opowiadań białoruskich pisarzy sowieckich „Kolory kraju rodzinnego” i książki na tematy białoruskie K. Akuły, L. Abuchowej, W. Bykowa, I. Samiakina i A. Richardsona. ■ Białoruski Instytut Nauki i Sztuki w Nowym Jorku obchodził 25-lecie swego istnienia. ■ W pierwszym powojennym 6-tomowym wydaniu zbioru utworów Janki Kupały, wydany w Mińsku, nie zamieszczono (ze względów cenzuralnych) przeszło 160 utworów tj. 1/3 spuścizny literackiej poety. Nie został poza tym wydany pełny zbiór publikacji Kastusia Kalinowskiego, które dziś należą do bibliograficznych rzadkości.

WŁ. BRYLEWSKI

Kronika ukraińska

STRATY NA POLU NAUKI

W ostatnim czasie wolna nauka ukraińska poza granicami Sowietów Republiki Ukraińskiej poniosła trzy dotkliwe straty. Zmarli wybitni naukowcy: Dmytro Czyżewskij, Wsewołod Hołubnyczij i Orest Ziłyński. Czyżewskij zmarł już w podeszłym wieku i właściwie wypełnił bogate życie sławisty i historyka literatur słowiańskich pokaźną liczbą około dwustu prac. Ukazywały się one po ukraińsku, czesku, niemiecku, polsku, rosyjsku a ostatnio również po angielsku. Był wielkim erudytą i stąd też zakres jego prac był szeroki, bo sięgał od morfologii języka do zagadnień filozofii i sztuki. Wykładał na Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Pradze przed wojną, a potem w Ameryce i przez długie lata w Heidelbergu. Jego wiekopomnym dziełem jest Historia Literatury Ukraińskiej oraz prace na temat epoki barokowej w piśmiennictwie ukraińskim.

W odróżnieniu do spełnionego życia Czyżewskiego niespodziewana śmierć Wsewołoda Hołubnyczego przecięła życie, które znajdowało się na drodze do szczytu wybitnej kariery ekonomisty i znawcy zagadnień społecznych współczesnej Ukrainy. Urodzony w 1928 roku na Charkowszczyźnie, znalazł się na uchodźstwie w Niemczech skąd wyjechał do Ameryki i tam ukończył studia na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Od lat był już profesorem na Hunter College przy stanowym uniwersytecie Nowojorskim. Opublikował ponad sto prac naukowych na tematy ekonomii Związku Sowietów — przeważnie Ukrainy — historii Ukraińskiej Partii Komunistycznej i polityki narodowościowej Moskwy. Jego postowie do wydanej w Instytucie Literackim pracy Borysa Łewyckiego „Polityka Narodowościowa ZSSR w dobie Chruszczowa” w roku 1966 należy do klasycznych i niezrównanych syntez naukowo-politycznych w tej dziedzinie. Pozostawił w niezależnej nauce ukraińskiej wyrwę nie do zastąpienia.

I wreszcie Orest Ziłyński, przedstawiciel średniego pokolenia bo urodzony w 1923 roku był synem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Iwana Ziłyńskiego. Jak ojciec rozpoczął karierę naukową od folklorystyki w Pradze, z którą związał się w okresie wojny i gdzie pozostał we wszystkich zmiennych etapach Republiki, ale na początku lat 60-tych przeszedł do historii i krytyki literatury. Stał się jako członek Czechosłowackiej Akademii Nauk, ambasadorem ukraińskiej kultury. Napisał nadzwyczaj ważną i pionierską pracę o kulturalnych stosunkach czesko-ukraińskich. Odegrał historyczną rolę we współredagowaniu ukraińskiego czasopisma literacko-społecznego *Dukla* w Preszowie na wschodniej Słowaczynie. Po inwazji moskiewskiej w Czechosłowacji borykał się z trudnościami, miał zaproszenie na Uniwersytet Harwardski i oto nagle śmierć w górach Słowacji — a są poszlaki, że był to mord dokonany na polecenie KGB — przerwała piękną i szlachetną drogę niezapomnianego przyjaciela.

KONFERENCJA O RUSYFIKACJI

W Ukraińskim Naukowym Instytucie uniwersytetu w Harvard odbyła się staraniem niestrudzonego Omelana Prycaka, profesora orientalistyki i historii Ukrainy i faktycznie twórcy Instytutu, konferencja na temat rusyfikacji Ukrainy. Prycak sam wygłosił wstępny referat, dotyczący genezy i rozwoju tego zjawiska. Inni naukowcy jak Romanenczuk, Bohatiuk, Sztohrin, Jasynskij, Łencyk, Wojnar, Czornij, Fedorenko, Sławutycz i inni przedstawili cały wachlarz zagadnień, związanych z tym groźnym procesem moskiewskiej polityki kolonizacyjnej. Konferencja odbywała się w ośmiu rozmaitych sesjach i obejmowała niemalże całokształt polityki niszczenia kulturalnej i historycznej jak też religijnej tożsamości narodu ukraińskiego. Poszczególne debaty toczyły się nad historiografią, pamiątkami historycznymi, bibliotekami i bibliografią, kościołem obydwu obrządków prawosławnego i katolickiego, literaturą, językiem, słownictwem współczesnym, szkolnictwem a wreszcie politologią.

BEO

Sprawy i troski

Kronika szwedzka

Szwecja staje się coraz bardziej ważnym ośrodkiem działalności polskiej młodej inteligencji. I dzięki temu następuje wzrost i rozwój emigracji politycznej, która jest w stanie kontaktować się z opozycją w kraju na płaszczyźnie takiego obopólnego porozumienia, jakiego dotychczas jeszcze nie było. Składają się na to różne powody: liczne osiedlanie się w Szwecji aktywistów marcowych, udzielanie azylu asystentom i studentom uniwersytetów polskich, osiedlenie się na terenie Szwecji rewizjonistów, byłych marksistów oraz bliskie sąsiedztwo z krajem (tylko przez morze i doskonałe środki komunikacyjne) a przede wszystkim zniesienie wiz między PRL a Szwecją. Stworzyło to dobre warunki dla szybkiego docierania do nas najświeższych wiadomości z Polski.

Jak dobrym zwierciadłem nastrojów w Polsce jest nowa sytuacja emigracyjna w Szwecji — wskazuje przykład reakcji na powstanie KOR'u. Zawsze czynna grupa młodych akademików w Sztokholmie i Lundzie zaczęła z własnej inicjatywy zbiórki publiczne na rzecz KOR'u, zanim tego rodzaju komitety powstały w Londynie czy Paryżu. Inspirowali oni prasę szwedzką i środki masowego przekazu oraz przyczynili się przez to w dużej mierze do szerokiego poparcia opinii szwedzkiej dla demokratycznych ruchów w Polsce. Rzecz znamienna, że działo się to poza nawiasem tradycyjnych organizacji emigracyjnych i bez ich — na początku — poparcia. Stara emigracja włączyła się do akcji znacznie później.

Prawie wszyscy aktywni młodzi emigranci nie chcą należeć do tradycyjnych polskich organizacji, komitetów itp. A ci najaktywniejsi biorą się do ich przebudowy, zrażeni sporami i waśniami starej emigracji, których powodów nie rozumieją.

Ta nowa emigracja polityczna ma całkiem inny profil, jest postępową, tolerancyjną, o światopoglądzie liberalno-socjalistycznym. Na przykład antysemityzm jest jej zupełnie obcy. Kwestie wyznaniowe nie stoją także na przeszkodzie do współpracy. Na zebraniach dyskusyjnych w Towarzystwie Przyjaciół Kultury paryskiej w Sztokholmie — wierzący i niewierzący dyskustują ze sobą w sposób kulturalny.

Współpracują tu ze sobą tzw. „rdzenni Polacy” i „Polacy żydowskiego pochodzenia”. (Używanie dzisiaj bez cudzysłowu powyższych określeń utożsamia nas z rasistami Afryki Południowej). Dla szwedzkich stosunków znamienne jest okazywanie — nawet przez prasę konserwatywną — zainteresowania przede wszystkim dla grup opozycyjnych w Polsce, których oblicze znamienuje tolerancja i postępowość.

Zasady demokratyczne i poszanowanie dla praw człowieka w Szwecji tłumaczą zgodę władz na demonstracje uchodźców ze Wschodniej Europy przeciw bezprawiu w ich krajach. Miało to min. miejsce w związku z przybyciem 8 czerwca do Sztokholmu ministra spraw zagranicznych PRL, Emila Wojtaszka. Wieczorem tegoż dnia odbyła się demonstracja przed gmachem Ministerstwa Spraw Zagranicznych w czasie obiadu wydanego na cześć Wojtaszka. Demonstracja, nie zakłócona przez policję, została zorganizowana przez Östeuropeiska Solidaritetskommittén. Uchwalono dwie rezolucje, domagające się zwolnienia politycznych więźniów w Polsce, wypełniania postanowień Konferencji Helsińskiej, zaprzestania dyskryminacji obywateli szwedzkich urodzonych w Polsce i wolnego dla nich, turystycznego wstępu do Polski. Demonstranci skandowali w czasie obiadu: „Wypełniać postanowienia Konferencji z Helsinek! Zwolnić więźniów politycznych! Karin Söder (szwedzki min. spr. zagr.) uderz pięścią w stół!”.

Sprawa dyskryminacji Polaków, dzisiaj obywateli szwedzkich, którzy w roku 1968/69 opuścili Polskę na skutek prześladowań i dyskryminacji, nie przestaje być powodem zadrażeń w stosunkach szwedzko-polskich.

Na zapytanie dziennikarzy, Emil Wojtaszek oświadczył w Sztokholmie: „Jestem zdziwiony z postawionych Polsce przez Szwecję zarzutów o niedotrzymaniu umów w wymianie turystycznej. Każdy kraj może oddać niepożądane osoby. Liczba takich osób jest jednak znikoma i zmniejszy się w przyszłości”. Według oświadczenia szwedzkiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych tylko w ostatnim czasie nie wpuszczono do Polski 49 obywateli szwedzkich pomimo zniesienia wiz między Polską a Szwecją. Dodać należy, że chodzi tu przeważnie o obywateli szwedzkich polsko-żydowskiego pochodzenia. Dyskryminacja rasowa, uprawiana przez PRL, była przedmiotem kilku szwedzkich *démarches* oraz ostrej reakcji szwedzkiej prasy. (Zapowiedziane przez Wojtaszka zmniejszenie oddaleń nie odpowiada prawdzie. Zgodnie z uzyskanymi przez nas w sierpniu informacjami, władze polskie nie wpuszczają obecnie do Polski — przez żaden punkt graniczny, nikogo z polsko-żydowskiej emigracji roku 1968/69. Na czyjeś zapytanie odpowiedziano w Konsulacie PRL w Sztokholmie, że jest to „element przestępczy”!).

Czytając korespondencje szwedzkich dziennikarzy, zwiedzających Polskę i rozmawiających z polskimi intelektualistami, studentami, turystami, którzy licznie odwiedzają Waszego przedstawiciela, ma się dość zgodne informacje: Władza w Polsce traci coraz bardziej kontrolę nad sytuacją w kraju. Społeczeństwo przestaje się bać pomimo represyj. Nawet UB nie panuje już nad społeczeństwem. Rozgoryczenie panuje w najszerzych warstwach. Pomimo aresztowań i innych represji, opozycja szerzy się i zaczyna się organizować w całym kraju. Kiełkuje myśl scaleniowa KOR'u i Komitetu Obrony Praw Człowieka w szerszą ogólnokrajową organizację. Stawiane są żądania stworzenia niezależnej od komunistów partii socjalistycznej. A jednocześnie w Politbiurze i KC rozpoczęła się już zakulisowa walka o sukcesję po Gierku.

Nowy wybuch namiętności w Polsce w wyniku niepoczytalnych posunięć władz wywołałby poza granicami Polski silne reakcje. Jak czuła jest opinia szwedzka na gwałcenie praw człowieka świadczą najrozmaitsze rezolucje szwedzkie powzięte w okresie represji przeciw KOR'owi i w związku z zabójstwem Stanisława Pyjasa. Z rezolucji tych najbardziej znamienne są rezolucja protestacyjna kilkudziesięciu czołowych intelektualistów i pisarzy szwedzkich z centrolewu z udziałem także i komunistów, oraz jednoznaczna uchwała Naczelnego Zarządu Zjednoczonych Zrzeszeń Studentów Szwecji, podpisana nawet przez przedstawicieli związku studentów komunistów. Żądano „zaprzestania prześladowań studentów polskich oraz jawnego dochodzenia okoliczności śmierci Stanisława Pyjasa”.

Wydarzenia ostatnich miesięcy w Polsce znalazły także swój wyraz w uchwale Kongresu Sekcji Młodzieżowej Partii Socjal-liberalnej z udziałem 300 delegatów i w obecności wicepremiera, przewodniczącego stronnictwa liberalnego, Per Ahlmarka. Zebrani „wyrazili pełną solidarność z siłami demokratycznymi w Polsce: „Żądamy by wszyscy więźniowie polityczni w Polsce zostali uwolnieni, by organizacje opozycyjne w Polsce mogły swobodnie działać, by władze zaprzestały prześladować opozycjonistów, by układ Helsiński był przestrzegany również w Polsce”.

Min. Spraw Zagr. Karin Söder, przemawiając 5 sierpnia na Kongresie Młodzieżowym domagała się od własnego społeczeństwa większego zrozumienia dla obcej kultury i obyczajów, które przynoszą ze sobą emigranci. „O ile potrafimy przyjąć tę inną kulturę z respektem i we właściwy sposób, oznaczać to będzie ogromne wzbogacenie się naszej społeczności i kultury” — mówiła Karin Söder — „swoją pracą pomagają emigranci budować naszą społeczność... Przynoszą ze sobą obce dla nas obyczaje. Ale to samo czynili także ci Szwedzi, którzy w swoim czasie uciekali od głodu i niedostatku, budując nowe życie w Ameryce”.

Wystąpienie pani Karin Söder, spowodowane zostało niedawnym napadem grupy zmotoryzowanych szwedzkich chuliganów na asyryjskich emigrantów z Turcji i Cyganów. Karin Söder zwróciła także uwagę na szczególne znaczenie współżycia dzieci różnych narodowości dla przełamania przesądów narodowościowych.

Miarodajne czynniki szwedzkie doszły do wniosku, że dla harmonijnego rozwoju jednostki ważne jest, aby dziecko najpierw opanowało dobrze swój język zanim uczyć się zacznie mówić poprawnie po szwedzku czy innym językiem. W związku z tym, 1 lipca br., weszła w życie reforma przewidująca że wszystkie dzieci szkół powszechnych mają prawo do nauki swego języka domowego przy pomocy swojej szkoły i na koszt państwa. Reforma ta, ważna i ciekawa, biorąc pod uwagę że tylko 8 % dzieci w szwedzkich szkołach powszechnych to dzieci imigrantów, którzy w sumie mówią prawie setką różnych języków. W niektórych szkołach średnich w Szwecji na 400 uczniów ponad 200 to imigranci mówiący 20-30 różnymi językami w domu.

Reforma powyższa dotyczy także społeczności polskiej. Najmniejsza grupa dzieci polskich, gdziekolwiek by się w Szwecji nie znajdowała, ma obecnie prawo domagania się nauki rodzinnego języka na koszt państwa. Należy tu podkreślić, że prawo to przysługuje nie tylko obecnej polskiej emigracji lecz także dzieciom urodzonym w Szwecji czy nawet dzieciom rodzin szwedzko-polskich, zamieszkających tu od pokoleń o ile w domu używają jeszcze polskiego języka. Niestety jest tu sporo małżeństw mieszanych, których dzieci języka polskiego nie znają, mimo tego, że ojciec przebywa w Szwecji stosunkowo niedługo.

Norbert ŻABA

Prasa polska w Australii

Historia polskiej prasy w Australii sięga blisko 50-ciu lat. Pierwszą polską publikacją była „Stronica Polska” redagowana przez Stefana Połotyńskiego w Brisbane w 1928 roku. „Stronica Polska” drukowana była w czaso-

piśmie *The Muses' Magazine*. Połotyński następnie redagował czasopismo pod tytułem *Polonia Australijska*.

Od roku 1931 w piśmie *Le Courier Australien* drukowany był „Les Nouvelles Polonaises — Dział Polski”, początkowo redagowany przez J. Rusieckiego. W tym samym mniej więcej czasie ukazywała się *Gazetka*, miniaturowych rozmiarów piśmko redagowane przez Zygmunta Romaszewskiego. Wychodził również miesięcznik *Polish and Central European Review*, wydawany przez Konsulat R.P. w Sydney a redagowany przez konsula Władysława Noskowskiego. Konsulat wydawał również serwis prasowy, który był rozsyłany do prasy australijskiej.

Wszystkie wyżej wspomniane pisma osiągnęły najwyżej po kilkadziesiąt numerów.

W połowie 1942 roku powstało w Sydney pismo *Wiadomości Polskie*, których wydawcą był również konsulat R.P. Pismo to jednak po pewnym czasie przestało wychodzić a odrodziło się dopiero w roku 1948 kiedy do Australii zaczęli masowo przyjeżdżać emigranci polscy z Europy i Afryki. *Wiadomości Polskie* ukazują się do dnia dzisiejszego.

W kilka miesięcy później ks. K. E. Trzeciak założył w Bathurst *Tygodnik Katolicki*. Tygodnik ten również wychodzi po dziś dzień, chociaż pod zmienioną nazwą jako *Tygodnik Polski*.

Następnie zaczęły powstawać inne pisma. A więc w Perth *Echo - Opo wiadania* Ludwika Tabaczyńskiego, melbourneński *Głos Polski* założony przez St. Szutkiewicza, organ Związku Polaków w Wiktorii początkowo redagowany przez M. Mystkowskiego a następnie przez Jerzego Grot-Kwaśniewskiego, *Panorama* redagowana przez E. Bajkowskiego, *Mały Przegląd Sportowy* początkowo wydawany przez M. Zarzyckiego a redagowany przez R. Winiarskiego następnie przez Tomasza Ostrowskiego jako organ Zrzeszenia Polskich Klubów Sportowych w Australii, *Margines* pod redakcją Andrzeja Cheiuka, *Biuletyn Millenium* wychodzący w Adelaide pod redakcją p. Woronkowskiego, oraz kilka innych wydawnictw najczęściej wydawanych przez organizacje społeczne dla swych członków. Publikacje te obecnie nie ukazują się.

W chwili obecnej najważniejszymi pozycjami prasy polskiej w Australii są następujące wydawnictwa:

Wiadomości Polskie, tygodnik wychodzący w Sydney. Wydawca i redaktor p. Jan Dunin-Karwicki. Pismo o orientacji niepodległościowej, zawiera komentarze polityczne i społeczne, artykuły dyskusyjne i wiadomości. Adres redakcji: Daking House — Rawson Place, Sydney 2000.

Tygodnik Polski wychodzi w Melbourne. Tygodnik ten jest własnością Spółdzielni Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki. Orientacja niepodległościowa. Pismo zawiera materiały na tematy polityczne i społeczne, sprawozdania ze środowisk polonijnych w innych stanach, wiadomości, notatki informacyjne itp. Adres redakcji: 33 Pentland Parade, Seddon, 3011. Vic.

Nasza Droga wychodzi na ogół dwa razy w miesiącu. Pismo to jest wydawane przez dra J. Sobolewskiego w Adelaide. Ukazuje się od 26-ciu lat. *Nasza Droga* jest ściśle związana z działalnością p. Juliusza Sokolnickiego, zawiera artykuły polityczne, informacyjne i wiadomości. Adres redakcji: Box 2300 G.P.O. Adelaide S.A.

Kurier Polski ukazuje się co trzy miesiące. Orientacja ściśle pro PRL. Bogato ilustrowane czasopismo zawiera wiele wiadomości z Polski oraz materiały dotyczące działalności konsulatu generalnego PRL w Sydney. Redaktorem *Kuriera Polskiego* jest Lech Hoffman. Pismo wychodzi 8 rok w Sydney.

Przegląd Katolicki, miesięcznik ilustrowany, organ Duszpasterstwa Polskiego w Australii i Nowej Zelandii. Miesięcznik ten, założony został w

1970 roku poświęcony jest sprawom religijnym, zawiera również felietony, oraz kronikę wydarzeń kościelnych. Redaguje ks. Z. J. Pajdak. Adres redakcji: 4, Little Rd., Bankstown N.S.W. 2200.

Wspólnota, miesięcznik katolicki redagowany przez ks. R. Koperskiego i ks. M. Labana. Pismo to zaczęło ukazywać się w roku bieżącym.

Niestety nie posiadam danych dotyczących nakładu poszczególnych pism, ale należy przypuszczać, że żadne z nich nie przekracza 3.000 egzemplarzy.

Oprócz powyższych pism ukazuje się szereg wydawnictw organizacji polonijnych. Przeznaczone są one przede wszystkim dla członków tych organizacji. Do wydawnictw tych należą „Kombatant w Australii”, „Wiarus” (oba redagowane przez B. Korpowskiego), biuletyny polskich organizacji w Hobart, Geelong, Newcastle („Polak w Newcastle”), „Biuletyn Stowarzyszenia Polaków w Queensland Polonia”, „Biuletyn Związku Polaków w Melbourne” biuletyny kół S.P.K. itp.

Wszystkie wydawnictwa ukazują się w języku polskim.

Jak widać z powyższego przez niespełną pół wieku prasa polska w Australii rozrosła się ze „Stronicy Polskiej” ukazującej się w australijskiej publikacji do sześciu drukowanych, regularnie wychodzących pism oraz kilkunastu innych publikacji wychodzących mniej lub więcej regularnie. Główną przyczyną była wielka emigracja powojenna, ale czy naprawdę tak bardzo lubimy czytać? Sądząc z niewielkich nakładów tutejszych polskich wydawnictw chyba nie, ale bardzo lubimy pisać.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

Kronika kulturalna

Głos znad Nekar

Po dwudziestu latach przestało wychodzić w Heidelbergu pismo *Mickiewicz Blätter*. Na ostatniej stronie figurowało krótkie oświadczenie, dwa suche zdania: ze względu na chorobę redaktora wydawanie pisma zostało zawieszone na bieżącym numerze. Wydawca pisma od roku 1956, poeta, tłumacz poezji i krytyk literacki Hermann Buddensieg pożegnał się w ten oszczędny sposób ze swymi czytelnikami. Miał wówczas lat 82. Redaktor *Kultury* poprosił mnie o notatkę-nekrolog pisma i siedziałem właśnie przy biurku, gdy o dziesiątej wieczór zadzwonił telefon: Hermann Buddensieg zmarł w klinice heidelberskiej. Pogrzeb odbył się w Heidelbergu, przy trumnie straż honorową pełnili Litwini, emigracyjni harcerze i harcerki (polskiej emigracji nie reprezentował nikt). Tak odszedł autor nowego tłumaczenia *Pana Tadeusza*, niestrudzony propagator literatury i kultury polskiej w Republice Federalnej i we wszystkich krajach języka niemieckiego, jak również w tych innych krajach Europy Środkowej, gdzie język niemiecki jest znany.

Niniejsza notatka będzie więc z konieczności pożegnaniem nie tylko z pismem, lecz także z Hermannem Buddensiegiem. Nie zamierzam tu pisać osobistych wspomnień, mimo że zmarłego pisarza znałem od roku 1961. Ale należy w kilku przynajmniej zdaniach nakreślić jego sylwetkę. Niezwykły był przede wszystkim jego los osobisty: urodzony w Eisenach w Turynii, dziś sowieckiej, jako żołnierz pierwszej wojny światowej trafił na Litwę, między innymi do Wilna i zachował o niej i o Polsce (z okresu gdy krajów tych jeszcze tak ściśle nie rozróżniano) wrażenia, które odżyły 40 lat później. Ranny w głowę na froncie zachodnim, stuprocentowy inwalida, zdrowie odzyskał wyłącznie dzięki sile woli i wierze (piszę o wierze, gdyż mimo że Buddensieg wystąpił w swoim czasie z kościoła ewangelickiego, to jednak był człowiekiem wierzącym i religijnym, o ile rozumieć religię nie jako zbiór przepisów, które należy zachowywać, lecz w sen-

sie zrozumienia i odczucia wartości transcendentalnych). W latach 1920 i następnych studiował i doktoryzował się na uniwersytecie heidelberskim i do uczelni tej zachował do końca życia całkiem nieodwzajemnianą miłość. Zresztą jednak nie brakło mu pod koniec życia zaszczytów, wyróżnień, odznaczeń i honorów, między innymi tak rzadko chodzących w parze jak nagroda Fundacji im. Jurzykowskiego, doktorat *honoris causa* uniwersytetu poznańskiego i odznaczenie przez Akademię Nauk Litewskiej SSR. Po doktoracie zajmował się działalnością społeczną, między innymi jako pacyfista, co przyniosło mu prześladowania, względnie szykany, ze strony hitlerowców, wraz z pobytem w więzieniu i zakazem wykonywania zawodu. Do literatury powrócił dopiero po wojnie, wydając kilka tomików wierszy, poświęconych swej chorobie i jej przezwyciężeniu. W roku 1955, z okazji stulecia śmierci Adama Mickiewicza zapoznał się z postacią poety i z *Panem Tadeuszem* w dziewiętnastowiecznym przekładzie Lipinera. Zaproszony do Polski na uroczystości mickiewiczowskie poznał tam Mieczysława Jastruna i — jak opowiadał później — to Jastrun zaproponował mu, aby się zajął nowym przekładem. Tak rzucona myśl doprowadziła do tego, że 63-letni poeta zabrał się do nauki polskiego, zakładając równocześnie *Mickiewicz Blätter*. Buddensieg po polsku nie mówił, z czytaniem normalnej współczesnej polszczyzny, na przykład listów, miał trudności, ale dla tekstów poetyckich, a zwłaszcza dla *Pana Tadeusza*, miał jakiś szczególny szósty zmysł (rozporządzał też jednak podręcznym przekładem prozaicznym, dokonany specjalnie dla tego celu).

Na tle Heidelbergu końca lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych wydawał się Buddensieg postacią malowniczą i... absolutnie anachroniczną: w kapeluszu o szerokim rondzie, ze swymi bokobrodami czy raczej faworytami à la Książę Józef, wyglądał jakby żywcem uciekł z epoki romantycznej, gdzie przed chwilą jeszcze obcował z Schillerem, Hölderlinem i Eichendorffem. Zresztą czuł się w ich towarzystwie i w ich Heidelbergu lepiej aniżeli w Heidelbergu amerykańskich turystów i niemieckich nuworyszy. Pismo zaczął wydawać w połowie lat pięćdziesiątych, gdy w Niemczech Zachodnich żadnego zainteresowania Polską jeszcze nie było (byłem pierwszy raz w Republice Federalnej w roku 1959 i to na spotkaniu poświęconym Polsce; uderzyło mnie, że obecni, a więc osoby z natury rzeczy zainteresowane tematem, nie słyszeli w ogóle o październiku 1956 i o różnicach między ówczesną sytuacją a sytuacją za Bieruta, a więc że informacja ich była na poziomie 1954 roku. Podobnie było i później, o liberalnej epoce Gomułki dowiedziano się, gdy liberalizm już dawno się skończył). W tych warunkach więc, gdy Polska leżała „na księżycu”, a o kontaktach z nią mówili przeważnie (wówczas bardzo ostrożni i nieliczni) *fellow-travelers*, wydawanie pisma poświęconego literaturze polskiej, zwłaszcza zaś literaturze romantycznej, wydawało się samo romantycznym anachronizmem z epoki *Polenlieder*, pasującym do kapelusza

o szerokim rondzie i do baczków à la Książę Józef. A w każdym razie pismo poświęcone Polsce było niejako automatycznie podejrzaną. Zainteresowanie dla literatury polskiej obudziło się później, zainteresowanie polityczne jeszcze później, przed jakimi pięciu-sześciu laty, przy czym symptomatyczne jest, że entuzjastom do kontaktów nie zawsze towarzyszy znajomość kraju lub rzeczy. Było jednak właściwością Buddensiega i jego pisma, że mógł sobie pozwolić na ignorowanie podejrzeń i kalumnii. Jeśli chodzi o komunizm nie miał zresztą ni sympatii ni żadnych złudzeń i bynajmniej się z tym nie tał.

Mickiewicz Blätter ukazywały się trzy razy do roku przez 20 lat, zawierają w sumie około 6.000 stron druku, poświęconych literaturze polskiej, w tym nie tylko przekładom, ale też rozprawom na temat literatury, kultury i historii Polski, przeważnie czasów nowszych, to jest od końca XVIII-go wieku. Było to pismo broń Boże nie literaturoznawcze: do „literaturoznawstwa” odnosił się Buddensieg z krytyczną rezerwą, o profesorach miał swoje zdanie, niezbyt pochlebne, ale bynajmniej nie nie-realistyczne.

Znawcy poezji niemieckiej mówią o jego poezji rozmaicie. Również i pismo nie spotykało się jedynie z pochwałami. Zarzucano mu eklektyzm, zarzucano, że nie drukuje prac oryginalnych, lecz przejmując teksty gdzie indziej drukowane. Zarzut powierzchownie słuszny, gdyż w piśmie ukazywały się teksty w przekładach niemieckich, brane z najrozmaitszych źródeł, nie tylko z najnowszych. Były także przedruki tekstów dziewiętnastowiecznych i to nie tak, jak bywa, zawsze tych samych dwu trzech o stosunkach Mickiewicza z Goethem. Buddensieg odkrywał teksty nieznane lub zapomniane, począwszy od Warszawy pruskiej (Seume, E. T. A. Hoffmann) aż po pierwszą wojnę światową, przypominał Warszawę lat 1795-1807 z innej strony niż stereotyp Przyborskiego lub Kraszewskiego, pokazywał też fascynację tych Prusaków Polską (kto wie, że Warszawa miała wówczas więcej ludności niż Berlin lub że dorożki przyszyły do Berlina z Warszawy?). Przypominał zapomnianą wówczas a dziś ponownie aktualną epokę *Polenlieder*, odgrzebywał w starych szpargałach wiadomości o Polakach w Heidelbergu, o tym, że na przykład Eichendorff znał polski, drukował nie tylko przekłady z Krasńskiego, Norwida i Żeromskiego, lecz także z Brunona Schulza, Juliana Wołoszynowskiego i Tadeusza Kotarbińskiego.

Pod pozorami nieaktualności teksty te przynosiły nieraz trafny, ba ostry sąd o polityce i o naszych współczesnych. Żywa, dwudziestoletnią działalnością udokumentowana sympatia do literatury i kultury polskiej nie zaślepiła Buddensiega bynajmniej na polskie wady, jak to bywa z tych czy innych względów z niektórymi jego rodakami. Buddensieg żadnych kompleksów wobec Polski nie miał, na pytanie „gdzie Pan był w roku 1943?” mógł odpowiedzieć z czystym sumieniem; bogaty nie był, ale był wewnętrznie niezależny i nikomu podlizywać się nie potrzebował. Na prowincjonalność w czasie i przestrzeni miał swój

własny pogląd, niezależnie czy występowała ona wśród jego rodaków czy wśród innych. Był więc charakterystycznym przedstawicielem ginących dziś Niemiec „weimarskich”, o ile Weimar uznamy za symbol nie krótkotrwałej republiki, lecz tych tradycji, które reprezentuje Goethe. Decydujące było tu jego zanurzenie w kulturze helleńskiej, w klasykach greckich i niemieckich — linia jego tradycji szła od Homera do Goethego. Tym też tłumaczy się zapewne jego przywiązanie do niemieckiego heksametru, jak również to, że do przekładu *Pana Tadeusza* wybrał heksametr. Rzadko spotyka się dziś Niemca, który by miał taki stosunek do tradycji literackiej swego kraju — nic dziwnego, że musiał uważać za barbarzyństwo zarówno hitlerowskie próby zniszczenia tej tradycji i wymyślenia „tradycji” germańskiej (tak jakby tradycje dały się wymyślać!), jak i nuworyszowskie prymitywne wykreślanie na przykład niemieckiej przeszłości Wrocławia, choćby się manifestowało w tak niepoważny sposób, jak używanie w tekście niemieckim zamiast starożytnych nazw *Breslau* i *Krakau* polskiej formy *Kraków* lub *Wrocław* (którą różni niemieccy nadgorliwcy następnie wymawiają *Kroklaui*). O sprawach tych wspominał przeważnie tylko półsłowem, z uśmiechem lub ironicznym błyskiem w oku, nie uważał za potrzebne stawiania kropek nad „i” lub głośnego oburzania się.

Hermann Buddensieg miał też nieomylny instynkt w dziedzinie wartości ducha (symbolem tego może być jego krytyczne nastawienie do profesorów literatury, zgodnie ze znanym powiedzeniem, że wielu jest profesorów filozofii, lecz mało filozofów). Tym się zapewne tłumaczy, że znalazł natychmiastowy kontakt z mym ojcem, gdzieś około roku 1962, i że natychmiast docenił ciężar gatunkowy jego pisarstwa.

Z biegiem czasu zainteresowania Buddensiega rozszerzyły się na literaturę litewską, przełożył nawet (opierając się znowu na dosłownym przekładzie prozą) znany poemat *Donelaitisa*, „*Metai*”. Temu to raczej niż Mickiewiczowi zawdzięczał entuzjastyczne listy Litwinów z kraju i z emigracji, a także zaproszenie do Wilna. *Mickiewicz Blätter* pozostaną kopalnią wiadomości o literaturze polskiej i litewskiej, o ich kontaktach, o kulturze polskiej, a zwłaszcza o jej kontaktach z kulturą i literaturą niemiecką.

Mickiewicz Blätter ukazywały się w imieniu „gremium mickiewiczowskiego” Niemieckiej Republiki Federalnej. Gremium to, którego członkowie w pierwszych numerach pisma wymieniani bywali z nazwiska, nigdy nie mało nic wspólnego z redagowaniem pisma. Skąd Buddensieg brał pieniądze na druk było jego tajemnicą, do której ujawnienia nie czuję się upoważniony. Lecz od samego początku *Mickiewicz Blätter* były — jak żartowali niektórzy przyjaciele albo i niekoniecznie przyjaciele — „Buddensieg Blätter”, był to *one man journal*: oprócz poety redakcja i administracja miała tylko jednego współpracownika, była nim żona redaktora.

Nie wiem, czy uda się projekt kontynuowania *Mickiewicz Blätter* pod inną redakcją. Ale nawet jeśli się uda, nie będzie to na pewno to samo pismo. Dwadzieścia roczników *Mickiewicz Blätter* pozostanie w każdym razie w historii stosunków kulturalnych polsko-niemieckich jako dzieło jednego człowieka, który nie bał się być niemodnym i nieaktualnym, i jako jego najpiękniejszy pomnik.

Andrzej VINCENZ

Stanisław Gierat

Zmarł w swoim polskim „Domku” w Bethlehem, w Connecticut 30 maja 1977, w dniu wieńczenia grobów amerykańskich weteranów. Żegnając go na cmentarzu kombatanckim w Amerykańskiej Częstochowie w imieniu Instytutu Józefa Piłsudskiego i nielicznej już braci zetowej, Wiesław Domaniewski powiedział:

„Tak się składa, że ojcowskie gospodarstwo rolne gdzie się urodził (1903 r.) i wychowywał nasz Drogą Zmarły leżało na samej granicy zaboru rosyjskiego i austriackiego. Kiedy czołówka legionowa w sierpniu 1914 roku przekraczała tę granicę jedenastoletni Stach Gierat był tym chłopcem wiejskim, który przyniósł i dał legionistom siekiere, którą zostały zrąbane słupy graniczne Polski rozbiorowej. Ten czyn raz zawsze wytknął drogę życiową Stanisława Gierata i ustalił jego stosunek do Józefa Piłsudskiego”.

Ojcowskie gospodarstwo rolne znajdowało się w Kozłowie, wsi kieleckiej, pod Miechowem. Z opowiadań Stanisława takie wrażenia spisała jego żona, wyobrażając sobie wizytę w Kozłowie w roku 2000.

... „Została ziemia i cmentarz na którym leży ten Girard, wojak napoleoński co wracając spod Moskwy tu pod Miechowem z ran się lizał i żona jego kielecczanka i syn czyli pradziadek Stasia. Z tego spolonizowanego Girarda powstało nazwisko Gierat. Na tym cmentarzu pochowany jest dziadek co to z seką łagą po wsi chodził i malutkiego Stasia za rękę prowadził. I matka Antonina Tabor i ojciec Józef. Przed ostatnią wojną umarli spokojnie i pogrzeb sprawiono im jak się należy, z domu stojącego przy kościelnym placu i z kościoła gdzie ślub brali i gdzie chrzczone były dzieci, gdzie żenili najstarszego syna Jana, Maryskę za mąż wydawali i po kolei przy chrzcinach wszystkich siedmiu wnuków asystowali. Tylko nie doczekali się ślubu najmłodszego Stasia”.

Przytoczony wyjątek z dłuższego opowiadania Ewy Gieratowej napisanego w 1958 roku oddaje wiernie środowisko w którym Stach Gierat wyrastał i któremu pozostał wierny.

Z tej to wsi kieleckiej po skończeniu gimnazjum wyruszył w szeroki świat. Zwiedził wiele krajów. Wkrótce zapoczątkował mało znany emigracji rozdział swojej działalności społeczno-politycznej w dwudziestolecie Niepodległości. Był do niej ideowo przygotowany w akademickim ZECIE (Związku Młodzieży Polskiej) do którego wstąpił w czasie wyższych studiów na politechnice warszawskiej. Nie widział dla siebie innego miejsca jak tylko w pracy dla środowiska z którego pochodził i które znał. Lecz istniejący w Polsce ruch ludowy nie zadawała młodego Gierata. W działających wtedy stronnictwach ludowych dostrzegał zbyt wiele partykularyzmów dzielnicowych. Nie chciał tracić czasu, by je oczyszczać ze starych szablonów. Podjął ambitną myśl budowania ruchu ludowego od podstaw, od młodzieży wiejskiej jeszcze tymi szablonami nie zarażonej. Mógł liczyć na pomoc zetowców, bądź jak i on pochodzących ze wsi, bądź pragnących poświęcić się pracy w której Gierat widział cel swego życia. A był ich spory zastęp wśród jego rówieśników względnie od niego starszych zetowców. Wśród starszych wystarczy wspomnieć braci Lechnickich z Chełmszczyzny, wśród prawie rówieśników Kamińskiego z Wilna, Olewińskiego z Pińska lub Hermaszewskiego z Wołynia. Przy ich pomocy stworzył Związek Młodej Wsi „Siew”. Został jego prezesem mając 23 lata i przez następnych 13 lat aż do wybuchu wojny kierował tą organizacją. Temu rozdziałowi działalności Gierata poświęciłem wiele miejsca w pracy zatytułowanej „ZET”. Ukazała się w *Zeszytach Historycznych*, w numerze 8-mym.

Zetknąłem się ze Stachem bezpośrednio po latach nieobecności w kraju, w styczniu czy lutym 1937 roku. Odtąd datuje się nasza przyjaźń. Przyjaźń dwóch ludzi o odmiennych charakterach, odmiennej genealogii rodzinnej i odmiennych doświadczeniach.

Zetowcy-naprawiacze działali wtedy na dwóch odcinkach. Jedni na robotniczym — w Związku Związków Zawodowych (ZZZ), inni w „Siewie”. Spotkanie z młodszym ode mnie o sześć lat prezesem „Siewu” zdecydowało, że postanowiłem w miarę moich sił jemu właśnie pomagać. Miał w sobie cechy przywódcy: charakter, żelazną wolę realizowania swych zamierzeń, umiejętność obcowania z ludźmi. Potrafił być uśmiechnięty, niezwykle serdeczny i tolerancyjny lecz, gdy chodziło o zasady, umiał być bezwzględny i narzucać otoczeniu swe zdanie. Choć mówiąc językiem współczesnym z wykształcenia był technokratą, z zamiłowania był humanistą świadomym zawsze dziedzictwa historycznego. W odróżnieniu też od klasowców starego autorytetu nie bawił się nigdy w płytkie potępienie przeszłości. Przyjmował ją taką jaką była, ze wszystkimi cieniami i blaskami, wychodząc z założenia że warstwa chłopska jest przecież w prostej linii spadkobiercą przeszłości. Miał ambicję, zresztą nie

ukrywaną, by jego nazwisko weszło do dziejów narodu jako dowód, że czegoś rzeczywiście dla Polski w swoim życiu dokonał.

Gdy zaczynał siewową działalność wiedział doskonale, że swoje koncepcje wychowawcze i organizacyjne będzie mógł wcielić w życie jeśli ruch któremu przewodzi uniezależni od wszelkich ubocznych źródeł pieniężnych. Dlatego z gronem ideowych inżynierów założył w Warszawie spółdzielnię wykonywującą różne roboty techniczne pod nazwą „Grupa Techniczna”, opartą z czasem o własny bank. Spółdzielnia część wcale poważnych dochodów odrzucała na „Siew”. W ciągu trzech lat poprzedzających wybuch wojny, pomagając Stachowi, obserwowałem z bliska stały rozwój „Siewu” i „Grupy”. „Siew” rozrósł się do rozmiarów 150-tysięcznej organizacji młodych chłopów z coraz liczniejszymi kołami akademickimi na wyższych uczelniach i licznymi placówkami wiejskich uniwersytetów ludowych oraz świetnie rozwijającą się prasą.

W książce autobiograficznej „Spowiedź Pokolenia”, wydanej zaraz po wojnie, mając jeszcze w żywej pamięci działalność krajową Gierata, wiele o niej pisałem. Między innymi o trudnościach jakie musiał pokonywać. A wrogów miał wielu. Przede wszystkim w OZONIE. Gierat był przeciwnikiem sektora młodzieżowego p.n. Związek Młodej Polski, stworzonego przez OZON. Pamiętam jak ówczesny szef OZONU płk Z. Wenda groził „Siewowi” zniszczeniem gdy Marszałek Śmigły-Rydz zostanie prezydentem. Wkrótce po powstaniu tzw. trójpřzymierza, złożonego z „Siewu”, Harcerstwa i Związku Strzeleckiego kiedy spotkał mnie i płk. T. Lechnickiego w kuluarach Sejmu, odgrażał się znowu, że drzazgi polecą z „Siewu” gdy zostanie ministrem Spraw Wewnętrznych! Po tych pogroźkach starał się u mnie w mieszkaniu dogadać z Gieratem, gdy się przekonał że plótł od rzeczy.

Nie tylko OZON zwalczał Gierata. Organizacje katolickie działające na wsi wietrzyły w „Siewie” ducha bezbożnictwa i dopatrywały się wpływów... masonskich, choć musiały wiedzieć, że przywódca organizacji jest w nietuzinkowym sensie człowiekiem głęboko wierzącym. Podobnego typu organizacje endeckie podejrzewały „Siew” o lewicową klasowość i zależność od... rządu. Stronnictwo Witosa widziało w rosnącej na siłach organizacji siewowej groźnego rywala „Wici”, młodej ekspozytury Stronnictwa. Koncentryczny atak na „Siew” szedł więc z wielu stron. „A tymczasem” — pisałem w „Spowiedzi” — „Siew” krzepł w ogniu tych ataków coraz widoczniej rozszerzając zasięg działalności i wpływów nawet na inne narodowości, zamieszkujące Polskę. Z inicjatywy Gierata odbywały się wspólne zjazdy młodzieży ukraińskiej i białoruskiej na których przedstawiciele młodych pokoleń chłopskich dyskutowali zgodnie wspólnie zagadnienia wychowawcze. Była w tym głęboka myśl państwowa”.

Walkę o parlament odkładała Młoda Wieś na chwilę, gdy praca w dołach przetworzy oblicze wsi. Byłem pewien, że docekam się chwili gdy w Sejmie i Senacie Rzeczypospolitej znaj-

dzie się koło parlamentarne, któremu przewodzić będzie Stanisław Gierat.

Takiego Stacha zachowałem w pamięci, gdy nas wojna rozdzieliła na kilka lat. Spotkaliśmy się dopiero na dobre w 1946 roku gdy przyjechał do Londynu z korpusu Andersa. Wcześniej sze spotkania w Paryżu były krótkie i raczej przelotne. Stach był wtedy w wojsku. Zanim się rozgadaliśmy w Londynie już wiedziałem, że w 2-gim Korpusie zdobył sobie pozycję jednego z ideowych przywódców poczyni Korpusu. Cieszył się zaufaniem Andersa. Mogłem się o tym przekonać w wiele lat później w Montrealu, gdy wspólnie z Gieratem i Domaniewskim spędziłyśmy parę godzin na rozmowie z Andersem. Gierat był już wówczas prezesem amerykańskiego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, które stworzył i sprężystą ręką kierował. Jako prezes honorowy SPK czuwał do końca nad swym dzieckiem i otaczał je troskliwą opieką.

Rozdział emigracyjnej działalności Stanisława Gierata jest znany. Należy jednak wspomnieć, że SPK nie było jedynym polem jego zainteresowań. Nie działało się nic poważniejszego w życiu powojennego uchodźstwa nie tylko w Stanach Zjednoczonych lecz w całym wolnym świecie, o czym by nie wiedział. Utrzymywał do końca rozległe kontakty. Pracował ponad siły, nie licząc się ze zdrowiem. Czuły na wszystkie próby paktowania z reżymem komunistycznym nazywał po imieniu orędowników tego paktowania na łamach prasy emigracyjnej.

Wszedł do historii dwudziestolecia Niepodległości i naszych dziejów emigracyjnych jako człowiek wybitnego umysłu i charakteru, umiający zawsze realizować plany, które sobie zakreślił.

Tadeusz KATELBACH

Komandor Walerian Jasionowski

W dniu 17 czerwca 1977 zmarł w Alhambra, California, śp. komandor Walerian Jasionowski, b. dowódca 308-go Krakowskiego Dywizjonu Myśliwskiego w Wielkiej Brytanii.

Walerian Jasionowski urodził się w Teliku, pow. Bendery w Besarabii 10 lutego 1905. Po ukończeniu gimnazjum w Wilnie w roku 1924, studiował na warszawskiej Politechnice do roku 1926, kiedy to został przyjęty do Szkoły Podchorążych Lotnictwa, którą ukończył w roku 1928. W tymże roku odkomenderowany do Morskiego Dywizjonu Lotniczego jako pilot pozostawał w nim do roku 1934 skąd został przeniesiony do 2-go Pułku Lotniczego Kraków.

Krótko po rozpoczęciu wojny w 1939 roku zostaje mianowany dowódcą dywizjonu myśliwskiego wchodzącego w skład Armii „Kraków”.

Na wniosek D-cy Lotnictwa Armii „Kraków” przedstawiony do odznaczenia Orderem „Virtuti militari” dnia 10 września 1939 roku.

Dnia 17 września 1939 zgodnie z Rozkazem D-cy Lotnictwa wraz z dywizjonem i sprzętem przekracza granicę rumuńską.

Osiągnąwszy Francję, do czerwca 1940 roku był komendantem grupy polskich pilotów we francuskiej Szkole Myśliwców w Etampes.

Od 18 czerwca 1940 r. zorganizowana jednostka myśliwska brała udział w akcjach bojowych do chwili otrzymania rozkazu zdania sprzętu i dołączenia do polskich oddziałów w porcie Vendres.

Po przybyciu do Anglii rozpoczął starania w kierunku odtworzenia dywizjonu krakowskiego.

W późniejszym czasie 308 dywizjon krakowski zestrzelił 52 samoloty niemieckie (pewne), 10 możliwych i 13 uszkodzonych.

W 1944 roku przeniesiony został do 9-tej Grupy Amerykańskich myśliwców gen. bryg. Schramma.

Wkrótce potem powołany w stopniu Dowódcy Dywizjonu do Wyższej Szkoły Wojennej w Weston-Super Mare Polish Staff College.

W okresie utworzenia Polskiego Korpusu Przesiedlenia przez RAF Ministry został mianowany „Wing Commander”.

Odniesiony dwukrotnie Krzyżem Walecznych i wieloma międzynarodowymi odznaczeniami.

Do USA przybył 11 sierpnia 1953 roku i osiedlił się w Los Angeles Calif, gdzie pracował w stanowym departamencie wody i siły jako inżynier.

Ś†P

ANDRZEJ J. NAMITKIEWICZ

PORUCZNIK REZERWY KAWALERII
UR. 12 STYCZNA 1914 W WARSZAWIE,
ZMARŁ 14 KWIETNIA 1977
W WATERBURY, CONN. (USA).

PRZYJACIELE

Książki

O książce Adama Michnika

DIALOG Z MICHNIKIEM

Nie trzeba nikomu wyjaśniać, jak niezwykle w naszej literaturze książką jest „Kościół, lewica, dialog” Adama Michnika. Powiem też od razu, że uważam ją za uczciwą, dobrze napisaną, miejscami przejmującą — potrzebną i cenną. Jeżeli w dalszym ciągu skupiać się będę na uwagach krytycznych — to dlatego, że pochwały i oklaski są ubogą formą dyskusowania, zaś autor do dyskusji zaprasza. Muszę również wyjaśnić, że chociaż zawsze uważałem się za socjalistę — nie czuję się uprawniony (jak to robi autor), by przemawiać w imieniu jakiegokolwiek „lewicy”; i choć moje związki z katolicyzmem są dość bliskie — także w imieniu katolików nie zamierzam się wypowiadać. Postaram się jednak wykazać, że mój głos nie jest głosem biernego kibica.

Niewielka rozmiarami książka jest bardzo bogata w treść i pożyteczne będzie przyjrzenie się jej w trzech aspektach: historycznym, politycznym i ideologiczno-filozoficznym. Zacznę od pierwszego, bo przedstawienie ewolucji stosunków między Kościołem katolickim a lewicą w Polsce stanowi konkretną podstawę bardziej teoretycznych i postulatywnych rozważań autora.

Podstawowymi pojęciami, którymi Michnik operuje, są „lewica” i „Kościół”. Sposób definiowania i używania obu, a zwłaszcza pierwszego, budzi znaczne wątpliwości — bardzo istotne, bo Michnikowa wizja lewicy determinuje tok jego rozważań o zbieżności tak ideałów jak interesów lewicy i Kościoła.

Otóż koncepcja lewicy, milcząco utożsamianej z „postępowością”, ulega w książce fluktuacjom — pozornie może nieznacznym, ale brzemienym w konsekwencje. Na początku bowiem postawa lewicowa definiowana jest przez odniesienie do

konkretnych składników programu politycznego w latach 1936, 1946, 1956 i 1966; później wszakże autor określa lewicę ogólniej a zarazem bardziej zasadniczo w kategoriach podstawowych elementów jej ideologii, wymieniając „Wolność, Równość, Niepodległość” jako jej „tradycyjne wartości” (str. 98) i podkreślając, że jej cechami niezbędnymi muszą być antytotalitaryzm (str. 145, 149) i obrona prawd i wolności przed dominacją państwa (str. 164). Wyniknąć by z tego powinno jasne stwierdzenie, że „lewica”, która popierała porewolucyjny totalitaryzm sowiecki, podporządkowywała się antywolnościowej linii Kominternu, nie protestowała przeciwko stalinowskiemu terrorowi — nigdy naprawdę lewicą nie była, podszywała się tylko (świadomie lub nieświadomie) pod to miano. Jednakże Michnik daje rozłam „tradycyjnej formacji lewicowej” dopiero na rok 1946 i w dodatku określa go mianem „specyficznego”. Można by to uznać za jakieś przeoczenie — gdyby nie fakt, że na str. 89 z aprobatą przytacza aforyzm Słonimskiego „Przed wojną Kościół był wsteczny, a komunizm głosił idee postępowe; dziś jest odwrotnie” i uznaje tę formułę za „doprecyzowanie”(!) myśli autora „Alarmu”.

Tymczasem powiedzenie Słonimskiego jest poczwornie fałszywe:

1. Stalinowski czy KPP'owski komunizm przedwojenny nie głosił idei postępowych ani w dziedzinie stosunków między obywatelami a państwem, ani stosunków między narodami, ani w dziedzinie swobody myśli ludzkiej; ba, nawet w zakresie widzenia przyszłego rozwoju społeczeństw uprzemysłowionych trwał przy archaicznej wierze w stały rozrost proporcjonalny „klasy robotniczej”.

2. Kościół nie był „wsteczny” jako całość. Dość przypomnieć encykliki papieskie, poświęcone sprawiedliwości społecznej, albo rolę wielu księży — przywódców ludności wiejskiej. Można by co najwyżej powiedzieć, że przeważna część kleru opowiadała się przeciwko postępowym przemianom społeczno-gospodarczym. Ale w zestawieniu z komunizmem Kościół wsteczny nie był z pewnością.

3. Kościół nie głosi teraz idei postępowych, bo mieni się strażnikiem tradycji; i chociaż zwolennicy przemian unowocześniających zarówno w liturgii jak i nauce społecznej zdobyli wyraźną przewagę — stosowanie tak ogólnej formuły jest mylące.

4. Idee, głoszone obecnie przez komunizm, nie są bardziej, lecz mniej wsteczne, niż przed 25 czy 40 laty. To już nie to samo, co przed Chruszczowem.

Ujmując rzecz krótko: komunizm zasługiwał na ostrzejszy

opór w dobie stalinowskich masowych mordów, niż obecnie; przedstawianie Kościoła przed 1939 i teraz w kategoriach czarnobiałe jest niesłuszne zarówno w odniesieniu do nauk, jak i działalności Kościoła.

Michnik powiada, że w latach bezpośrednio powojennych „Znakomita większość lewicowej inteligencji — nie tylko lewica katolicka — poparła rządzących komunistów” (str. 22-23). Stwierdzenie to można uznać za prawdziwe jedynie wówczas, kiedy się przyjmie, że lewica była w tym czasie równoznaczna z tymi, którzy poparli nowoutworzoną władzę — tj. jeżeli się to zdanie potraktuje jako tautologię. Jałowość takiego ujmowania sprawy dostrzega chyba sam autor, skoro przez „lewicę katolicką” rozumie grupę *Dziś i Jutro* i zauważa, że „Piasecki i ludzie jego pokroju nieporównanie łatwiej aprobowali totalitarny etatyzm niż pogrobowcy kooperatystycznych idei Edwarda Abramowskiego czy też socjalistów uformowanych przez walkę z obozem sanacyjnym o autentyczność systemu parlamentarnego”. Innymi słowy: niedawni faszyci okazali się bliżsi nowej władzy, niż tradycyjni socjaliści.

Aby się od tej jałowości uwolnić trzeba podjąć zasadniczą decyzję, nie tylko terminologiczną, ale i polityczno-historyczną: czy brać na serio komunistyczną przebieżkę i nadal żonglować pojęciem lewicy, czy też trzymać się zasad i konkretów. Michnik pisze na str. 149: „jako socjalista uważam za największego wroga postępu, demokracji i socjalizmu nie system kapitalistyczny bynajmniej, lecz reżymy totalitarne”. Trzeba z tego wyprowadzić wniosek niemiły, ale nieunikniony: ci, którzy popierali reżym komunistyczny w Polsce, nie byli naprawdę lewicą i w najlepszym razie ulegali tylko omamieniu sloganami.

Zacytowane twierdzenie o poparciu, udzielonym władzy komunistycznej w latach powojennych, jest nie tylko jałowe, ale i grubo mylące. Włącza w nim bowiem do jednego worka to, co sam starał się rozdzielić na str. 13-14: lewicę prorządową i opozycyjną. Sugeruje, chyba mimowiednie, że współpraca np. Marii i Stanisława Ossowskich z pismami takimi, jak *Myśl Współczesna*, była poparciem udzielanym *całości* tego, co wówczas rządził w Polsce czynił. Ale Ossowski ogłaszał napisane podczas okupacji studium „Ku nowym formom życia społecznego” nie mając bynajmniej nadziei, że jego program wciela lub może wcielić w życie PPR. Michnik zdaje się tutaj zapominać, że w roku 1945 zasadnicza linia podziału nie biegła między lewicą, jakkolwiek definiowaną, a prawicą (której nigdzie w książce nie identyfikuje), ale między tymi, co godzili się na dominację sowiecką a tymi, którzy się jej przeciwstawiali, choćby tylko w duchu. Mam wrażenie, że u tego uczciwego i dziś bezkom-

promisowego działacza wolnościowego utrzymują się w świadomości (co skądinąd zrozumiałe i wybacalne) relikty myślenia partyjnego, jak np. kiedy pisze o „antykomunistycznej konspiracji” powojennej (str. 43), albo kiedy stawia na jednej płaszczyźnie represje, stosowane w okresie stalinowskim wobec ludzi, którzy starali się uczyć dzieci religii, oraz nietolerancyjną postawę dzieci wobec nieuczących się religii kolegów po roku 1956 (str. 99). (Nie bronię tej nietolerancji, ale spontaniczna reakcja, wywołana prześladowaniami władz, musi być i moralnie i politycznie od tych prześladowań odróżniana).

Drugi kłopot z pojęciem lewicy u Michnika jest taki, że ulega ono mitologizacji i rozděciu. Otóż z wyjątkiem jednego fragmentu, o którym za chwilę, książka sprawia wrażenie, jak gdyby na rzeczywistość ideowo-polityczną w Polsce po wojnie składały się trzy elementy: obóz oficjalno-rządowy, Kościół i lewica laicka. Ów wyjątkowy fragment, o którym wspominałem, wzbogaca ten obraz — ale sposobem dość prymitywnym: „Opozycja — pisze Michnik — składa się z tych, których opozycyjność wynika z przekonania o wyższości systemu kapitalistycznego nad jakimkolwiek innym i z tych, których programem jest idea demokratycznego socjalizmu” (str. 15). Sądzę, że w tych słowach spisuje na straty większość ludzi, przeciwstawiających się dziś czynnie lub biernie panującemu reżymowi. Nie jestem pewien, co Michnik rozumie przez „system kapitalistyczny”, gdzie widzi jego dzisiejszy model (czy także w państwach o rozbudowanej opiece społecznej, jak Anglia i RFN?); jestem pewien, że model znany nam sprzed wojny aprobuje znikoma mniejszość. Podejrzewam też, z niejakim smutkiem, że tylko nieliczni zdają sobie sprawę czym jest lub może być w dzisiejszej rzeczywistości „demokratyczny socjalizm”. Inaczej mówiąc: większość ludzi w Polsce wzdyga się na słowo „socjalizm” (pisał o tym kiedyś wymownie Mrożek); nie znaczy to bynajmniej, że stali się zwolennikami „kapitalizmu”, cokolwiek to nadużywane słowo teraz znaczy.

Widzę w tym fragmencie książki jeszcze jedno fatalne niebezpieczeństwo. Autor pisze: „W ostatnich latach, w wyniku klęski oficjalnej ideologii komunistycznej, nasiliły się i upowszechniły nastroje nacjonalistyczne” (str. 15). Ponieważ jest to jedyna wzmianka o tym, że opozycja wobec narzuconego systemu może się wywodzić z pobudek narodowych — zastosowany termin „nacjonalizm”, do którego zdaje się nawiązywać na tejsze stronie jeszcze ostrzej negatywne słowo „szowinizm”, może wywoływać sugestię, że autor bez sympatii patrzy na tych, którzy odrzucają obecny reżym, ponieważ gwałci najcenniejsze tradycje narodowe i godność Polaków. Jak świadczy cała postawa i działalność

Michnika, oraz wiele innych fragmentów książki, byłaby to sugestia fałszywa. Autor powinien jednak dokładnie przeanalizować swoje kategorie myślenia historycznego, by nie zasądzać sam na siebie pułapek.

Na podanej przez Michnika liście nazwisk wybitnych twórców współczesnej kultury polskiej, nie związanych jednoznacznie z katolicyzmem (str. 113-114) jest wiele takich, których nie można związać również z lewicą, ani komunistyczną ani demokratyczną. Rozumiem, że nie są oni tematem książki — ale przecież sygnalizują istnienie ważnych ośrodków myśli społecznej i moralnej, których autor w swoim rachunku opozycji nie wziął pod uwagę. Herbert, którego wiersz rycersko-tragiczny, daleki od lewicowych inspiracji, cytuje Michnik na zakończenie książki, Elzenberg, J. J. Szczepański i wielu innych należą do nurtu opozycyjnego, ale nie widać, by mieli coś wspólnego z tradycyjną lewicą, albo też byli zwolennikami „kapitalizmu”.

Mówiąc, że lewica uległa w książce Michnika mitologizacji rozszerzającej, mam na myśli to przede wszystkim, że autor stwarza wrażenie, iż przemawiając w imieniu określonej grupy działaczy politycznych, którzy przeszli przez partyjny marksizm, przewyciężyli jego zaślepienia i stanęli zdecydowanie na pozycjach demokratycznych i niepodległościowych, przemawia w imieniu bardzo licznego i reprezentatywnego grona. Ale szlak od marksizmu poprzez rewizjonizm do aktywnej opozycji nie jest w Polsce statystycznie typowy nawet wśród intelektualistów pokoleń 1925-45. Przeszło go niewielu ludzi; większość z tych, którzy są opozycyjnie aktywni, nigdy nie była marksistami; i niewielu dawnych marksistów wyewoluowało na pozycje Kołakowskiego czy Kuronia. Dlaczego więc jest o nich tak głośno?

Dochodzimy tu do kwestii drażliwej, której i Michnik jest świadom, bo nie raz o niej wspomina — nie wyświetlając wszakże do końca. Być może, przy całej inteligencji i uczciwości, trudno mu jest wyobrazić sobie, jak ta sprawa wygląda od zewnątrz — od strony tych, którzy nigdy w marksizm i partię nie uwierzyli.

Otóż nic nie ujmując talentom, odwadze cywilnej i poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności byłych komunistów (tak ich dla skrótu nazwę) powiedzieć trzeba, że swój rozgłos zawdzięczają również trzem następującym czynnikom: 1) W okresie, kiedy opozycja była w Polsce tępną bezwzględnie metodami policyjno-administracyjnymi, zajmowali oni bezpieczne pozycje wewnątrz partii, przetrwali najgorsze, mogąc się kształcić i rozwijać; ci spośród nich, którzy — jak sam Michnik — dojrżeli w okresie postalinowski, również startowali z pozycji chronionych przez ich początkowe poglądy i powiązania. 2) Przyswoili sobie

język i kategorie myślenia które, chociaż do rzeczywistości słabo przystają, są dziś modne. 3) „Większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych” — mówi Pismo Święte — i na tej zasadzie ktoś, kto od 32 lat powtarza to samo (nie mam na myśli tzw. zatwardziałych reakcjonistów, ale np. konsekwentnych socjaldemokratów) budzi nieporównanie mniej zainteresowania, niż niedawny ideolog marksistowski, nawrócony na demokrację otwartą. Bo wiem droga przez błędy jest bardziej malownicza.

Nie piszę tego po to, by komukolwiek dokuczać — ale po to, by zaapelować do byłych komunistów, aby o swojej uprzywilejowanej drodze pamiętali, by zachowali odpowiednią pokorę, i by wykazywali zrozumienie dla tych, którzy wobec nich dają się ponosić resentymentom.

Pojęcie Kościoła, stosowane przez Michnika, również wymagałoby uściślenia. Zwykle ilustruje swoje wywody tekstami oświadczeń prymasa lub synodu biskupów polskich; „Kościół” oznacza wówczas tyleż, co „episkopat”. Ale częstokroć używa pojęcia znacznie szerszego, mówiąc o Kościele Katolickim jako o całości wierzących. Nie zawsze jest jasne, który z zakresów ma na myśli; niekiedy wydaje się przeszkakiwać — nie wiem, czy świadomie — od jednego do drugiego (np. str. 94-6).

Pewne sprzeczności budzi też opisanie postawy Kościoła w dziedzinie społeczno-moralnej. Po pierwsze, autor stanowczo zbyt monolitycznie tę instytucję, czy tę zbiorowość, pojmuję. Rozumiem, że nie chce wprowadzać zbyt wyraźnych rozróżnień, aby nie ułatwiać władzom rozbijackiej roboty ani nie wywołać posądzenia o chęć wbijania jakichś klinów. Dlaczego jednak stosuje tę samą metodę wspólnego mianownika do katolicyzmu przedwojennego? Dlaczego tak jednostronnie przedstawia jego postawę ideową — jako prawicową, antydemokratyczną, antysemitką? Bywali i lewicowi księża-posłowie; Stronnictwo Pracy i chrześcijańska demokracja w ogóle były jednak demokratyczne; i czy autor zapomniał o grupie „Verbum”, o ks. Kornilowiczu, Jerzym Liebercie, Rafale Blüthcie? Po drugie — przesadnie wypadł fragment o „antyintelektualnym” katolicyzmie polskim XIX-go wieku (str. 114). Myślicielami katolickimi byli i Mickiewicz, i Krasiński, i Norwid; ba, cała polska myśl społeczno-polityczna XIX-go wieku, do Stanisława Brzozowskiego włącznie, była z katolicyzmem bardzo silnie związana — choćby na zasadzie buntów i częściowych sprzeciwów*.

* Wkradło się też trochę łatwych do poprawienia błędów szczegółowych: np. tytuł cyklu prelekcji kardynała Wyszyńskiego brzmi „Konferencje świętokrzyskie” (a nie „Kazania”, str. 83); arcybiskup Casaroli nie jest kardynałem (str. 95), itd.

Przejdźmy do politycznego aspektu książki. Części polityczno-polemiczne są w niej pisane z pasją, która daje w rezultacie wiele znakomitych, godnych szerokiego upowszechnienia fragmentów (np. o sowietyzacji społeczeństwa polskiego, str. 117). Ale czasami autora ponosi w rejon pustosławnej nieco retoryki, jak np. kiedy peroruje o prosowieckości wielkiego biznesu, robiącego interesy na handlu z ZSSR, i o poparciu zachodniej „kontestacyjnej” lewicy dla sprawy wolności Europy Wschodniej. Rozmaicie to przecież wygląda w różnych krajach, mało pasuje do USA, nie całkiem też do Niemiec czy Włoch (gdzie sympatie dla obrony praw obywatelskich okazują zwłaszcza ugrupowania centrowe). Trzeba pamiętać i o zmienności sympatii politycznych „lewicy kontestacyjnej”, i o wielkim wpływie na te sprawy wewnętrznych układów politycznych.

Sojusz Kościoła z lewicą demokratyczną, który Michnik zaleca, jest programem bardzo słusznym — pod warunkiem, że będzie się pamiętało o niewspółmierności sił i wkładu obu partnerów. Lewica ma Kościołowi do zaoferowania zdolności, ideowość i ofiarność swoich intelektualistów — to walory bardzo cenne, ale ograniczone do stosunkowo niewielkich środowisk. Kościół natomiast reprezentuje zarówno potężny autorytet moralno-polityczny, jak i ogromną siłę społeczną. Sojusznicy muszą sobie z tego zdawać sprawę i lewica musi się wystrzegać taktyki forsowania. Zgadzam się osobiście z Michnikiem w jego surowej ocenie PAX'u (str. 131-33), ale autor demonizuje rzeczywistą (w odróżnieniu od zaplanowanej) rolę tej instytucji; *mutatis mutandis* toż samo odnieść należy do ODISS'u i neo- (czy raczej pseudo-) „Znaku” (str. 135-39).

Sądzę, że autor skłonny jest zapominać, że w rozgrywce partia-Kościół ten drugi posiada w Polsce potężne atuty i nie jest łatwy do pokonania. Tam, gdzie PAX, kolaborując z rządem, miał ubijać interes dla władz — wielokrotnie kończyło się na czystym zysku katolików w postaci tysięcy wydanych książek, które nie rozszerzały wpływów komunistycznych w Polsce. Zdanie o „niebezpieczności” polityki Janusza Zabłockiego (str. 138) jest jeszcze jaskrawszym przykładem błędnego stosowania kategorii, odpowiednich do opisu konfliktu między przeciwnikiem słabym (takim, jakim jest — nie łudźmy się — lewica laicka) a mocnym, jakim jest aparat władzy, w opisie konfliktu między Kościołem a państwem. Bo zestawienie sytuacji Kościoła w ZSSR czy Czechosłowacji z jego położeniem w Polsce traci demagogię. Jakiegokolwiek mogą być ambicje pośła Zabłockiego, rząd nie przyjmuje jego propozycji, bo zdaje sobie sprawę, że w takiej rozgrywce z Kościołem ma więcej do stracenia, niż

do zyskania. Z tegoż powodu Episkopat, jak wiadomo, zachowuje w tej materii dyplomatyczne milczenie.

I wreszcie aspekt ideologiczny. Chociaż autor dostrzega, że ta strona książki jest myślowo najmniej oryginalna (por. str. 97 i 164), bo bardzo wiele zawdzięcza rozważaniom B. Cywińskiego, J. Strzeleckiego i teologów niemieckich jak D. Bonhoeffer i J. B. Metz — to zdaje się ona i najgłębiej przeżyta i najdokładniej intelektualnie przetrawiona; dotyczą jej najpiękniejsze karty książki Michnika (zwłaszcza str. 152-55): Michnikowe wezwanie do niewierzących, aby zachowali na swej drodze „pełnej poszukiwań, upadków i wzlotów, szacunek dla tych, którzy wierzą, iż został im objawiony jakiś ład ponadludzki” (str. 93), ma wartość niezależną od pozostałych twierdzeń tekstu. Jego przemyślenia, dotyczące wartości wspólnych Kościołowi i „lewicy” są cenne dlatego, że po raz pierwszy wychodzą od kogoś, stojącego poza Kościołem.

Podobnie jak w sojuszu politycznym i tutaj Kościół więcej chęba daje, niż otrzymuje. Ale w tym wypadku żadna ze stron dających niczego nie ryzykuje, obie się wzbogacają. Kościół o zasady obowiązku społecznego, tolerancji, szacunku dla wartości moralnych niezależnie od ich filozoficznego ugruntowania — zasady, które nietrudno uznać za praktyczne wnioski z założeń, zawartych w kościelnej nauce o wolności woli i świętości osoby ludzkiej, ale które tak często w historii były gwałcone. Laicka lewica wzbogaci swój światopogląd, gdy zrozumie, jak wiele jej czołowe wartości zawdzięczają chrześcijaństwu, i gdy uzna, że ideały tolerancji i wolności człowieka nakazują szacunek nie tylko wobec tych, którzy wyznają inne poglądy na świat fizyczny, ale i wobec tych, którzy wierzą w świat nadprzyrodzony.

Jeżeli pod tym ostatnim, ideologicznym względem książka Michnika przekona ludzi lewicy — rola jej będzie spełniona. Pod względem politycznym przedstawia ona opis sytuacji, wytwarzającej się na naszych oczach. Przynajmniej od strony „lewicy” decyzja sojuszu z Kościołem zdaje się faktem dokonany; książka Michnika fakt ten obwieszcza i przekonująco uzasadnia. Jako opracowanie historyczne wywołuje najwięcej wątpliwości i sprzeciwów — ale też jest dzielną wyprawą w dzikie, zarosłe niewiedzą i poprzeryzane mitami pola. Więc i od tej strony zasługuje na pochwałę, i budzi nadzieje na przyszłość autora-historka.

„KOŚCIÓŁ, LEWICA, DIALOG” *

Adam Michnik przebywa po raz drugi w więzieniu za swe poglądy polityczne. I w tym właśnie momencie ukazała się jego pierwsza książka. Zdziwila w niej przede wszystkim dojrzałość młodego przecież, bo tylko trzydziestoletniego Autora, którego nazwisko od dziesięciu już lat symbolizuje walkę części jego pokolenia. Ludzie ci zostali skazani za swą postawę moralną i polityczną na wyrugowanie z polskiego życia publicznego przez więzienie, represję, odebranie prawa do pracy, do publikacji itp.

Środowisko Michnika zmuszone do milczenia a jednocześnie zniesławione i zaszczute — nie poddało się. I jest ono moralnym zwycięzcą, choć jego najprzedniejsi przedstawiciele znaleźli się znów w więzieniu. Opinia publiczna upomina się o nich. Nastąpiło to najpierw w formie nowego w Polsce rodzaju heroizmu — przez strajk głodowy. Ta forma walki może z czasem, niepostrzeżenie dla łączących swych przeciwników, przedstawicieli władzy i „nowej klasy”, stać się zaraźliwa. Nowe formy walki są w tej chwili najważniejszą sprawą dla opozycji politycznej.

O ludzi z kręgu Michnika upomniła się elita środowiska literackiego, Kościół i wielu ludzi tak zwanej lewicy laickiej.

Cóż ma do powiedzenia człowiek, którego imię jest symbolem toczącej się w kraju walki, a który zdobył swą dojrzałość w obliczu klęski prawdziwej lewicy w Polsce, w trosce o sprawujący rząd dusz Kościół i wreszcie w dramatycznych kolejach własnego losu oscylującego między kratami więzienia a europejskim poklaskiem i uznaniem.

Przebywając ponad pół roku za granicą Adam Michnik udowodnił, że jest nie tylko przywódcą studenckim, żywiołowym i skromnym organizatorem opozycji, który sam usuwał się w cień, niezmordowanie zjednując innych do podejmowania trafnych decyzji, ale że jest już dojrzałym politykiem. Dawał liczne wywiady, pisał artykuły, przemawiał i bodaj ani razu nie popełnił błędu politycznego, zachowując umiar i jednocześnie determinację do dalszej, konsekwentnej walki. Opublikowaną obecnie książką Autor wszedł z całą pewnością do polskiej czołówki intelektualnej.

Komuniści wykopali w kraju przepaść między lewicą laicką a światem katolickim. Wydawało im się, że przepaść ta była kontynuacją konfliktu tradycji XVIII-wiecznego racjonalizmu i liberalnego ducha Rewolucji Francuskiej z konserwatywnym i nacjonalistycznym duchem reakcji katolickiej.

* Adam Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Instytut Literacki, Paryż 1977.

Zbiurokratyzowanie systemu sowieckiego, ideologiczna dyktatura monopartii przekreśliła jednak wszelki autentyzm życia umysłowego, włącznie z konfrontacją materializmu filozoficznego i religii. Marksizm przestał być stroną w walce lub dialogu, a stał się instrumentem ucisku, pretekstem administracyjnych ograniczeń myśli religijnej i instytucji kościelnych. Walkę ideologiczną z religią komuniści sprowadzili do uzasadniania swoich likwidatorskich zamachów na Kościół, a dialog z tzw. katolikami postępowymi miał na celu manipulowanie tymi grupami i przeciwstawianie ich Kościołowi.

W rezultacie polityka, a nawet bieżąca taktyka i propaganda unicestwiły dialog między komunistami i katolikami, doprowadzając do zupełnego upadku życia umysłowego w kraju.

Na tym tle książka Adama Michnika jest ewenementem zupełnie niezwykłym. Michnik nie jest już co prawda klasycznym marksistą. Czy jednak można w ogóle mówić o istnieniu w Polsce ortodoksyjnych marksistów. Nie są nimi aparatczycy PZPR, którzy pozostają wierni każdej aktualnej linii partii i Moskwy, ale o samodzielnym stosowaniu metodologii marksizmu do analizy społecznej nie tylko nie mają pojęcia, ale strzegą się tego typu myślenia. Samodzielne myślenie nieuchronnie prowadzi bowiem do konfliktu z partią i „obozem”, będącymi narzędziami rosyjskiego socjalimperializmu.

Adam Michnik nie określa się już jako marksista. Identyfikuje się raczej z tzw. lewicą laicką, której jednak bliżej nie charakteryzuje i ma rację, że jest tak powściągliwy, gdyż chodzi tu o formację dopiero rodzącą się, a jej ostateczny kierunek ewolucji może jeszcze przynieść niejedną niespodziankę.

Nad książką Michnika odbyło się w Warszawie wiele dyskusji i najczęściej pytano w nich Autora co rozumie pod określeniem lewica i dlaczego lewica musi być laicka? Czy ta formuła nie stanowi jakiejś kontynuacji uprzedzeń zbiurokratyzowanego marksizmu, czy też spóźnionego echa jeszcze dawniejszych, przeżytych już konfrontacji ideowych niewierzących z katolikami?

Z drugiej strony w dyskusjach nad maszynopisem książki Michnika, który znalazł w kraju żarliwych czytelników, stawiano wręcz pytanie, czy Autor nie jest tak dalece zafascynowany chrześcijaństwem, że można wobec niego zaryzykować przypuszczenie, iż stał się on *anima naturaliter christiana*?

Można by jeszcze mnożyć pytania wobec pierwszej książki tego obiecującego publicysty i historyka, a zarazem doświadczonego już i wytrawnego polityka. Książka Michnika usposabia jednak nie tylko do zadawania pytań. Przynosi ona także doskonale udokumentowane tezy, które pod piórem byłego marksisty, czy też dzisiejszego rzecznika lewicy laickiej brzmią zgola rewelacyjnie. Jakież wielkie i głęboko autentyczne jest zainteresowanie Autora religią i zrozumienie zasięgu społecznych wpły-

wów Kościoła w Polsce skoro skłoniło go do gruntownego przeanalizowania dokumentów kościelnych ostatniego trzydziestolecia. I jakże zaskakujący, a zarazem przekonujący jest wniosek, który wysnuł Autor ze swoich studiów. Adam Michnik stwierdził i udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że Kościół katolicki był i jest głównym obrońcą wolności w ciągu całych dziejów PRL. Prawda ta może się wydać banalna tylko ludziom, którzy nie zdają sobie sprawy jak wielką była do niedawna przepaść między światem laickim i katolickim w Polsce. Tak niezwykle wyniesienie moralne byłego przeciwnika ideowego, na jakie zdobył się Adam Michnik wymaga także nieprzeciętnych przymiotów ducha i umysłu, które Autor w pełni ujawnił.

Książka zapewnia Michnikowi trwałe miejsce w publicystyce polskiej i zapowiada pojawienie się na naszym widnokręgu oryginalnego myśliciela. Jego propozycja przetrwania mostu między światem laickim i katolickim w Polsce z pewnością nie zostanie zapomniana i zainteresowane strony będą musiały w przyszłości do niej wracać.

Natomiast nie sądzę, by propozycje Michnika mogły już teraz odegrać większą rolę polityczną, wychodzącą poza środowiska laickie i katolickie, które już od dłuższego czasu rozumieją się i są związane nie tylko dialogiem, ale także wspólną walką o ugruntowanie w Polsce myślenia pluralistycznego. Trzeba jednak realistycznie ocenić, że zakres ich wpływów społecznych jest nadal dość ograniczony.

Michnik wysunął propozycję dialogu nie tylko wobec swych katolickich przyjaciół, ani nawet wobec najświatlejszego w katolicyzmie polskim środowiska *Znaku, Więzi i Tygodnika Powszechnego*, lecz wobec Kościoła.

Kościół sprawując w Polsce rząd dusz jest jednocześnie pozabawiony podstawowych wolności niezbędnych dla rozwoju kultury katolickiej, a więc i wewnętrznej dyskusji na taki temat jak propozycja dialogu wysunięta przez Michnika. Instytucje kościelne są w stanie stałego zagrożenia, a jednocześnie zarówno rząd jak i opozycja chcą uzyskać wsparcie autorytetu Kościoła dla swych celów. Dokumenty publikowane przez Episkopat nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do sprzyjania przez Kościół dążeniom wolnościowym, a także brania przez biskupów w obronę najpierw więzionych robotników, a obecnie działaczy Komitetu Obrony Robotników.

Jednocześnie Kościół zdając sobie sprawę z ogromnego napięcia w kraju i walk wewnętrznych w partii — nie chce uczynić niczego, co zaogniłoby i tak napiętą sytuację, a także nie zamierza dać się wciągnąć w potrzask i pułapki bieżącej polityki, szczególnie gry frakcyjnej w partii, która z zewnątrz jest w dużej mierze nieprzejrzysta.

Olbrzymie ciśnienie aktualnej polityki nie sprzyja zdolności do podjęcia dialogu teoretycznego. Być może hamuje go też

wyraźna troska Kościoła, by przez maksymalne zakorzenienie się w przeszłości polskiej, pozostać zawsze wyrazicielem tradycji i tożsamości narodowej, a także dawnego obyczaju i myślenia społecznego.

Po ponad trzydziestu latach nikt nie wątpi, że strategia ta przyniosła Kościołowi pełen sukces, choć ujawniły się już także jej niedostatki i słabe strony, widoczne w katolickim życiu umysłowym. Można mieć poważne wątpliwości, czy świat katolicki jest w stanie udzielić pełnej odpowiedzi na propozycję dialogu zawartą w książce Adama Michnika. Niestety wydaje się pewne, że impas intelektualny wśród katolików polskich czyni ich niezdolnymi do poważnego dialogu.

Kościół jednakże udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że unikając zaangażowania ściśle politycznego, zawsze jest zdolny do podniesienia głosu z punktu widzenia moralnego, czy to w obronie ludzkich prześladowanych działaczy lewicy laickiej, czy też w obronie moralnych praw narodu, co miało miejsce w wystąpieniach biskupów w sprawie zmian w konstytucji PRL. W ten sposób Kościół dał w praktyce odpowiedź na postulat dialogu i pluralizmu, sformułowany później w książce Michnika. Wydaje się natomiast, że na odpowiedź teoretyczną, intelektualną nie ma w kraju warunków, dopóki Kościół nie jest pewny zasadniczych praw i wolności. Poważną rolę w tej sprawie odgrywa też obawa przed wykorzystywaniem przez czynniki polityczne wypowiedzi biskupów, a także ich nastawienie defensywne i zachowawcze, uwarunkowane ogólną sytuacją Kościoła.

W przedmowie do publikacji Michnika Stefan Kisielewski pięknie napisał, że „ostatnia partia książki jest zejściem w najgłębsze, eschatologiczne podkłady dualizmu między postawą świecką a religijną”, podkreślając, że Autor potrafił się „wcielić” w duchowe życie człowieka wierzącego, dla którego „wymiar nadprzyrodzony jest realnością a metafizyka konkretną potrzebą umysłu”. Kisielewski docenia zrozumienie Michnika, „że wyzbycie się tego rodzaju postaw, przeżyć i przemyśleń stałoby się dla społeczeństwa i jego kultury katastrofalną stratą...”.

Pośrednia odpowiedź katolików polskich na ten akt najgłębszej ludzkiej i społecznej solidarności wydaje się ważnym obowiązkiem moralnym, choć będzie ona z wszelką pewnością ograniczona przez cenzurę nie pozwalającą wymienić w kraju nazwiska Adama Michnika w kontekście innym niż pejoratywny.

Przerzucony przez niego most między światem laickim i katolickim stanowi jednak być może początek przeobrażeń ideowych w naszym kraju, których skalę trudno dzisiaj ocenić. Dla setek ludzi młodego pokolenia książka Michnika będzie rewelacją i odsłonięciem całkiem nowych horyzontów. Któż wie jakie owoce może przynieść ten posiew?

Radykalizm jako spektakl

Książka Schwartzenberga „Państwo - spektakl” * z przydługim podtytułem „Esej na temat i przeciw systemowi gwiazdorów w polityce” jest zła na sposób użyteczny, bowiem dobrze ilustruje płytkość i nieodpowiedzialność neo-anarchizmu, który — jako nowe wino na miejsce zbyt już zoctowanego prosowieizmu — zaczyna na Zachodzie wypełniać stare dzbanki z napisem „lewicowość”. Teza książki, którą dałoby się z równym powodzeniem zamknąć w niedługim artykule, głosi że współczesne państwo zmieniło się w teatr, w którym wyzywają się jedynie primadonny — prezydenci, dyktatorzy, Kissingerowie, itp. — podczas gdy zwykły obywatel pozostaje biernym widzem, a co gorsza bywa często ofiarą propagandowej manipulacji. Teza ta podbudowana jest setkami anegdot na temat teorii i praktyki figur politycznych całego świata — przy czym autor tym samym tonem oskarżycielskiego *staccato* wymienia obok siebie Cartera, Stalina, Giscarda, Amina Dade, panią Banderanaikę, Attly'ego, cesarza Bokasę I, Breżniewa i de Gaulle'a — które to anegdota torują drogę konkluzji generalnej: cały system polityczny świata jest do d... i należy go zmienić. Jak? — bardzo prosto: wystarczy powiedzieć „dość!”, stworzyć kontr-kulturę polityczną opartą na trzech aliterujących wartościach (*sincerité, simplicité, solidarité*), zdecentralizować co się da i zwiększyć udział zwykłych obywateli w czym się da. O ile program ten wyda się komu zbyt szkicowy i utopijny, pretensje należy wnosić nie do mnie, a do autora, który po 300 stronicach drugoczącej krytyki Państwa Jako Takiego, przeprowadzonej na przykładach wziętych z Ugandy, Stanów Zjednoczonych i Korei Północnej (*wsio odna swołocz*) środkom zaradczym poświęca jedynie 16 i pół strony na końcu książki.

Zarty na bok. Wobec książki Schwartzenberga i szerzej: wobec postawy „zaangażowanego radykalizmu”, którą reprezentuje, można i należy wysunąć dwa zarzuty: infantylizmu i demagogii. Szczegółowe ich uzasadnianie byłoby powtarzaniem oczywistości, ograniczę się więc jedynie do przypomnienia że: wobec faktu, iż społeczeństwa są wielomilionowymi skupiskami ludzkimi, delegowanie władzy jest nieuchronną koniecznością; dopóki „delegatami” są ludzie, a nie komputery, ludzki odruch aktorstwa i stylizacji jest nieistotnym dodatkiem; istotny jest problem, czy władza jest rzeczywiście delegowana, czyli czy źle rządzącego delegata można zastąpić bez rozlewu krwi innym — czy też nie; skupianie uwagi na elemencie dekoracyjnym („gwiazdorstwo” polityków), a pomijanie sedna sprawy (struktury władzy) jest w najlepszym razie infantylizmem, a w najgorszym demagogią. Demagogią w imię czego? W imię złudzenia, że istnieje możliwość radykalnej poprawy tam, gdzie w istocie jedynie cierpliwie i mozolnie ulepszenie istniejącego stanu rzeczy może zwiększyć sumę ludzkiego szczęścia, czy raczej: zmniejszyć sumę ludzkiego nieszczęścia. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat „radykalni eksperymentatorzy” (Lenin, Mussolini, Hitler) zademonstrowali wystarczającą ilość „alternatyw” na to, by zrozumieć, że ze złudzeniami w polityce należy obchodzić się ostrożnie. Należałoby tego oczekiwać przynajmniej od fachowców, do których zdaje się zaliczać autor „Państwa-

* Roger-Gérard Schwartzenberg, *L'état spectacle* (Essai sur et contre le star system en politique), Flammarion, 1977, 318 str.

spektaku” — według notki na okładce profesor nauk politycznych trzech renomowanych wyższych uczelni francuskich i czynny polityk (*Mouvement des radicaux de gauche*). O ile jego książka ma być przykładem *science politique*, to należałoby się zastanowić na czym polega *superstition politique* — ou bien l'ignorance tout court.

M. BRONSKI

Seryjne publikacje polskie w bibliotekach kanadyjskich

W kanadyjskich bibliotekach znajduje się spora ilość polskich publikacji seryjnych, to jest głównie czasopism obok pewnej ilości książek, ale dotychczas nie były one skatalogowane i nie było wiadomo w której bibliotece można znaleźć poszczególne publikacje. Obecnie ukazał się jednak nie tylko pełny katalog ale i omówienie pozycji znajdujących się w bibliotekach.

Praca dyplomowa, złożona na wydziale bibliotekarskim University of Ottawa, posłużyła autorowi, Henrykowi Pawłowi Kozłowskiemu, do szerszego opracowania zagadnienia*. Dwujęzyczny tekst wprowadzający, objętości 90 stron, stanowi analizę stanu polskich publikacji seryjnych oraz ich charakterystykę. W bibliotekach kanadyjskich znajduje się ogółem 1.041 polskich publikacji seryjnych, ukazujących się w Polsce oraz 163 publikowanych poza jej granicami. Z publikowanych w kraju 46 % znajduje się tylko w jednej bibliotece, 20 % w dwóch a 34 % więcej aniżeli dwóch. Z ogłoszonych za granicą pozycji znajdujących się w kanadyjskich bibliotekach 44 % ukazało się w Wielkiej Brytanii, 33 % w Kanadzie, 18 % w Stanach Zjednoczonych 7 % we Francji a 9 % w innych krajach.

Kozłowski wyjaśnia dlaczego w Wielkiej Brytanii pojawiło się tyle publikacji, zaznacza dalej, iż mimo zmian jakie zaszły od zakończenia wojny, Londyn jest nadal ośrodkiem polskiej emigracji politycznej i ukazują się tam m.in. czasopisma: *Teki Historyczne*, *Wiadomości* i *Biały Orzeł*.

Wskazując iż we Francji ukazuje się 7 % publikacji seryjnych wymienia tylko *Kulturę* — zaznaczając, iż tylko pierwszy numer tego miesięcznika ukazał się w Rzymie — co pozwala sądzić iż owe 7 % stanowią seryjne publikacje Instytutu Literackiego w Paryżu.

Gdzie znajdują się polskie pozycje seryjne?

Otóż na ogólną ilość 270 bibliotek nadsyłających swoje dane do Biblioteki Narodowej, 124 posiadało polskie kolekcje. W tej liczbie znajduje się 67 bibliotek uniwersyteckich, 49 federalnych i specjalistycznych, 7 publicznych i jedna polska — Polskiego Instytutu Naukowego w Montrealu.

Najwięcej jest czasopism ściśle naukowych, przy czym publikacje matematyczne wysuwają się na pierwsze miejsce. I tak *Fundamenta Mathematica* są w 32 bibliotekach a *Colloquium Mathematicum* w 28, podczas gdy *Studia Logica* w 15. Humanistyczne seriały są minimalne. Przykładowo: *Pamiętnik Literacki* w 7-miu, *Folia Historiae Artium* w 4-ch a *Collectanea Theologica* w jednej.

* *Union List of Polish Serials in Canadian Libraries*, by Henryk Paweł Kozłowski, National Library of Canada, Ottawa, 1977, pp. XC-406.

Tylko w 10 uniwersytetach prowadzi się pewne wykłady z zakresu polonistyki i biblioteki tych uczelni posiadają stosunkowo największą ilość polskich pozycji. Na czoło wysuwa się University of British Columbia w Vancouver, a z publicznych bibliotek — Toronto. Biblioteka Polska w Montrealu jest najlepiej zaopatrzona zarówno w publikacje krajowe jak i emigracyjne i dysponuje olbrzymim zbiorem wszelkich oficjalnych publikacji rządu R.P. z lat wojennych, biblioteka Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego posiada największy zbiór seryjnych publikacji polskich ukazujących się w Kanadzie.

Z ogólnej ilości publikacji krajowych 80 % zaczęło ukazywać się po ostatniej wojnie światowej. Zaledwie 207 pozycji krajowych pochodzi z lat przedwojennych a z publikowanych za granicą 17. Kozłowski podkreśla iż podczas wojny i okupacji kraju, nie ukazała się żadna seryjna publikacja, odnotowuje przy tytułach daty likwidacji publikacji, zmiany tytułów itp.

Zapewne warto odnotować iż z czasopism polskich *Kultura* — autor podaje paryską — znajduje się w największych ilości bibliotek bo w 15-tu podczas gdy tygodnik warszawski *Kultura* w 7-miu. Z ukazujących się w kraju — poza matematycznymi i innymi ściśle fachowymi, naukowymi, najliczniej reprezentowane są: *Dialog* w 9-ciu — z tym iż tylko jedna ma komplet i to od 1957 roku — *Pamiętnik Literacki* — 7, *Twórczość* — 7, *Tygodnik Powszechny* — 5.

Jak wynika z pracy H. P. Kozłowskiego biblioteki kanadyjskie posiadają sporo polskich seryjnych publikacji, ale głównie ściśle naukowych. Są więc publikacje niemal wszystkich zakładów naukowych oraz wyższych uczelni, co zdaje się wskazywać na istnienie wymiany publikacji naukowych. Zważywszy iż znajomość języka polskiego wśród kanadyjskich pracowników naukowych jest raczej bardzo ograniczona — oczywiście, o ile nie są pochodzenia polskiego — to wolno zaryzykować twierdzenie, iż najbardziej wykorzystywane są zarówno prace ogłoszone w obcych językach jak te, które posiadają obszerniejsze streszczenia w językach angielskim lub francuskim.

Katalog opracowany przez H. P. Kozłowskiego odnotowuje przy każdej pozycji informację o wydawcach, charakterze publikacji, języku, oraz języków streszczeń. Podaje wszystko aby można było daną publikację nie tylko znaleźć, ale również ustalić czy jest przydatna. Jak każda praca biblioteczna, katalog wymaga ogromnego wysiłku, staranności i skrupulatności.

Autor we Wstępie dziękuje m.in. Okręgowi KPK Ottawa oraz Departamentowi Sekretarza Stanu w Ottawie za pomoc finansową, która umożliwiła publikację tej pracy w formie najbardziej odpowiedniej dla użytku bibliotecznego.

B. H.

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

(POEZJA (antologie))

Cyprian NORWID: *Poezja i dobroć*. Wybór z utworów. Opracował Marian Piechal. Warszawa, 1977, Państwowy Instytut Wydawniczy, 4^o, str. 763.

Wrażenia mieszane. Kapryśna twórczość Norwida została tu pracowicie i systematycznie posznurowana z wyraźną intencją ukazania poglądów poety jako trzymającej się kupy całości. Piechal doczytał się w rozrzuconych i dalekich datami utworach „jakości problemowych”, układających się w „zhierarchizowany porządek”: „punktem wyjściowym jako ośrodek całego układu jest Człowiek, który mieści się w szerszym od siebie pojęciu Ojczyzny, ta zaś w jeszcze szerszym Świata, a ten w uniwersalnym pojęciu Historii, której podmiotem głównym jest jednak człowiek”. Ten łopatologiczny wykład zabija Norwida i przywołuje wspomnienia wykresu bólu ojcowskiego w „Trenach”. Schemat „cyklu problematyki twórczości” ma walory uniwersalne. Da się z równym powodzeniem zastosować do Staffa, Wierzyńskiego czy Miłosza.

Jest to jednak wielka dawka poezji Norwida podana w atrakcyjnej szacie graficznej pomysłu Wacława Wyszyńskiego — i niewątpliwie przyczyni się do włączenia dalszych cytatów do obiegu potocznego i petryfikacji dzieła już i tak „klasycznego”.

Tytuł antologii („Poezja i dobroć”) zaczerpnięty jest z cytaty, która patronuje „Oficynie Poetów”: „Z rzeczy świata tego ostaną tylko dwie. Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic”. Dalszym ciągiem jest jednak zachwianie wagi „umiejętności”, która (co prawda „bez dwóch onych”) zblednie w papier”. I to sprawdza się na przykładzie antologii: uporządkowany i ugrzecziony Norwid „blednie”, choć Piechal całego siebie włożył w jak najlepsze, jego zdaniem, pokazanie w skrócie „wyboru z utworów”. Znalazły się w nim i z nie najgorszym efektem nawet teksty pisane prozą a rozbite na wersy przez wydawcę (np. „Co to jest Ojczyzna”) świadczące jak względna jest granica między mową „wiązaną” a prozą u Norwida. Ryzykownym natomiast eksperymentem okazało się zerwanie z chronologią, na skutek którego młodzieńcze próby wmieszane zostały do dojrzałych przemysłów z lat ostatnich.

Piechal analizuje w przedmowie antologię zestawioną przez jego poprzedników, wysuwając na czoło małeńki wybór dokonany przez Zbigniewa Żaniewickiego w trzech „działach problemowych” (?): Prawda - Ojczyzna - Człowiek. Piechal nie dostrzegł zasadniczego niebezpieczeństwa: to co zamykało się u Żaniewickiego w ramach 24 utworów rozłożone na ponad siedemset stron woła o pomstę do Boga. Odwołanie się do dobroci w tytule antologii apeluje najwidoczniej do uczuć czytelników. W wylczeniu poprzedników brak „wyboru z utworów” w „Księdze cytatów z polskiej literatury pięknej” ułożonej przez Pawła Hertza i Władysława Kopalińskiego. Na czterdziestu stronach (dwuszpaltowych) dano tam 504 wiersze całe i w wyjątkach z małą domieszką prozy, nadającej się zresztą do piechalowskiego potraktowania. Jest sprawą otwartą, który z tych wyborów przybliży lepiej Norwida.

PROZA POWIEŚCIOWA

Miron BIAŁOSZEWSKI: *Szумы, zlepy, ciągi*. Warszawa, 1976, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 275.

Podtytuł książki mógłby brzmieć: „pamiętnik z cierpiętnie przedłużanej młodości”. To co w „Pamiętniku z powstania warszawskiego” miało posmak zapisu autentycznych reakcji kilkunastoletniego bohatera książki, zaczyna niepokoić w „Donosach rzeczywistości” a męczy na potęgę w „Szumach, zlepacach, ciągach”. Autor wdziczy się przed czytelnikiem: jaki to on wyższy ponad przesady, jaki oryginalny, jaki żwawy i zabiegany, jak dbają o niego „polskie kobiety”, jaki bezinteresowny i szlachetny. Z chaosu zapisów zintelektualizowanego Wiecha (a Wiechem zalatuje coraz bardziej)

wyłania się obraz ex-poety a dobrze zapowiadającego się prozaika z reporter-skim zacięciem biegającego po Marszałkowskiej i podróżującego na trasie Warszawa-Garwolin i Warszawa-Otwock w poszukiwaniu tematu do następnego felietonu. Wypad do Paryża i spotkania w Quartier Latin z Arturem S. i Józsem Cz. nie są dla Białoszewskiego uzdrawiającym szokiem; dziwi go nadal wszystko: że kościoły paryskie są z kamienia, że kłozet źle funkcjonuje, że Gioconda nie jest tak złym obrazem jak ocenił go Tytus Czyżewski, że porusza się po Paryżu swobodniej od Artura S. itd. Czytane na wrywki są owe „Szumy, zlepy, ciągi” strawniejsze, niż w tym, co sam autor określa jako „wielkie książczydło”. Doskonały jest np. opis zaniedbanego, zarosniętego zieleńcem i krzakami kirkutu z grobami poległych w obronie Warszawy w 1939, pomnikiem Ludwika Zamenhoffa, z „jedyną ścieżką, trochę zgniłą” przebitą przez „skośnione zarosła”.

Książkę ratuje specyficzność języka Białoszewskiego, owa niedbała, spowinowata wieloletnim wysiłkiem tysięcy warszawiaków polszczyzna kolokwialna, zaserwowana w autentycznych zapisach, które docenia kontynuatory słowników gwary warszawskiej. Może w tym kryje się sens książki.

HISTORIA LITERATURY

Adam WAŻYK: *Dziwna historia awangardy*. Warszawa, 1976, Czytelnik, str. 175.

Książkę otwierają szkice Ważyka o europejskich poprzednikach polskich awangardzistów: „starych modernistach”, „inspiratorach symbolizmu europejskiego”. Punktem wyjścia do rozważań nad polskimi przereklamowanymi prądami nadpływającymi z Zachodu jest dla Ważyka „Słowaacki i nowa sztuka” Ignacego Matuszewskiego, sen., „słynna książka, czytana po dziś dzień przez każdą generację poetów”. W klimacie jej debiutował Leśmian, „pogrobowiec Młodej Polski”, który „na tle Dwudziestolecia błagał się jak Dracula (sic!)”. Z książki Matuszewskiego wywodzą się też, zdaniem Ważyka, polskie koncepcje języka artystycznego, wyrażające się „usztucznieniem języka” występującym jaskrawo np. w „Oziminie” Berenta. Wzorowano się na poetach francuskich, ściślej na Mallarmé i Rimbaudzie; entuzjastą tego pierwszego był Tadeusz Peiper, który zjawił się w Paryżu tuż przed wybuchem Wielkiej wojny. W okolicy tej daty poezja polska odchodzić zaczyna od wzorów Młodej Polski i na widowni zjawiają się pierwsi futuryści (Jerzy Jankowski) — dyskusje teoretyczne podejmuje Irzykowski — tworzyć zaczyna Witkacy. Do wzorów obcych włącza się Whitman (patronujący także Skamandrytom). Pierwsze lata Dwudziestolecia cechuje duch negacji (Lechoń, Słonimski, Tuwim), znajdujący najpełniejszy wyraz u Boya, który „działał jak detektyw” i tym sposobem „odkrył pannę Deibel, którą przez kilka pokoleń w opisie domu Mickiewicza solidarnie zastępowano palmą”. Ale choć Ważyk jest zadziwiony łaskawie nastawiony do Skamandrytów, przypisując im „podniesienie kultury słowa poetyckiego”, w twórczości ich nie może doszukać się ambicji nowatorskich czy awangardowych. Chyba — w dziedzinie humoru absurda — sytuacyjny. Aplikowali, jak umieli, futuryści, o których debiutach pisze Ważyk z pewnym zażenowaniem. Mogli jednak wywrzeć wpływ na młodego Gombrowicza.

Po przydługim wstępie Ważyk wchodzi na najlepiej mu znane terytorium i kolejno charakteryzuje twórczość Tytusa Czyżewskiego, Anatola Sterna, Aleksandra Wata i Brunona Jasińskiego, omawia „przygodę Chwistka”, dochodząc do kluczowego w jego rozważaniach wystąpienia Peipera

(1922-4) i „Zwrotnicy”. Intencją Ważyka jest udowodnienie, że peiperowska koncepcja „organicznej budowy” wiersza była pomostem między epoką sprzed 1914 a narodzinami poezji awangardowej. Potem przyszedł „Almanach Nowej Sztuki” Stefana Kordiana Gackiego i druga „Zwrotnica”.

Za „podstawowe dążenie awangardy” uznaje Ważyk „wizję życia codziennego odartą ze związków nawykowych, jakie nam narzuca ogłód popularny, ze związków wpajanych przez odziedziczoną kulturę i zwłaszcza przez konwencje poetyckie”. (Określenie to wymownie unaocznia kontrast koncepcji poetyckiej Mirona Białoszewskiego, w której punktem wyjścia jest operowanie właśnie „związkami nawykowymi”). Szukano — niepowtarzalności, „niereprodukowania motywów i wątków dawnych”. Z „dziwnymi”, jak określa to Ważyk skutkami, bo oto czołowi awangardziści włączają się już w naszemu poczuciu do kręgu „poetów krajobrazu” a więc „tradycyjnego cyklu tematycznego”. Mieści się w nim Czechowicz i znaczny odłam twórczości Przybosia. Wreszcie: „Młody Miłosz wprowadził (do poezji) szeroki horyzont humanistyczny, potok życia został przefiltrowany, zjawyły się wielowiekowe powiązania kultury europejskiej”. Powrót bumerangu? Od Or-Ota do Eliota?

Ważyk omawia krytycznie „Poezję integralną” Brzękowskiego, uznając jej pionierskość, ale kwestionując koncepcję „budowy wolnej” wiersza i „stylu eliptycznego”. Dziwi przeto, że na następnej stronie próbuje wysunąć przez Brzękowskiego koncepcję obrazu poetyckiego jako „rozrośniętego zdania metaforycznego”.

W końcowych szkicach rozważań Ważyk wraca do Peipera, omawiając „nową fazę” jego poglądów (1935), gdy na plan pierwszy wysuwa się u niego w nowej poezji „coś z marzenia i coś co powoduje marzenie”. „Wierny iluzorycznej teorii 'widenia', konsekwentnie zwalczał pojęcie obrazu przywrócone już w tym czasie przez Brzękowskiego i Przybosia”.

Z książki Ważyka nie wyłania się ani obraz awangardy, ani, jak chce tytuł, „dziwnej historii awangardy”. Wrażenie to potwierdza uzupełniająca rozważania antologia wierszy, w której „w kręgu awangardy” znaleźli się: Tytus Czyżewski, Aleksander Wat, Tadeusz Peiper, Bruno Jasiński, Anatol Stern, Stefan Kordian Gacki, Stan. Brucz, Adam Ważyk, Józef Czechowicz, Jalu Kurek, Julian Przyboś, Jan Brzękowski, Marian Czuchnowski (wiersz „Kraków 1931”), Stanisław Pięta, Czesław Miłosz (wiersze: „Pieśń” z 1936, „Bramy arsenału” i „Wieczorem wiatr...”) i Jerzy Zagórski. Jest to rewia indywidualności poetyckich, rejestr poszukiwań, otwierający wiele możliwości innego zaklasyfikowania wierszy (futuryzm, autentyzm, surrealizm etc.).

Dwa wojska

Rozważania na temat spraw krajowych w broszurze Tadeusza Podgórskiego pt. „Wojsko w PRL” (Centralny Komitet PPS, Londyn, 1976) byłyby dla czytelników mniej mylące, gdyby im dać tytuł np. „Policja polityczna w PRL”.

Główna teza autora, że w PRL krystalizuje się nowa siła, „narodowe wojsko polskie”, na które można by liczyć przy obaleniu dyktatorskiej władzy PZPR, jeżeli nie jest w 100-tu procentach błędna, to w tym opracowaniu jest słabo udokumentowana. Afera płk. Pałowskiego, a nawet aresztowanie kilkuset oficerów garnizonu warszawskiego, jeśli nawet odrzucić oficjalną tezę o szpiegostwie, mieści się doskonale w ramach normalnych, frakcyjnych rozgrywek partyjnych.

Przed wyciągnięciem ostatecznych wniosków zanalizujmy kolejne argumenty autora oraz te zjawiska w wojsku PRL, których autor nie uwzględnił w swoich rozważaniach. Słuszne jest stwierdzenie, że cała kadra oficerska i prawie cały stan etatowy podoficerów zawodowych są „upartyjniłone”. Dotyczy to zarówno pionu „Polwychu” jak i obsady jednostek liniowych, szkolnictwa i administracji wojskowej. Czystki w ostatnich latach usunęły z wojska tzw. elementy wrogie i kosmopolityczne: Żydów, zawodowych oficerów z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, i obywateli ZSSR. To formalne unarodowienie kadry dowódczej w wojsku nie jest, jak zakłada autor, świadomością potrzeby zabiegania o suwerenność dla ojczystego kraju, a Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy usilnie zabiega o to, aby takie poglądy nie narastały i nie rozprzestrzeniały się wśród oficerów i podoficerów. Przyczyn przesunięcia zadań obrony dyktatorskiej władzy partii komunistycznej niemal wyłącznie na siły policyjne należy szukać przede wszystkim w zmieniających się warunkach politycznych, zarówno w kraju jak i za granicą. Wymieńmy choćby tylko najważniejsze z nich. Niewątpliwie w ostatnich trzech latach narastało w całym, nieobjętym działalnością partii, społeczeństwie niezadowolenie na tle trudności bytowych (gospodarczych). Zostało ono pogłębione prowokacyjnymi posunięciami partii przy forsowaniu poprawek do konstytucji, oraz wzrostem nacisku cenzury w zakresie wydawnictw, prasy, radia i telewizji. Trudne do przewidzenia losy Paktu Warszawskiego, w związku z pertraktacjami rozbrojeniowymi w Wiedniu, spowodowały już zamrożenie stanu liczebnego wojska. A gdyby rokowania osiągnęły kompromisowe rozwiązania, liczba jednostek i ich stany uległyby ograniczeniu, a tym samym partia straciłaby siły do zadań wewnętrznego bezpieczeństwa.

Za argument w pewnym stopniu uzasadniający tezę o braku zaufania kierownictwa partii do lojalności wojska można uznać zaznaczający się na zewnątrz stosunek między kadrami zawodową, a żołnierzami z poboru. Wydaje się, że żołnierze służby czynnej są niezdyscyplinowani, opuszczają koszary bez zezwolenia, kupują napoje alkoholowe w ciągu całego dnia, wywołują konflikty z Wewnętrzną Służbą Wojskową (WSW — dawna żandarmeria wojskowa). Może to są objawy tylko w dużych garnizonach (np. Warszawa); często spotyka się pijanych na ulicy i w środkach komunikacji. W tych warunkach wprowadzenie szeregowych służby czynnej do akcji w szyku pieszym na pewno

zawiera ryzyko zbratania się żołnierzy z tłumem protestujących, na co kadra zawodowa może mieć niewielki wpływ. Natomiast użycie jednostek nowoczesnych (czołgi, lotnictwo, artyleria) w zespołach i szyku bojowym na pewno działałoby skutecznie, ale takie użycie wojska przyniosłoby olbrzymie ofiary i wzburzyłoby całe społeczeństwo, doprowadzając do całkowitej anarchii w państwie. Wydaje się, że to są główne motywy odsunięcia armii od zadań wewnętrznego bezpieczeństwa. Zagadnienia obronności zewnętrznej w ramach Paktu Warszawskiego muszą budzić troskę zarówno w PZPR, jak i w dowództwie naczelnym Paktu. Do czasu poprawy stosunków z NRF uważano, że zagrożenie bloku wschodniego przez NATO, przy użyciu armii niemieckiej jako głównego agresora, przypomni drugą wojnę światową i zabezpieczy zwartość polskiej armii. Sytuacja przedstawia się odmiennie na wypadek realizacji „doktryny Breżniewa” w stosunku do Polski. Choćby nic dotychczas nie wskazuje, że upartyjniona kadra zatruwa się „bakcylem niełojalności” w stosunku do kierownictwa partii, to jednak istnieje tradycyjna świadomość dawnych walk niepodległościowych, i tylko nieliczni spośród kadry zawodowej mogliby się jej sprzeniewierzyć. Nie jest również pewne, czy doły milicyjne i ormowskie mogłyby utrzymać zwartość i wierność Wielkiemu Bratu.

Rywalizacja między generałami i pułkownikami w PRL istnieje od czasu uwolnienia Kraju spod niemieckiej okupacji. Dorastający do wysokich stopni Polacy w Siłach Zbrojnych, w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego i w aparacie Bezpieki patrzyli krytycznie na oficerów z Czerwonej Armii. Po odwilży 1956 roku odeszli w większości obywatele ZSSR, ale pozostali partyzanci, którzy stali się solą w oku powojennych debutantów. Nie obserwuje się jednak indywidualności wśród wyższej kadry zarówno w Siłach Zbrojnych, jak i w pionie milicyjno-bezpieczniackim, która by mogła sięgnąć np. po stanowisko pierwszego sekretarza PZPR. Jedno zapewne można założyć, że luminarze z okresów poprzednich (Berling, Moczar, Szlachcic), a również i obecni (Jaruzelski, Urbanowicz, Sawczuk, Kamiński) nie mogą liczyć na entuzjazm wojska w podtrzymywaniu interesów partii. Jest to niewątpliwie okres odpowiedni na akcję uświadamiająco-narodową. Rozwiązanie, tzn. pozbawienie partii dominującej pozycji, może przysiąc tylko na skutek zdecydowanej postawy całego społeczeństwa. Rozgrywki między partyjną hierarchią cywilną i wojskową mogą odegrać tylko rolę pomocniczą, i to tylko wtedy, gdy uda się *zaimprovizować* grupę kierowniczą, popierającą dążenia większości społeczeństwa. Nie ma warunków w Polsce na „bonapartyzm” czy „zamach majowy”.

Nota nadestana z Kraju.

Nadeślane nowości wydawnicze

WAT (Aleksander). *Mój wiek*. Cz. 1 i 2. Pamiętnik mówiony. Przedmowa Czesława Miłosza; do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Cz. 1 — str. 373 i 3 nlb., cz. 2 — str. 392 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1977).

MANDELSZTAM (Osip). *Późne wiersze*. Wybór, przekład i opracowanie Stanisław Barańczak. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

WIT-WYROSTKIEWICZ (Bogusław). *Wołanie i słowo*. Str. 45 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

MALIŃSKI (M., ks.). *Nasz chleb powszedni*. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, 1977).

ANIELKA B. *Pamiętnik*. Przedmowa Stefani Skwarczyńskiej. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, 1977).

Nidzica. Z dziejów miasta i okolic. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 55).

KRYSZAK (Janusz). *Inny głos*. Poezje. Str. 57 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 20).

KRUK (Erwin). *Moja północ*. Poezje. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 20).

WAKAR (Andrzej). *Wędrując przez Kubę*. Str. 116 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 30).

GRODZIŃSKI (Janusz). *Przyczepieni do holu*. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 25).

MŁODOŻENIEC (Stanisław). *Grunwald*. Wstęp Stanisława Czernika,

rysunki Jana Matejki. Str. 39 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 30).

Mutacje. Antologia młodych poetów olsztyńskich. Wybór i opracowanie Świętłana Kruk, postłowie Janusz Segiet. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 36).

BOEHM (Jan). *Feliks Nowowiejski 1877-1946 — zarys biograficzny*. Wydanie drugie. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 52).

W Chrystusie jesteśmy ludem Bożym. Katechizm religii katolickiej, część pierwsza. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).

JASIŃSKI (Janusz). *Andrzej Samulowski 1840-1928*. O narodowe oblicze Warmii. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1976; cena zł 64).

KARPIŃSKI (Stanisław). *Na skrzydłach huraganu*. Tom III i IV. Str. 477 i 1 nlb., VII i 3 nlb. — lista wydawnictw „Biblioteki Polskiej”, 13 i 3 nlb. — indeks nazwisk do czterech tomów. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1977).

MACIOCHA (Wacław, ks.). *Szczytowe normy moralne*. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1976).

TWORKOWSKI (Stanisław, ks.). *Ostatni zrzut*. Opowiadania i nowele 1939-1945. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1977).

MACIOCHA (Wacław, ks.). *Kierownictwo duchowe*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1976).

JACEWICZ (A.). *Fawley Court*. Przewodnik. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1977).

KOCZY (Leon). *Mikołaj Kopernik — Samotnik, geniusz, rewolucjonista*. Str. 178 i 2 nlb. (Nakładem Społeczności Polskiej w Szkoci, Glasgow, 1977).

EMILL (Ewa). *Goście*. Powieść. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

KOWALIK (Jan). *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku*. Indeksy opracował Stanisław Draganowski. Tom I — A-J — str. 299 i 19 nlb. (w tym 16 str. ilustracji); tom II — K-O str. 245; tom III — P-S — str. 264 i 12 nlb. (w tym 8 str. ilustracji); tom IV — T-Ż — str. 224 i 10 nlb. (w tym 6 str. ilustracji). (Wydanie fotooffsetowe). (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1976; cena t. I-IV zł 600).

SUCHOS (Franciszek, inż. ppłk pilot). *Przyczynki do analizy naszych błędów*. Str. 56 (vary-tiper). (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1976).

RICHARD (P., Arcybiskup kard.). *Pan blisko jest*. Rozmyślenia. Tłumaczenie Sióstr F. nadesłane z Polski ku pocieszeniu naszych serc. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1977).

DRZEWIENIECKI (W. M.). *Współdziałanie kawalerii z piechotą*. W świetle książki Jerzego Boguskiego „Artyleria konna w Kampanii Wrześniowej 1939 roku”. Str. 23 i 1 nlb. (vary-tiper). (Wyd. The Polish Cultural Foundation, Buffalo, N.Y., 1977).

DRZEWIENIECKI (Walter M.). *Polonica Buffalonensis*. Str. 148 (vary-tiper). (Wyd. Buffalo and Erie County Historical Society przy pomocy The Polish Cultural Foundation, Buffalo, N.Y., 1976).

In Defence of Polish Freedom. Facts and Documents. Str. 31 i 1 nlb.

(Wyd. Polish Government in Exile, Londyn, 1977).

THEMERSON (Stefan). *General Piesc or the Case of the Forgotten Mission*. Str. 54. (Wyd. Gaberbocchus Press Ltd., Londyn, 1976).

Annual Report 1976-1977. Str. 32. (The Polish Institute of Arts and Sciences in America, 1977).

POBÓG-JAWOROWSKI (J. W.). *Polish Settlers in Taranaki 1876-1976*. Str. 59 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autora, 1976, Nowa Zelandia).

BRZESKI (Andrzej). *Kalecki and the Polish Economy*. (Nadbitka z *Soviet Studies*, October 1976, str. 616-620).

Guide to Polish Libraries and Archives. Zebrał Richard C. Lewanski. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. East European Quarterly, Boulder Distributed by Columbia University Press, New York and London, July 1975, cena dol. 15,60).

The English Atlas. Volume I — containing a description of Poland. Str. 28. (Printed at the Theater, for Joh. Jansonius a Waesberge and Steven Dwart, Booksellers in Amsterdam, MDCLXXX).

ONATSKYJ (Euhén, prof.). *Italijsko-ukrajinskyj słownik*. Str. 631 i 5 nlb. (Tom XIII-XV Wydawnictwa Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae) oraz *Ukrajinskyj-italijskyj słownik*. Str. 1741 i 3 nlb. (Tom XVI-XVIII w/w wydawnictwa, Rzym, 1977).

Kalendar Almanach Miła 1977. Str. 128. (Wyd. Juliana Seredjaka, Buenos Aires, 1976).

MICKIEWICZ (Adam). *I sonetti di Crima e altre poesie*. A cura di Elena Croce e Elisabetta Cywiak. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Adelphi Edizioni, seria: Piccola Biblioteca Adelphi — 45, Milano, 1977; cena Lit. 2.500).

SZAFAREWICZ (I. R.). *Socializm jak jawienie mirowej istorii*. Str. 390 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

JEROFIEJEW (Wieniedikt). *Moskwa-Pietuszki*. Str. 73 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-5-77

Jan Plater, po wyjściu z łagrów, pozostał w ZSSR w Karagandzie, gdzie prowadził ożywioną działalność społeczną i kulturalną; przez pewien czas kierował Twem Przyjaźni Polsko-Rosyjskiej w Karagandzie, co ułatwiało mu działalność. Niedawno Jan Plater wystosował do rządu postulaty w obronie mniejszości polskiej i nie otrzymawszy na swój memoriał odpowiedzi udał się do Moskwy, gdzie na ulicy, przed Kremlm, rozpoczął głodówkę. Został aresztowany; po miesięcznym pobycie w więzieniu pozwolono mu wrócić do Karagandy, ale zatrzymano jego paszport, dając mu w zamian dokument uprawniający do pobytu w Karagandzie. Na uniwersytecie w Karagandzie została utworzona katedra języka polskiego, której wykładowcą został mianowany p. Plater. Ponieważ do tej pory nie otrzymał odpowiedzi na swój memoriał, zapowiedział że o ile odpowiedź nie nadejdzie do czasu konferencji w Belgradzie, to ponownie rozpocznie głodówkę. Brak jest dalszych wiadomości o jego losach.

30-5-77

Prof. Stefania Skwarczyńska otrzymała tegoroczną nagrodę im. ks. Idziego Radziszewskiego. Nagroda ta jest przyznawana przez Towarzystwo Naukowe KUL za wybitne osiągnięcia naukowe w duchu humanizmu chrześcijańskiego.

10-6-77

W 1976 r. polskie zakupy w USA wyniosły 900 milionów dolarów, wzrastając o ponad 40 % w ciągu roku. Równocześnie wyeksportowano do USA na 282 milionów dolarów. Jest to najwyższe ujemne saldo handlowe w dotychczasowych stosunkach z USA.

20-6-77

James Reston podaje w *International Herald Tribune* dane dotyczące imigracji obywateli sowieckich na Zachód. 1976 r. wydano 2.574 wizy na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Większość emigrantów — 69 % — są to Armeńczycy. Jeśli idzie o obywateli sowieckich pochodzenia niemieckiego, to 9.600 otrzymało wizy na wyjazd do NRF. 14.000 obywateli sowieckich pochodzenia żydowskiego otrzymało wizy do Izraela.

28-6-77

Zmarł w Warszawie Janusz Teodor Dybowski, literat i publicysta.

29-6-77

Według sprawozdania Komisji Wymiaru Sprawiedliwości Sejmu PRL istnieje niepokojący wzrost zagrożenia mienia społecznego. Wymienia się resorty w których szczególnie dużo jest przestępstw gospodarczych: przemysł spożywczy, skup, handel wewnętrzny i usługi, budownictwo i przemysł materiałów budowlanych, oraz Samopomoc Chłopska.

1-7-77

Przeprowadzony w Rumunii spis ludności wykazał 4.786 osób, które zadeklarowały narodowość polską. ■ W Wilnie ukazuje się od 1953 roku pismo codzienne w języku polskim *Czerwony sztandar*. Nakład wynosi 47.000 egz., z czego 20.000 egz. jest kolportowane w Polsce. W Redakcji pracuje 42

dziennikarzy i 34 osoby personelu pomocniczego. Jeśli idzie o skład narodowościowy, to Polacy wynoszą 64,3 %, Rosjanie — 19 %, Żydzi — 11,9 %, Litwini — 2,4 % oraz jeden Tatar krymski. Oprócz *Czerwonego sztandaru* ukazują się w Wilnie polska wersja pisma *Przyjaźń*. ■ W wydawnictwie lubelskim ukazuje się książka Szewczenki „Muzyka”, w przekładzie Jerzego Jędrzejewicza. Wydana zostanie na skutek zabiegów żony zmarłego pisarza. ■ Kardynał Wyszyński na miejsce zmarłego w Polsce, o. Mitrata Grynika, wyznaczył o. Stepana Dziubinę z Koszalina. Miejscem urzędowania Generalnego Wikariatu jest Przemyśl. ■ Obcokrajowcy z Zachodu mogą kupować benzynę w PRL wyłącznie za dewizy. Odpowiednie kupony można nabywać na przejściach granicznych.

8-7-77

Od tej daty sprzedający nowy samochód w pierwszym roku eksploatacji będzie płacił 20-procentową opłatę skarbową od ceny detalicznej samochodu, a sprzedając dwuletni — 12 %. Ministerstwo Przemysłu Maszynowego wprowadziło ekspresową sprzedaż samochodów. Za dodatkową opłatę od ceny nominalnej pojazdu będzie go można otrzymać w ciągu miesiąca po dokonaniu wpłaty. Do sprzedaży ekspresowej przeznaczono samochody z ponadplanowej produkcji oraz z ponadplanowego importu. Zwiększono stawkę celną obowiązującą przy przywozie samochodów z 50 zł do 100 zł za kg, w przypadku zaś, gdy w ciągu ostatnich trzech lat odbiorca lub członek jego najbliższej rodziny sprowadzał już samochód, stawka będzie wynosić 150 zł za kg.

31-7-77

Zmarła w Warszawie, w wieku 77 lat, Maria Romanowa, z domu Załęska, znana działaczka społeczna przed wojną. W latach 1952-1963 redaktorka P.W.N.

13-8-77

Zmarł w Poznaniu, w wieku 73 lat, arcybiskup poznański ks. Antoni Barańczak. Godność arcybiskupa poznańskiego sprawował od 1957 roku. W latach 1948-51 był kierownikiem sekretariatu Prymasa Polski.

17-8-77

W Budapeszcie zmarł, w wieku 83 lat, Tibor Dery, jeden z najwybitniejszych pisarzy węgierskich. Instytut Literacki wydał w 1959 roku jego książkę *Niki* (wyczerpana) a w nrze *Kultury* 6/212 była zamieszczona jego nowela „Synowa”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

24-6-77

Zmarł w Pernhos w Anglii, w wieku 79 lat, Adam Aleksander Moszyński, więzień Starobielska, autor „Listy katyńskiej”. ■ Na uniwersytecie Paris I p. Daniel Beauvois otrzymał doktorat za pracę pt. „Lumières et sociétés en Europe de l'Est: l'Université de Vilna et les écoles polonaises de l'empire russe (1803-1832)”.

26-6-77

Podczas urlopu we Włoszech zmarł nagle Zygmunt Stermiński z Londynu, prezes Związku Dziennikarzy RP. Miał lat 61.

1-7-77

Olga Scherer, która od lat wykłada na uniwersytecie paryskim VIII literaturę porównawczą i teorię literatury jako maître de conférences (profesor nadzwyczajny), otrzymała na tym szczeblu stały etat państwowy. ■ W Editions Albatros w Paryżu ukazała się książka André Martin „Vladimir Boukovsky — Le contestataire”. Książka tegoż autora „Lithuanie, terre de foi, terre de croix”, która wyszła w tym samym wydawnictwie, została wydana po włosku i po niemiecku. ■ W znanym periodyku amerykańskim *The American Poetry Review* ukazała się specjalna wkładka z ostatnimi wierszami Czesława Miłosza w przekładzie autora i Lillian Vallee. ■ Na uniwersytecie w Bochum (NRF) p. Nina Kozłowska otrzymała tytuł magistra artium z oceną „bardzo dobrze” za pracę pt. „Die politischen Gruppierungen innerhalb des Pilsudskis-Lagers 1926-1939”. ■ Dr Józef Trypućko, profesor języków słowiańskich na uniwersytecie w Uppsali (Szwecja), przeszedł na emeryturę. W czasie swej pracy naukowej w Szwecji wydał około setki prac naukowych. Dr Trypućko pracuje obecnie nad wielkim słownikiem szwedzko-polskim, który ma objąć ok. 100.000 słów.

14-7-77

Z inicjatywy Wspólnoty Polsko-Francuskiej w kościele polskim w Roubaix została odprawiona msza św. za duszę śp. Stanisława Pyjasa. ■ Rząd emigracyjny w Londynie ogłosił że 14. 7. br. zostaną rozpisane wybory do Rady Narodowej R.P. na terenie Wielkiej Brytanii. Głosowanie jest przewidziane na dzień 20 listopada br.

17-7-77

Zmarł na Majorce, w wieku 63 lat, wybitny pianista polski Witold Małcużyński. Był uważany za jednego z najlepszych odtwórców dzieł Chopina.

20-7-77

Zmarł w Waszyngtonie, w wieku 82 lata, dr Jan Kaczmarek. Był on w okresie międzywojennym założycielem i długoletnim prezesem Związku Polaków w Niemczech oraz Sekretarzem Gen. Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech. W czasie wojny był w Anglii, do USA przybył w 1948 roku. Pracował przez 20 lat w Bibliotece Kongresu US.

22-7-77

Zmarł w Monachium, w wieku 57 lat, Michał Gamarnikow, ekonomista, pisarz, dziennikarz, wicedyrektor rozgłośni polskiej radia Wolna Europa, kawaler orderu Virtuti Militari.

24-7-77

W czasie pobytu na wakacjach w Bari, we Włoszech zmarł nagle, w wieku 57 lat, w drugiej połowie lipca br. Stojan Subotin, profesor slawistyki na uniwersytecie w Belgradzie, znany tłumacz polskich dzieł literackich na język serbski, wielki przyjaciel Polski i Kultury.

27-7-77

Zmarła w San Sebastian, w wieku lat 85, Irena Gałęzowska, sekretarz Generalny Twa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Została pochowana na cmentarzu w Montmorency. ■ Angielska fundacja „The Leverhulme Trust Fund” przyznała pani Dr Michalinie Vaughan, profesorowi Uniwersytetu w Lancaster, nagrodę naukową na prace badawcze w roku 1977/78 nad reformami nauczania we Francji po roku 1968. Pani Vaughan pochodzi z Krakowa, jest córką prof. Langroda i autorką szeregu prac z dziedziny socjologii wychowania.

12-8-77

W związku z ustąpieniem p. Fr. Wilka ze stanowiska przewodniczącego Rady Narodowej RP (p. „Wydarzenia miesiąca” w nrze 6/357 *Kultury*) i konfliktem z p. A. Ciołkoszem Naczelnym Kom. Wykonawczy PSL uchwalił co następuje: „Naczelny Komitet Wykonawczy PSL ubolewa z powodu napaści p. Adama Ciołkosza na p. Franciszka Wilka, prezesa PSL. NKW potępia tę napad jako akt nieprzyjaźni wobec PSL. NKW wyraża swą solidarność z prez. F. Wilkiem, którego darzy pełnym zaufaniem i poparciem”, oraz: „Naczelny Komitet Wykonawczy PSL postanawia wycofać swoje poparcie dla rządu p. Kazimierza Sabbata i w związku z tym wycofać swego przedstawiciela ze składu tego rządu”.

15-8-77

Wystawa prac Mieczysława Janikowskiego, która miała miejsce w czerwcu bież. roku w Galerie Dariol w Paryżu jest wznowiona w tej samej galerii.

■ Tegoroczna nagroda pisarska Stowarzyszenia Polskich Kombatantów została przyznana ks. dr. Stanisławowi Bełchowi za pracę „Św. Stanisław biskup-męczennik, Patron Polaków” oraz płk. Franciszkowi Wysłouchowi za książkę „Na ścieżkach Polesia”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W ub. roku akademickim na uniwersytecie Duke w Durnham (Północna Karolina) zorganizowano dwudniowy program muzyki polskiej, który obejmował muzykę klasyczną, ludową, popularną (lata międzywojenne) i awangardową. Wykonawcami byli głównie profesorowie wydziału muzycznego tego uniwersytetu. Druga impreza została zorganizowana przez wydział literatur słowiańskich Duke University, oraz uniwersytetu stanowego Północnej Karoliny — Chapel Hill. Było to sympozjum na temat współczesnych literatur słowiańskich. Omawiano literatury: rosyjską, polską, czeską oraz narodów Jugosławii. Tematykę polską omówili: prof. Jerzy Krzyżanowski z Ohio State University, Michael Kandel, tłumacz twórczości Stanisława Lema, oraz prof. Daniel Gerould, wykładowca w Graduate School przy miejskim uniwersytecie Nowego Jorku i tłumacz Witkacego. ■ Prof. J. K. Zawodny z Claremont Graduate School został mianowany Fellow The Institute for Social and Behavioral Pathology na University of Chicago na 1977 r. ■ 25 lipca br. zmarł w New Britain, Conn., w wieku 87 lat, gen. Aleksander Jerzy Narbut-Łuczyński, żołnierz 1-szej Brygady Legionów, ostatni dowódca Okręgu Korpusu Kraków.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Australijska polityka wielokulturowości zapoczątkowana przez poprzedni rząd Pracy i kontynuowana obecnie przez rząd liberalny, ma także swoich przeciwników, m.in. przywódcę jednej z australijskich organizacji kombatanckich, Arnolda Blashki, wiceprezesa Australian Legion of Ex-Servicemen and Women. Na zjeździe tej organizacji przedstawiciele reprezentujący 280.000 b. żołnierzy przyjęli rezolucję domagającą się m.in. zmniejszenia liczby imigrantów i przeznaczenia funduszy przyznawanych na imigrantów

na zachęcanie rodowitych Australijczyków do powiększania rodzin. Wyrażono również sprzeciw jeśli idzie o rozrost prasy etnicznej i wielojęzycznych audycji radiowych. Zdaniem A. Blashki „australijskie pieniądze winny być przekazywane matkom, aby mogły mieć więcej dzieci. Najlepszymi imigrantami są nasze własne dzieci”. Następnie dodał że obawia się konfliktów rasowych i kulturowych, których dotąd Australia nie знаła. ■ Min. Spraw Imigracyjnych i Etnicznych podało do wiadomości, że imigranci należący do niektórych zawodów mogą poddać się australijskim egzaminom zawodowym przed opuszczeniem krajów, w których znajdują się przed wyjazdem do Australii. Procedury egzaminacyjne opracował „Committee on Overseas Professional Qualifications”. Komitet ustalił już, względnie jest w trakcie ustalania procedur egzaminacyjnych z zakresu zawodów: stomatologii, dietetyki, pielęgniarstwa, fizjoterapii, medycyny, farmacji i weterynarii. Planowane są również procedury z zakresu buchalterii i miernictwa. ■ Redaktorem melbournenńskiego *Tygodnika Polskiego*, wydawanego przez Spółdzielnię Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki, został Jerzy Grot Kwaśniewski, który w początkach lat pięćdziesiątych był redaktorem ukazującego się wówczas tygodnika *Głos Polski*. ■ Prezes organizacji zrzeszającej australijskich chirurgów „Royal Australian College of Surgeons” wyraził obawę, że stały napływ lekarzy spowoduje, że za cztery lata będzie ich za dużo, co wpłynie ujemnie na zatrudnienie młodych medyków australijskich. Należy zaznaczyć, że na prowincji jeden lekarz przypada na 3-4 tysiące mieszkańców, a w dużych miastach jeden lekarz na 1960 mieszkańców. Jak dotąd nie ma bezrobocia wśród lekarzy, których pobory należą do najwyższych w Australii. ■ Prezydium Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii zainicjowało utworzenie w Melbourne Polskiej Spółdzielni Kredytowej na wzór prosperującej kasy kredytowej „Polcos”, istniejącej od wielu lat w Hobart. Prezesem nowej polskiej placówki ekonomicznej został Zbigniew Wasylkowski. ■ W końcu czerwca br. miała miejsce w Sydney demonstracja zorganizowana przez Obywatelski Komitet Obrony Robotników wraz z Australian Committee for Human Rights. W czasie demonstracji rozdawano ulotki z odcinkiem, który po podpisaniu należało przesłać do ambasady PRL w Canberra. Na tym odcinku żądano wypuszczenia na wolność członków KOR'u. Rzecznikami protestujących byli A. Iwczenko i Jerzy Boniecki. Inną demonstrację w postaci kawkadki samochodowej, złożonej z 51 samochodów zorganizowali w Sydney członkowie SPK (Koło nr 6 w Cabramatta). Na samochodach umieszczono plakaty, wzywające do obrony praw człowieka w Polsce. Samochody przejechały wolno przez centrum miasta a następnie udały się przed konsulat ZSSR w Woollahra. Przed konsulem prezes Koła, W. Węglewski, wygłosił przemówienie. ■ Polska Akademia Nauk podarowała bibliotece uniwersytetu Monash (Melbourne) 113 książek, przeważnie w języku polskim. Dobór książek pokrywa literaturę polską od wieku XIV do czasów obecnych. Należy dodać, że na uniwersytecie Monash zostanie w przyszłości otwarty lektorat języka polskiego. ■ Centralną dekoracją wejściowego hallu jednego z największych wieżowców w Australii — 50-ciopiętrowego „Nauru House” w Melbourne jest wielka płaskorzeźba znanego artysty polsko-australijskiego Stanisława Ostoji-Kotkowskiego. Praca ta mierzy 72 metry długości na 2 metry wysokości, jest wykonana z aluminium i szklanych włókien. Grupa artystów australijskich pracowała przez 9 miesięcy pod kierunkiem artysty nad wykonaniem płaskorzeźby. ■ W Canberze podpisano umowę handlową między Australią i PRL. Delegacji polskiej przewodniczył wiceminister Handlu Zagranicznego, Długosz. Polska jest po ważnym odbiorcą australijskiej wełny i produktów rolnych.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

WNIOSEK O POKOJOWĄ NAGRODĘ NOBLA

W dniu 5 maja 1977 RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce wystąpił do Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla w Stortingu Norwegii z wnioskiem o przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Księdzu Kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu, Prymasowi Polski.

Wniosek stwierdza, że Ks. Prymas, jako przewodniczący Episkopatu Polski, jest głównym współtwórcą Oświecenia Biskupów Polskich do Biskupów Niemieckich z 1965 roku „które stało się moralną podstawą przełomu w stosunkach polsko-niemieckich, uwiecznionego następnie porozumieniem państwowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Republiki Federalnej Niemiec z roku 1970”.

W dalszym ciągu Wniosek stwierdza: „Stefan Wyszyński przez wiele lat był w naszym kraju moralnym symbolem wszystkich prześladowanych za swoje przekonania. Od wielu zaś lat jest symbolem walki o wolność i godność człowieka, jego praw ludzkich i obywatelskich. Jego bezkompromisowa postawa ideowa, kultura i takt zjednały Mu szacunek nawet u komunistów, a Jego wielki autorytet moralny jest wartością powszechnie uznaną. Jako Polacy jesteśmy żywo zainteresowani w tym aby taka postawa, jaką reprezentuje Kardynał Stefan Wyszyński mogła współcześnie być uznaną za przykład i sprawdzian chrześcijańskich i humanistycznych motywów kultury europejskiej, której zgłoszony Kandydat jest wybitnym przedstawicielem. Przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Stefanowi Wyszyńskiemu byłoby w pełni uzasadnione nie tylko ze względu na Jego walory osobiste i niewątpliwie zasługi, dla życia wewnętrznego Polski i stosunków międzynarodowych, ale także z uwagi na korzyści, jakie fakt taki przyniosłby tym scalającym Europę ideałom i dążeniom, których wyrazem stał się Akt Końcowy Konferencji w Helsinkach — w Polsce trafnie nazwany: Wielką Kartą Pokoju”.

Wniosek podpisali: Henryk Bezeg, Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Andrzej Czuma, Benedykt Czuma, Halina Głogowska, Karol Głogowski, Marta Grabowska, Tadeusz M. Grabowski, Józef Janowski, Kazimierz Janusz, Stefan Kaczorowski, Mieczysław Łabiak, Andrzej Mazur, Leszek Moczulski, Marek Niesiołowski, Antoni Pajdak, ks. Bogdan Papiernik, Kazimierz Pluta-Czachowski, Zbigniew Sekulski, Zbigniew Siemiński, Restytut W. Staniewicz, Bogumił Włodarski, ks. Ludwik M. Wiśniewski, Adam Wojciechowski, Andrzej Woźnicki, Wojciech Ziemiński.

Listy do Redakcji

Londyn, 24 czerwca 1977.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeśli idzie o „Listy z Londynu” pani „Nowak” interesuje mnie odpowiedź na pytanie: w jakim celu ona to pisze i co chce osiągnąć? Bo chyba nie podniesienie kultury mas emigracyjnych? Coś mi się widzi, że wiele imprez w sali Malinowej czy Szafirowej robi to z lepszym skutkiem.

Zarzutów autorce nie brak: błahych, wzajemnie sprzecznych no, i mylnych. Weźmy tak, przykładowo, na wyrywki i pomijając sprawę „szpetnej rury” (szkodnictwo?), czy schodków (na ten temat służę rozprawą o technice budowy piramid przy zastosowaniu pochylni, czyli rampy). A więc: albo czytelnictwo upada, a my roztapiamy się w morzu angielskim — albo wypożyczalnia jest za mała. Jeżeli tak jest, to wychodzi na to, że niedługo będzie w sam raz. Dalej: autorka chciałaby umieścić Bibliotekę w osobnym domu, na wiecznym zasiłku społeczeństwa (które się przecież roztopia, itd.), czy może na wątpliwej łasce administracji brytyjskiej. A przecież cały sens POSK-u polega na tym, że instytucje, które dają dochód utrzymują te, które dochodów nie mają, myśl niegłupia, nawet gdy zmusza Bibliotekę do sąsiedztwa z restauracją. Można by dalej, ale nie warto.

Autorka przewiduje, że będzie oskarżona o zdradę Ojczyzny, uszkodzenie, itd. Niech sobie nie pochlebia! Wielu czytelników będzie jej tylko współczuło. Ostatecznie każdy służy sprawie tak, jak potrafi. Emeryci składają pojedyncze funty ze swoich szczupłych zasobów. Pani „Nowak” pisze „Listy z Londynu”.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław CHMIELEWSKI

Szanowny Redaktorze,

W notatce „Polonijne publikacje w Kanadzie” ogłoszonej w numerze 7/8 z bież. roku wkrały się zarówno błędy drukarskie jak i — z powodu opuszczeń — błędy zasadnicze. Tekst przeleżał długo w redakcji co też nie pozostało bez wpływu na treść. A więc prostuję i naprawiam.

Związkowiec wychodzi dwa razy tygodniowo od marca 1957 roku a nie 1972 roku.

Miesięcznik *Krzyk* przestał już ukazywać się.

Redaktorem Biuletynu Kongresu Polonii Kanadyjskiej jest Maria Brodzka natomiast p. Anna Ujejska jest redaktorem Informatora Federacji Kobiet Polskich. Informacja o tym również organizacyjnym czasopiśmie wypadła, podobnie jak informacja o piśmie *Kurier Polsko-Kanadyjski* — Tygodnik

ukazujący się w Toronto. Redaktorem jest W. Markiewicz, pismo jest niezależne, stanowi własność prywatną, ma ono charakter magazynowy, jest ilustrowane, zawiera również materiał w języku angielskim. Nakład w granicach 1.000 egzemplarzy.

Spółdzielca — miesięcznik Credit Union Związku Polaków w Kanadzie — dla członków, redaguje M. Syrokomla.

Zmiany personalne w *Głosie Polskim* i *Związkowcu* zostały odnotowane w poprzednich numerach *Kultury* nie ma więc powodu do nich wracać

Benedykt HEYDENKORN

Warszawa, 3 lipca 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem Marii Winowskiej pt. „Nieproszone rady i dywersje” (*Kultura*, nr 5/356, maj 1977), nadesłanym mi dopiero obecnie przez przyjaciół z emigracji, muszę z ubolewaniem stwierdzić, że dane dotyczące mojej skromnej osoby, przytoczone w tym artykule z mego życiorysu, pozostają w sprzeczności z prawdą bądź też są zestawione tendencyjnie i dlatego zniekształcone. Zmusza mnie to do sprostowania niesumienne przekazywanych faktów gwoździ przypomnienia, jak wynika z treści artykułu, katolickiej jego autorce elementarnego obowiązku przestrzegania także w wystąpieniach publicznych ósmego przykazania Boskiego.

Tak więc — po pierwsze — moja kandydatura do współpracy z Komitetem Wolnej Europy nigdy nie była przez tę instytucję odrzucona, natomiast prawdą jest, że to ja dwukrotnie współpracę tę odrzuciłem — po raz pierwszy w grudniu 1949 roku, kiedy to KWE znajdował się dopiero we wstępnym okresie organizacji i kiedy to, nie znając — ani ja ani nikt z ówczesnych moich przyjaciół i bliskich ludzi — ani kulisów ani właściwych przeznaczeń tej instytucji, po przybyciu z Niemiec do USA (we wrześniu 1949), poszukując pracy, rzeczywiście zgłosiłem (w listopadzie 1949) swoją gotowość do współpracy z KWE, ale w kilka tygodni potem (w grudniu 1949) — po zorientowaniu się co do charakteru i celów KWE (o RWE nie było jeszcze w tym czasie mowy), wycofałem sam swoją kandydaturę do współpracy i na tym ten incydent się zakończył. Przed tą moją decyzją ze strony ówczesnego kierownictwa KWE wyrażono zgodę na moją współpracę pod warunkiem, że zaniecham na emigracji działalności politycznej i powstrzymam się od publikowania artykułów w emigracyjnej prasie. Te właśnie warunki spowodowały moją rezygnację z dalszych kontaktów z KWE.

Po raz drugi odrzuciłem propozycję współpracy z Radiem Wolnej Europy, przedstawioną mi bez żadnego, uprzedniego, mego starania w tej sprawie, wiosną 1956 roku przez ówczesnego dyrektora tej instytucji Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który w liście do mnie skierowanym (reprodukowanym kilka lat temu przeze mnie w londyńskiej *Kronice*), i pełnym komplementacji na temat mojej postawy i niezależności stanowiska politycznego, proponował mi współpracę z RWE i odbył ze mną w New Yorku w tej sprawie rozmowę, w czasie której ofertę tę kategorycznie odrzuciłem.

Po drugie — po moim powrocie do Polski z USA (we wrześniu 1959) nigdy w żadnej bezpośredniej ani pośredniej formie, nie wszedłem we współpracę z Paxem, nie uczestniczyłem w żadnych jego zebraniach czy spotkaniach, aczkolwiek uznaję niejedną pożyteczną stronę działalności tego

ugrupowania i widzę pozytywną rolę jego istnienia w dzisiejszej Polsce. Nie należę w ogóle do żadnego ugrupowania politycznego w Polsce i nie uczestniczę w działalności żadnego z nich.

Po trzecie — publikowałem rzeczywiście niektóre moje artykuły w prasie Paxu podobnie jak inne artykuły publikowałem sporadycznie, tak samo jak w prasie paxowskiej, na łamach *Polityki*, *Prawa i Życia*, *Współczesności*, *Życia Warszawy* i kilku innych czasopism, co przecież nie może oznaczać i nigdy nie oznacza automatycznie powiązań autora z takim lub innym ugrupowaniem politycznym reprezentowanym przez określone pismo.

Po czwarte — nigdy nie ogłosiłem żadnego artykułu w *Hejnale Mariackim*, organie — mówiąc nawiasem — Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Społecznego, a nie Paxu, jak utrzymuje M. Winowska wykazując w ten sposób wyraźną ignorancję w zakresie rozpoznania obozu nawet katolickiego, natomiast kilka razy publikowałem artykuły w tygodniku *Za i Przeciw*, także organie Stow. Chrz.-Społ.

Po piąte — redaktorem naczelnym Krajowej Agencji Informacyjnej, przeznaczonej dla prasy i organizacji polonijnych, byłem przez lat dziesięć tj. od chwili jej założenia, nie od roku 1963, jak informuje błędnie M. Winowska, ale od 1960 do 1970 roku.

Po szóste — zgodnie z obowiązującymi przepisami, jeżeli to w ogóle kogokolwiek może interesować, ale co wyraźnie animuje M. Winowską, otrzymuję emeryturę w wysokości nie 3 tys. zł. miesięcznie, ale 4.408 zł. co dla dziennikarza w PRL oznacza wymiar emerytury w najlepszym wypadku średni w jego najniższej skali.

Nie wypowiadam się w sprawie uwag M. Winowskiej dotyczących mego całkowicie prywatnego listu do J. Giertycha z ub. roku, chcę jednak stwierdzić, że autorka tych uwag cytuje dowolnie przez nią wybrane fragmenty tego listu, pomijając inne, jak najbardziej istotne dla treści listu. Ta swoista, ubolewania godna metoda zwalnia mnie od jakiegokolwiek polemiki z tak niegodziwie preparowaną „argumentacją”.

Łączę wyrazy poważania,

Klaudiusz HRABYK
ul. Nabelaka 18 m. 7
00-743 Warszawa.

Stillwater, Okla., 30 czerwca 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z przyjemnością przeczytałem artykuł Ludwika Frendla pt. „Uchodźca z Polski na Zachodzie” w numerze 5/536 *Kultury* z maja 1977. Wyjaśnił mi on wiele spraw, których nie potrafiłem się dowiedzieć, pomimo moich doświadczeń uchodźczych (wyjechałem z Polski w charakterze syjonisty w 1968), na przykład dlaczego ludzie wyjeżdżający na pobyt czasowy z Polski do Anglii nie potrafią załatwić sobie pobytu na stałe. Widać, że artykuł został napisany przez doskonałego prawnika, znawcę spraw uchodźczych. Niestety jest on napisany zbyt trudnym językiem, niedostępnym dla szerszej publiczności. Może jednak znalazłoby się miejsce na artykuł prostszym językiem napisany, który nie odstraszałby, który podawałby zarówno przypadki pozytywne jak i negatywne, z adresami i numerami telefonów organizacji opiekuńczych. Ja ciągle dostaję listy od znajomych z Polski z prośbami o przysłanie zaproszeń na pobyt czasowy do USA, z tym że ci ludzie mają zamiar potem pozostać na stałe, nie wiedząc, że to jest praktycznie prawie nie do przeprowadzenia, po prostu te wiadomości

ciągle nie są dostępne w Polsce. Ja znam tylko jedną książkę napisaną przez uchodźców z Polski: Krystyny Sztrem, *Nieznosi cudzoziemcy*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974, w której znajduje się zupełnie fałszywa informacja o HIAS'ie (str. 86-87). HIAS bez trudności pomaga uchodźcom pochodzenia żydowskiego oraz ich rodzinom, wbrew twierdzeniom autorki, puszczonym co prawda między wierszami. Tych organizacji opiekuńczych dla uchodźców jest oczywiście znacznie więcej, należałoby podać w artykule ich adresy, telefony, zakres ich działalności, itp. Jeśli chodzi o imigrację do USA uchodźców politycznych z krajów komunistycznych to sytuacja jest doskonale opisana w książce: Davida Carliner'a: *The Rights of Aliens*, załączam jej egzemplarz (być może prześlę go w oddzielnej przesyłce). Adresy i telefony tych organizacji opiekuńczych na terenie USA są na str. 196-200.

Czy w polskich organizacjach emigracyjnych, w szczególności w Londynie, można się o te wszystkie sprawy dowiedzieć? Dostawałem dość rozpaczliwe listy od znajomych, którzy przyjechali na fikcyjny pobyt czasowy do Londynu i potem bezskutecznie starali się o legalizację pobytu na stałe, lub choćby o prawo do pracy zarobkowej. W prasie emigracyjnej czytywałem od czasu do czasu artykuły dwóch polskich autorek, Janiny Kowalskiej i Grażyny Nowak; pisały one chętnie o Polakach i Polkach z Polski na pobytach czasowych na Zachodzie, ale z ich artykułów zionęła niechęć do przybyszów, nie było w nich żadnych informacji jak zainstalować się na stałe na Zachodzie. Nie potrafię się zorientować jaki jest aktualny stan politycznych polskich ośrodków emigracyjnych na Zachodzie, czy jest jakiś tymczasowy Komitet Emigracyjny, ale otwarcie ośrodka informacyjnego dla Polaków z Polski byłoby chyba jedną z najważniejszych spraw.

Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku,

Ignacy Icchak KOTLARSKI

Londyn, 20 czerwca 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Pracując całe niemal życie nad ugodą Polsko-Ukraińską, pragnę pogratulować Panu ogłoszenia „Deklaracji w Sprawie Ukraińskiej” z tak poważnymi podpisami. Nie mogę jednak przemilczeć, że w jej treści znalazły się dwa poważne błędy, oba będące zbędnymi ukłonami w kierunku Wielkorusów.

Oto one: 1) Żądanie od Ukraińców nowego oświadczenia się, że pragną niepodległości. 300 lat wojen, to chyba wystarczające oświadczenie woli narodu, lepsze od fałszowanych wyborów lub plebiscytów.

2) Przyznanie się do historycznie nie udowodnialnego „imperializmu” polskiego. Wszystkie polskie nabytki terytorialne (poza dziedzicznym nabytkiem Rusi Halickiej przez Kazimierza Wielkiego) nastąpiły na żądanie danych ziem. Owszem, krzywdy były, ale z winy „królewiat kresowych” — wśród nich wielu książąt ruskich — ale nie rządu czy sejmu polskiego.

Z poważaniem,

Kornel KRZECZUNOWICZ

New York, 20 lipca 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem ogromnie zdziwiony, że prenumerator tej miary, jak prof. dr Teodor Maćkiw po 20 latach zrezygnował z prenumeraty *Kultury* tylko z powodu „Wspomnień dla przyjaciół”, ks. W. Bukowińskiego (patrz *Kultura* Nr 4/355 z bież. roku).

Właściwie trudno zrozumieć, co tak bardzo zabolalo pana profesora w tych wspomnieniach, które — jak wyraźnie wynika z samego nagłówka, nie są dla niego pisane.

Czemu pan profesor koniecznie chce być przyjacielem Ks. W. Bukowińskiego i pragnie żeby wielbny ksiądz patrzył na świat oczami pana profesora?

Nie jestem specjalnie zachwycony „Wspomnieniami” ks. W. Bukowińskiego, ale uważam, że ksiądz ma dużą przewagę nad profesorem — jest szczery i nie ośmiesza się.

Mój nauczyciel i starszy przyjaciel (pozwolę sobie tu go tak wspomnieć) wielki pisarz ziemi ukraińskiej śp. Mykoła Chwyłowij mawiał: „Nacjonalizm to ignorancja”.

Jestem stałym i dawnym czytelnikiem *Kultury*. Jestem bardzo wysokiego mniemania o tym miesięczniku i o ludziach, którzy go tworzą i jest mi naprawdę soromno za tych rodaków, którzy zamiast pomagać w dobrej sprawie tak nieprzemyślanie i nielogicznie postępują.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze moje szczere uznanie za pańską pracę i za wysoki poziom miesięcznika *Kultura*, który Pan stale utrzymuje, drukując wszystko co nas ciekawi.

Przesyłam również serdeczne pozdrowienia całemu zespołowi redakcyjnemu.

Z należyтым poważaniem,

Matwii ŁYCHOŁAJ

W maju 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Akceptuję bez zastrzeżeń „Deklarację” czternastu działaczy w sprawie ukraińskiej. Jest to deklaracja merytorycznie słuszna i bardzo na czasie.

Sprawa narodów słowiańskich — Białorusinów a zwłaszcza Ukraińców — jest w pewnej mierze kluczową dla ruchów wolnościowych w państwie sowieckim — tym wielkim „więzieniu narodów”.

Politycznie sprawa wolności dla Białorusi a zwłaszcza Ukrainy nie jest jednakże sprawą prostą — jak wynika z tej i innych „Deklaracji” i oświadczeń. Należy uwzględnić wiele bardzo istotnych momentów — historycznych, psychologicznych i innych, aby „Deklaracja” nie była tylko deklaracją.

Sprawa Białorusi i Ukrainy są ze sobą splecione — oddziałują na siebie wzajemnie. Dlatego należy je rozpatrzyć łącznie.

Na Białorusi szerzyły się od dawna i szerzą obecnie (wzmagane jeszcze przez propagandę sowiecką) nastroje, że Rosja to „starszy brat” narodu białoruskiego; że rosyjska kultura jest „wyższa” od białoruskiej; że właściwie kultura rosyjska jest łączną kulturą „ruską”; że język białoruski jest jedynie językiem „chłopskim”, gdy językiem literackim jest język rosyjski. Nastroje te szerzą się nie tylko w kołach inteligencji białoruskiej, ale nawet wśród chłopów białoruskich. Pamiętajmy, że językiem cerkiewnym jest od wieków prastuleci język rosyjski, a panującą na Białorusi religią jest od wieków prawosławie. Wywiera to niewątpliwie wpływ na nastroje mas. Wzmaga

jeszcze te nastroje nasilona propaganda sowiecka. Spotkałem się z tymi zagadnieniami osobiście w czasie mojego pobytu w tamtych stronach. W okresie powojennym władze polskie spotykały się niejednokrotnie z „interwencjami” w tej sprawie, np. na terenie województwa białostockiego. Nawet chłopci „nie chcieli” posyłać swych dzieci do szkół białoruskich.

W rezultacie np. w stolicy Białorusi, Mińsku, nie ma ponoć teraz ani jednej szkoły średniej czy wyższej z białoruskim językiem wykładowym — podobno są tam wyłącznie szkoły rosyjskie. Rodzice nawet wolą posyłać dzieci do szkół rosyjskich, gdyż to, ich zdaniem, „daje większe możliwości”. Oczywiście swój wpływ wywiera także polityka państwa sowieckiego.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa na Ukrainie.

Język ukraiński uważany jest także za „język ludowy”, ale nie w pejoratywnym znaczeniu, jak wśród mas na Białorusi. Samopoczucie narodowe było już od dawna i jest tym bardziej teraz daleko wyższe. Ukraina od dawna tworzyła własną literaturę. Język ukraiński jest wprawdzie „językiem ludu”, ale z tego ludu czerpie swą siłę narodowy ruch ukraiński. Kultura ukraińska właśnie dlatego jest „ludowa”, i inteligencja ukraińska uważa to za jej rys charakterystyczny.

Trzeba zdać sobie sprawę z wielowiekowego związku Ukrainy z Rosją. Nie tylko Rosjanie uważają (i wpaja im to także nacjonalistyczna propaganda), że Ukraina jest częścią jednolitej „Rusi”. Te nastroje żywe są także wśród części (zwłaszcza inteligencji) ukraińskiej. Propaganda sowiecko-rosyjska działa tam z wyjątkową intensywnością. Ukraina jest krajem wysoko uprzemysłowionym. Wskutek tego, zwłaszcza do Ukrainy wschodniej, istnieje stała imigracja żywiołu rosyjskiego — robotników i inteligencji; stanowią oni podobno połowę — jeśli nie więcej — ludności. Wschodnie połacie Ukrainy są wskutek tego wysoce „zrusyfikowane”. Popierają to liczne koła wschodnio-ukraińskiej inteligencji, zwłaszcza technicznej, które uważają rosyjską „kulturę techniczną” i nie tylko literaturę techniczną, za „wyższą”.

Centralna Ukraina jest właściwym terenem szerzenia się ruchu narodowego, żądającego dla Ukrainy większej samodzielności i ograniczenia samowoli sowieckiej.

Zachodnia Ukraina natomiast ma inne tradycje — nie tylko antyrosyjskie, ale też antypolskie. Jak wynika z wielu informacji, nacjonalizm antyrosyjski wzmaga się, natomiast antypolski nacjonalizm bynajmniej nie wygasa, jest jeszcze ciągle żywy wśród licznych kół ukraińskich.

Te różnorodne tendencje, zwłaszcza migracja żywiołu rosyjskiego do wschodnich (i nie tylko wschodnich) części Ukrainy ułatwia imperializmowi sowieckiemu powolną rusefikację Ukrainy — pod hasłem jednolitości „Wielkiej Rusi”. Wskutek polityki sowieckiej młodzież ukraińska musi szukać wiedzy (głównie technicznej, ale nie tylko) w literaturze rosyjskiej czy w tłumaczeniach na język rosyjski.

Uwzględnić także należy bliskość języków rosyjskiego i ukraińskiego, oraz kilkusettletnią „wspólną” historię.

Sowiety zdają sobie sprawę ze wzrostu uczuć narodowych Ukraińców. Doceniając ruchy ośrodkowe na Ukrainie, nie należy zapominać o tendencjach dośrodkowych, silnych zwłaszcza na wschodnich terenach — i nie tylko wschodnich.

Stąd waga opublikowanej Deklaracji, podpisanej przez licznych (najlepiej) przedstawicieli Rosji (na emigracji), którzy odzegnują się od imperialistycznej polityki Sowietów i wzywają do realizacji niepodległości Ukrainy, widząc w tej niepodległości gwarancję swobody dla Rosji. Sowiecka polityka represji wobec Ukrainy, niezgodna z tendencjami polityki wyzwolenia narodów, jest niemądra i nierozważna. Cała Ukraina znalazła się pod władzą Sowietów. W tej sytuacji walka narodowa może zaostriżyć jedno-

kierunkowo — przeciw polityce rusyfikacji imperializmu sowieckiego. Władcy Sowietów sądzą, że tendencje te potrafią złamać przemocą. Czy im się to może udać?

Duża jest waga sprawy polskiej w tej Deklaracji. Powstały warunki dla „oczyszczenia” atmosfery nieufności, która w pewnych kołach polskich się utrzymuje — nie tylko w ukraińskich. Nacjonalizm polski nie złożył jeszcze broni „ideowej”.

Aleksander LITWIN

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozgłosnia Polska Radia Wolna Europa nadała w niedzielę 3 lipca w swej audycji „Fakty, wydarzenia, opinie” odpowiedzi Adama Michnika na pytania swych polsko-szwedzkich słuchaczy.

W wypowiedzi tej znalazły się następujące słowa:

„Emigracja powinna popierać konkretne nasze akcje, organizacje i osoby.

Emigracja powinna być ostrożna w ocenie moralnej ludzi i postaw w Polsce. Mam na myśli pewien artykuł Aleksandra Litwina. W tym artykule są bardzo niebezpieczne myśli. Jeśli ktoś uważa i pisze, że należy robić rewolucję w kraju, nie powinien go opuszczać”.

Nie wiem, jaki mój artykuł ma Michnik na myśli. Ja sobie takiego artykułu nie przypominam. Może zechce Michnik (po wyjściu z gierkowskiego więzienia) wyjaśnić mi to.

Emigracja nie jest bynajmniej jednolita w swych poglądach i ocenach „akcji, organizacji i osób” w kraju. Ja np. nie zgadzam się z niektórymi ocenami Michnika w jego licznych wypowiedziach. I bynajmniej nie utożsamiam się z „emigracją” we wszelkiej postaci. Zachowuję niezależne stanowisko. Czy uważam za celowe je publicznie głosić (jak to czyni Michnik) to inna sprawa.

Czy uważam za celowe „robić rewolucję w kraju”, jak sugeruje mi Michnik? Nie wiem, gdzie Michnik wyczytał tę rzekomą mąą myśl. Ja się podobnie nigdy nie wypowiadałem — zwłaszcza publicznie.

A w ogóle, moim zdaniem, skromność w wypowiedziach i „pouczeniach” młodego polityka jest na pewno pożądana — zwłaszcza w wypowiedziach publicznych.

Aleksander LITWIN

Monachium, 8 sierpnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwoli Pan, że raz jeszcze powrócę do sprawy wytycznych politycznych, jakimi kieruje się Rozgłosnia Polska Radia Wolna Europa — poruszonej w *Kulturze* przez p. J. Nowaka oraz podjętej przez p. Osadczuka i pośrednio p. Herlinga-Grudzińskiego.

Sprawa zasługuje na rzetelną informację i na publiczną, merytoryczną dyskusję, w której różnice ocen nie powinny, jak sądzę, przeradzać się w krytykę *ad personam* i kwestionowanie motywów autorów poszczególnych opinii.

Jest rzeczą bezsporną, że zespół polski RWE, pozostający blisko przez ćwierć wieku pod kierownictwem Jana Nowaka, zdołał utrzymać łączność duchową ze społeczeństwem i jego aspiracjami. Potwierdziły to szczególnie lata 1956/57, 1968 i 1970/71, ilekroć do głosu dochodził autentyczny głos Narodu. Nie potrafił przeszkodzić temu fakt, że do końca roku 1970, tj. do podpisania w Warszawie układu polsko-niemieckiego Rozgłosnia, korzystając na ogół z dużej swobody redakcyjnej, poddana była ścisłej kontroli zewnętrznej jeśli chodzi o najważniejszy problem polityczny Polski powojennej (poza kwestią dominacji Moskwy), tj. granice na Odrze i Nysie. Ze względów na wymogi ówczesnej polityki aliantów zachodnich wobec Niemiec i Bloku Moskiewskiego, wszelka wzmianka o granicy, nawet w formie cytatu, musiała być uzgodniona z dyrekcją amerykańską przed nadaniem audycji.

Mimo tych ograniczeń, siła perswazji, energia, stanowczość i wytrwałość p. Nowaka, jego intuicja polityczna i talent publicystyczny, solidarne poparcie go w tym względzie przez zespół polski, emigrację i Polonię, wreszcie zrozumienie problemu przez ówczesną dyrekcję RWE — wszystko to sprawiło, że i w tych trudnych warunkach polski punkt widzenia znajdował wyraz w naszych audycjach i że uniknięto rozbieżności z postawą kraju w tej arcyważnej sprawie. Tak więc liczą się nie tylko przepisy i reguły, ale także ich praktyczne zastosowanie — jak to zresztą podkreśla p. Nowak w swoim ostatnim liście do *Kultury*.

Dodam, że zmieniają się też sytuacje polityczne, duch czasu, nastroje i *dramatis personae*. Co wymagało wczoraj walki i uciążliwych starań, dzisiaj osiąga się drogą normalnych konsultacji albo staje się zrozumiałe samo przez się. Czy w zaleceniu studiowania tekstów „samizdatowych” i artykułów emigracyjnych przed ich nadaniem można — jak to czyni p. Nowak — dopatrywać się „cenzury przewencyjnej”? Przecież żadna redakcja na świecie nie publikuje chyba tekstów na ślepo, bez względu na ich treść i każda ma prawo dokonywać wśród nich wyboru. Tak było dawniej i tak jest dzisiaj w naszej redakcji. Chodzi o to jakimi kryteriami się powodujemy oraz kto i w jaki sposób ustala linię redakcyjną nie tylko generalnie, ale w codziennych konkretnych decyzjach w świetle bieżących wydarzeń i napływającego materiału informacyjnego.

Otóż stwierdzam, że w ramach obecnych wytycznych i stosowanej praktyki, zespół polski i ja osobiście jako jego kierownik, współuczestniczymy w tym procesie na zasadach daleko posuniętej autonomii i w naszej pracy redakcyjnej nie uważamy się bynajmniej za pozbawionych wolności słowa, względnie „poddanych” amerykańskich, jak to ujmuje nasz dobry kolega wspomniany na wstępie Bohdan Osadczuk. Gdyby się to miało zmienić na niekorzyść — na co się zresztą jak dotąd nie zanoszi — ufam że, podobnie jak mój poprzednik, liczyć będę mógł na poparcie polskiej opinii publicznej, wyrażonej m.in. na łamach takich pism jak *Kultura*.

Wszyscy jesteśmy za wolnością słowa, suwerennością itd., a przeciw cenzurze i niewoli. Tylko rzecz w tym jak przyłożyć te abstrakcyjne koncepcje na praktykę dnia codziennego. Co innego efektowne deklaracje i zwroty publicystyczne, a co innego metoda częściowej choćby realizacji wzniosłych haseł w warunkach skomplikowanych współzależności i układów międzynarodowych w dzisiejszym świecie. Odnosi się to — moim zdaniem — również do podjętej przez p. Nowaka kwestii politycznych wytycznych dla Radia Swoboda.

Łączę wyrazy poważania,

Zygmunt MICHAŁOWSKI

Londyn, 25 lipca 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Byłbym wdzięczny za umieszczenie następującego sprostowania. Do mego artykułu pt. „Idea Wspólnoty Środkowo-Europejskiej” zamieszczonym w Nrze 7/358-8/359 *Kultury* wkrađło się następujące zdanie:

„Przed pierwszą wojną światową, jako sztubak w szkole rosyjskiej, musiałem do egzaminów z geografii wkuwać nazwy sześciu królestw, dwudziestupięciu księstw i trzech wolnych miast, które stanowiły pobismarkowską Rzeszę”.

Dopiero, gdy artykuł był już w druku, stwierdziłem, że pamięć mnie zawiodła. W istocie były cztery królestwa, 18-cie księstw oraz trzy wolne miasta: razem 25 członów.

Wszystkim moim rówieśnikom zalecam ostrożność przy powoływaniu się na wiadomości statystyczne zdobyte więcej niż pół wieku temu.

Stanisław ŚWIANIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jan ze Sztokholmu. — Nadesłanych dowcipów nie zamieścimy — są na bardzo niskim poziomie. Jeśli idzie o książkę Bernarda Singera pt.: „Od Witosa do Ślawka”, którą wydaliśmy wiele lat temu, to jest to wybór artykułów drukowanych w Polsce w okresie między dwiema wojnami. B. Singer był powszechnie uważany za najlepszego publicystę i felietonistę politycznego.

Czytelnik. — Nie zamieszczamy listów anonimowych. Poza tym Pana list nie jest skierowany do nas, a do p. J. Giertycha.

REDAKCJA

(ciąg dalszy Spisu Rzeczy)

DOKUMENTY

H. Śniehriow:	<i>List otwarty do rządu ZSSR</i>	153
Heinrich Böll:	<i>List do Wiktora Woroszyłskiego</i>	156
—	<i>Potępienie rządu PRL</i>	157
—	<i>List sławistów włoskich do Marszałka Sejmu PRL</i>	158
—	<i>Apel intelektualistów szwajcarskich do władz PRL</i>	158
—	<i>List do Edwarda Lipińskiego</i>	160

Dokumenty

LIST OTWARTY DO RZĄDU ZSSR

Niniejszym oświadczeniem zrzekam się sowieckiego obywatelstwa.

Decyzję tę podjąłem właśnie w tym czasie, kiedy przeprowadzacie tak zwaną dyskusję nad projektem nowej konstytucji. Gazety, radio i zebrania krzyczą o jednomyślnej, entuzjastycznej aprobacie. W najbliższym czasie projekt stanie się prawem przy ogólnym „hurra!”. Niech kto spróbuje nie krzyknąć „hurra!”, każde zebranie i każdy jego uczestnik są pilnie śledzeni przez KGB i jego wiernych służących — członków partii.

Wasza konstytucja jest kłamstwem od początku do końca. Jest kłamstwem, że wasze państwo wyraża wolę i interesy narodu, że cała władza należy do narodu. Jest kłamstwem, że ostatecznym celem waszego państwa jest podwyższenie materialnego i kulturalnego poziomu życia narodu. Jest kłamstwem, że prowadzicie politykę pokoju i że walczyacie o umocnienie międzynarodowego bezpieczeństwa. Kłamstwem są oświadczenia o wolności rozwoju różnych narodowości i o prawie republik do wystąpienia ze Związku. Jest kłamstwem i hańbą wasz system wyborczy, z którego śmieje się cały naród, kłamstwem i hańbą jest wasz herb, do którego kłosa importujecie z USA, kłamstwem i hańbą jest wasz hymn, w którym zastąpiliście Stalina Leninem.

Twierdzicie, że stworzyliście społeczeństwo naprawdę demokratyczne. Obywatele ZSSR, jak twierdzicie, dysponują wszelkimi społeczno-ekonomicznymi i politycznymi prawami i wolnościami (§ 69), obywatelom ZSSR gwarantuje się wolność słowa, prasy, zebrań i meetingów (§ 50). A przy tym:

— Korzystanie ze swobód i praw przez obywateli nie może szkodzić interesom społeczeństwa i państwa.

Bezczelnie przekreśliliście prawa i swobody swych obywateli. Paragraf 156 głosi:

— Przewody sądowe we wszystkich sądach są publiczne. Rozprawy zamknięte przeprowadza się jedynie w wypadku, przewidzianym prawem.

Bezczelnie przekreśliliście prawa i swobody swych obywateli. waszym obywatelem.

I przedtem pozbawialiście mnie praw i swobód, a kiedy baliście się prawdy — a baliście się jej zawsze — sądziliście na rozprawach zamkniętych. Ale przedtem, nawet nazywając się dyktaturą, nie dochodziliście do ostatecznego cynizmu, miałem jeszcze możliwość machania konstytucją i domagania się respektu dla zagwarantowanych praw, domagania się otwartej rozprawy. Dziś wy, zrzuciwszy szyld dyktatury i nazwawszy się ogólnonarodowym państwem, przywołujecie mnie brutalnie do porządku: dość powoływania się na konstytucję, twoje prawa i swobody obowiązują tylko tak długo, jak długo nie postanowimy, że szkoda one nam, państwu — a wówczas osądzimy cię na zamkniętej rozprawie w myśl ustanowionych przez nas, państwo, praw! Protestujesz? — spróbuj, tak jest napisane w konstytucji, którą zatwierdził cały naród i w tej liczbie i ty.

Nie chcę być w tej liczbie. Wasza konstytucja została poddyktowana względami politycznego bezpieczeństwa, którym w ZSSR podlega wszystko, bez których wasz łagierniczy reżym nie przetrwałby jednego dnia.

Nie chcę być obywatelem państwa, które po 60 latach swego istnienia gospodaruje tak, że jest zmuszone wyszczególniać na wzniosłych stronicach Ustawy Zasadniczej bydło i drób, znajdujące się w domowym gospodarstwie obywateli. Zabraliście 99% ziemi do kołchozów i sowchozów, a ten jeden procent który pozostał w indywidualnej uprawie daje jedną trzecią produktów żywnościowych w całym państwie. A jak grabiliście swego obywatela na tym jego jednym procencie — zabieraliście krowę z obory, obkładalście dzikimi podatkami każdą kurę, każdą jabłoń i każdy krzaczek truskawek! Dziś zrozumieliście, że kraju nie nakarmią wasze kołchozy i sowchozy, zaczęliście pochlebiać obywatelowi, podlizywać się, gwarantować — nie bój się, hoduj świnki i kurki, obiecujemy: nie tkniemy, ot, konstytucję wprowadziliśmy, karm nas ze swojego jednego procentu, dawaj nam teraz nie jedną trzecią a dwie trzecie, bo na te kołchozy i sowchozy nie ma co liczyć, to pomniki na cześć zgńiej ideologii — ulepione z gnoju.

Ponadto nie chcę pozostawać obywatelem państwa, które unicestwiło elitę mego ukraińskiego narodu, najlepszą część warstwy chłopskiej i inteligenckiej, sfałszowało i zakłamało naszą przeszłość historyczną, poniżyło naszą teraźniejszość. Pozbawiliście moich rodaków-Ukraińców godności narodowej, doprowadziliście nas do tego, że boimy się i nie chcemy nazywać się Ukraińcami. I wy ośmielacie się w waszej konstytucji trąbić o rozwoju różnych narodowości? Macie dość cynizmu, by nagrawać się z mego narodu i równocześnie wpisywać do konstytucji paragrafy o prawie odłączenia się od ZSSR?

Miliony zahukanych i zastraszonych przez was obywateli podnoszą pokornie i apatycznie rękę w głosowaniu za waszą konstytucją. Takich, którzy jak ja otwarcie oświadczają, że nie chcą zaaprobować waszej ustawy zasadniczej będą jednostki. Zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że mój postępek zostanie oceniony jako najgorsza zbrodnia: ja posłużyłem się prawem wolności słowa na szkodę waszego państwa — będziecie mnie sądzić w myśl ustanowionych przez wasze państwo praw na rozprawie zamkniętej.

Że wasza konstytucja jest jeszcze tylko projektem? Że będziecie musieli poczekać do rozprawienia się ze mną, aż zostanie uchwalona przez cały naród i dopiero wówczas będziecie mogli zastosować do mnie jej paragrafy? Bzdury! Nie prościej — dom wariatów? Albo zaliczenie do przestępców kryminalnych? Albo samosąd oburzonych patriotów po cywilnemu? Albo wypadek drogowy? Jakże tam jeszcze macie w swoim arsenale warianty sztybkiej rozprawy? Działajcie.

Dn. 1977 r. wysłałem swój dowód osobisty do ROWD rejonu leninowskiego m. Kijowa i od tego momentu przestaję uważać się za obywatela ZSSR.

(—) H. SNIEHIRIOW, pisarz.

... 1977

Kijów - ZZ

ul. Tarsowska 6, m. 43.

SNIEHIRIOW Helij Iwanowicz.

NOTKA BIOGRAFICZNA O SNIEHIRIOWIE

Helij SNIEHIRIOW urodził się w 1927 roku w rodzinie inteligenckiej. Ojciec Iwan Sniehiriow pochodził z Sum., kształcił się w Charkowie, gdzie mieszkał aż do przejazdu do Kijowa w 1954 r. Debiutował jako pisarz opowiadaniem „Lusterko” w 1935 r. Potem napisał kilka powieści jak „Do widzenia”, „Kariera lekarza Rudenki” i „Niebieska piękność” oraz kilka sztuk teatralnych „Przysięga Franciszka Fernandeza”, „Morskie Kamienie” i „Wielka Wygrana”. Umarł w młodym wieku w roku 1956, przeżywszy zaledwie 53 lata. Syn Helij zaczął karierę pisarską od przekładu powieści ojca „Niebieska piękność” na rosyjski w 1952 roku. Pierwszym jego ukraińskim dziełem było opowiadanie „Lato jeszcze wróci”, opublikowane w 1957 r. W 1962 r. ukazała się nowela „Czy mam prawo?”. W następnych latach Helij Sniehiriow był głównie autorem scenariuszy filmowych. Stąd też powstała przyjaźń z pisarzem rosyjskim Wiktoorem Niekrasowem. Kiedy przeciwko niemu rozpoczęto nagonkę, Sniehiriow nie dał się namówić do zdrady przyjaciela za co wnet zapłacił wyrzuceniem go ze Związku Pisarzy. Niedawno przedostał się na Zachód jego utwór literacko-polityczny pt. „Mamo, moja mamo...” na temat prześladowań inteligencji ukraińskiej w 30-tych latach i losów Ukrainy. Ukraiński oryginał drukuje czasopismo *Suczasnist* a sporządzony przez autora przekład rosyjski ukazuje się w czasopiśmie *Kontyent*.

Na razie nie wiadomo co się dzieje ze Sniehiriowem po jego otwartym liście w sprawie konstytucji i po liście do prezydenta Cartera, w którym obarczył Breżniewa odpowiedzialnością za terror wobec dysydentów i inteligencji ukraińskiej.

LIST HEINRICHA BÖLLA DO WIKTORA WOROSZYLSKIEGO

W *Neue Züricher Zeitung* Nr 154 z 4 lipca zamieściliśmy najbardziej istotne fragmenty listu otwartego polskiego pisarza Wiktora Woroszylskiego do niemieckiego pisarza i laureata nagrody Nobla, Henryka Bölla.

Neue Züricher Zeitung, 7 lipca 1977.

4 lipca 1977.

Drogi Wiktorze Woroszylski,

To, co Pan, adresując do mnie, podaje do wiadomości światowej opinii publicznej, zgodne jest z relacjami o nastrojach, dochodzącymi mnie z Pragi, z Moskwy, z NRD. Biorąc pod uwagę historycznie uwarunkowane, drobne lub znaczne różnice pomiędzy Polską Rzeczpospolitą Ludową, CSRL, Związkiem Sowieckim, DDR, Rumunią, Węgrami i Bułgarią, różnice, których szczegółowy opis wiódłby za daleko (a trzeba tu także wymienić Jugosławię, gdzie — choć nie należy ona do „bloku” — zamyka się pisarzy — Mihailowa i innych — lub poddaje się ich niezdolnym presjom na prowincji — Kocbeka i innych), dzieje się we wszystkich krajach socjalistycznych mniej więcej to samo: pisarze — i nie tylko oni — chcieliby się dowiedzieć czy konstytucje i międzynarodowe układy istotnie są tylko makulaturą.

Położenia Pańskiego ani Pańskich Kolegów nie ułatwia fakt, że niesamowite rzeczy dzieją się w nie-socjalistycznych krajach: w Brazylii, Argentynie, Iranie (w Chile, mimo wszystko, odbywa się to otwarcie): że kierownictwa partyjne i rządy waszych krajów mogą z szyderczym śmiechem wskazywać na podeptanie praw człowieka w owych krajach. Powoływaniu się na to, że gdzie indziej nie jest lepiej, nie przynosi najmniejszej pociechy. Nie możemy zresztą przyjmować pociechy oferowanej nam przy pomocy takich porównań. Niewielką pociechę kryje też stwierdzenie, że w krajach waszych nie chodzi już o ideologię „jako taką”; nie chodzi już, jak niegdyś w Kościołach o „wiernych” czy „niewiernych” (wtedy można było jeszcze, mimo wszystko, uznać swe „błędy” albo nie, „żałować” ich albo nie); rządzi ograniczająca się do mechanicznych odruchów biurokracja, zastępy „prałatów”, drążących o swoje prebendy i bojaźliwie stłoczonych wokół „papieża” i „kardynałów”; mało także pociechy dla Pana i Pańskich przyjaciół wynika z faktu, że pogróżki papieża i kardynałów okazały się tu, o czym codziennie można się przekonać, niemalże bezskuteczne. Całych stuleci trzeba było przecież by odebrać skuteczność groźbie np. ekskomunikacji. Nie pocieszajmy się więc „epokami historycznymi”, przez które trzeba przejść, żyjemy tutaj, żyjemy obecnie i nie chcę wierzyć, że i wy również potrzebować będziecie setek lat na publiczne zdemaskowanie tego rodzaju sprawowania władzy w całej jej śmieszności.

Pewnego rodzaju pociecha istnieje jednak, być może, i to raczej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, niż w innych krajach socjalistycznych: można zmobilizować przeciwko wam tajną policję, funkcjonariuszy partyjnych, cenzorów, ale chyba nie naród polski. Nie jest to czas zwolenników

zimnej wojny, którzy tak łatwo popadają w gorączkę, a naruszanie praw człowieka dostrzegają zawsze tylko w krajach socjalistycznych. To czas tych, którzy nazywają siebie „eurokomunistami”, którzy wprawdzie buntują się i wybrzydząją, polemizują, lecz żadnego jakos dotąd nie robią użytku z pogróżek, do których mogliby się uciec. A zagrożenie *deklaracją* i *dokonaniem* schizmy mogłoby może jednak odnieść pewien skutek. To czas związków pisarzy, przede wszystkim sowieckiego, który — choć nie w osobach wszystkich swych członków — ale jako związek odegrał nieopisanie żałosną rolę, wykluczając każdego, ale to absolutnie każdego pisarza, który sprawiał „trudności”, zdawał się je sprawiać, lub też w nie popadał. Cóż znaczą „bratnie kraje”, „bratnie związki”, jeśli ci bracia potulnie milczą i bardziej są bojaźliwi, niż się tego po nich niejednego „papież” spodziewa? Żałosny stan tego „świętego Officium” promieniuje na wszystkie kraje socjalistyczne. Achmatowa, Pasternak, Sołżenicyn, Wojnowicz, Korniłow, Kopelow — kiedyż wreszcie związek ten sam siebie „wykluczy”? Na zakończenie pragnę powtórzyć to, co powiedziałem kiedyś tutaj w rozmowie z pewnym pisarzem sowieckim: jesteśmy bezsilni, my, pisarze, ale bezradni nie jesteśmy. Pozdrawiam Pana, a przede wszystkim Adama Michnika oraz wszystkich i wszystko za czym się on opowiada. Pański

Henryk BÖLL

(Tłumaczył m.k.)

POTĘPIENIE RZĄDU PRL

97 posłów socjalistycznych z Wielkiej Brytanii i dwóch posłów konserwatywnych złożyło swe podpisy pod wnioskiem Izby Gmin potępiającym rząd PRL.

Wniosek ten brzmi: „Izba ubolewa nad aresztowaniem członków Komitetu Obrony Robotników przez rząd polski, co jest dalszym pogwałceniem wolności związków zawodowych w Polsce i ohydny naruszeniem umowy w Helsinkach; i nawołuje rząd Jej Królewskiej Mości do zaprzestowania w jak najmocniejszy sposób”.

Wniosek został ogłoszony z pełną listą podpisujących w dzienniku wniosków i pytań Izby Gmin dnia 7 lipca br. a w ubiegłym tygodniu, po uzyskaniu jeszcze nowszych podpisów, przedstawiono wniosek gabinetowi premiera Wielkiej Brytanii, J. Callaghan'owi. Zapewniono posłom, że premier uwzględni ich wniosek i komentarz w przygotowawczych rozmowach do konferencji w Belgradzie. Wraz z wnioskiem przekazano gabinetowi premiera również sporo dokumentacji i listę 14-tu więźniów politycznych w Polsce.

Wśród podpisów pod tym wnioskiem znalazło się wielu wybitnych posłów socjalistycznych jak *Michael Stewart*, były minister spraw zagranicznych, pani *Barbara Castle* — wieloletni wybitny minister za rządów Wilson'a, *Gerard Fitt* — socjaldemokrata z Północnej Irlandii, *James Sillars* — założyciel nowej szkockiej Partii Pracy, bardzo lewicowy *Eric Heffer*, republikanin — *William Hamilton*, i znani działacze z umiarkowanego skrzydła Partii Pracy jak *Sir Geoffrey de Freitas*, *Neville Sandelson* i *Tom Bradley*.

Inicjatorem wniosku był poseł Partii Pracy w Ipswich — *Ken Weetch*, który wszczął akcję na prośbę Polaków zamieszkających w Ipswich. Wzruszyły go szczególnie listy Adama Michnika z Paryża, a później z więzienia.

LIST SLAWISTÓW WŁOSKICH DO MARSZAŁKA SEJMU

Do Marszałka Sejmu Polskiego
Warszawa

„My slawiści włoscy, których łączy z Polską stałe i serdeczne stosunki współpracy naukowej, śledzimy z zaniepokojeniem rozwój sytuacji w zaprzyjawnionym kraju. Niepokój ten uzasadniony jest następującymi faktami: wzmocnionym uciskiem ze strony cenzury, co stanowi dużą przeszkodę w rozwoju życia politycznego i kulturalnego; uwięzieniem licznych przedstawicieli świata kultury, członków Komitetu Obrony Robotników, jak Jacek Kuroń, Adam Michnik, Jan Józef Lipski; nadużywaniem aresztów tymczasowych, co prowadzi do pogwałcenia podstawowych praw obywatelskich.

W obliczu tych faktów, uważamy za nasz obowiązek wyrażenie władzom polskim naszego przekonania, iż stosowanie środków represyjnych zamiast rozwiązania problemów społecznych i politycznych, prowadzi tylko do ich zaostrzenia, uniemożliwiając otwartą dyskusję; przeczy duchowi wolności i tolerancji, jaki nawet w chwilach najcięższych — co my slawiści możemy zaświadczyc — charakteryzował życie polityczne i kulturalne Polski; szkodzi sprawie socjalizmu nierozzerwalnie związanego z demokracją”.

M. Bersano Begey — Univ. Torino, *L. Borriero* — Univ. Roma, *D. Caccano* — Univ. Roma, *M. Capaldo* — Univ. Salerno, *D. Cavaion* — Univ. Padova, *P. Cazzola* — Univ. Bologna, *M. Colucci* — Univ. Bologna, *G. E. Dall'Aglio* — Univ. Napoli, *A. D'Amelia* — Univ. Salerno, *A. Danti* — Univ. Firenze, *C. G. De Michelis* — Univ. Bari, *M. Di Salvo* — Univ. Pavia, *M. Dodero* — Univ. Torino, *M. Enrietti* — Univ. Torino, *R. Faccani* — Univ. Venezia, *D. Ferrari Bravo* — Univ. Urbino, *C. Graziadei* — Univ. Siena, *G. Krajski* — Univ. Catania, *C. La Sorra* — Univ. Roma, *E. Lo Gatto* — Univ. Roma, *P. Marchesani* — Univ. Genova, *A. Maver* — Univ. Gatto — Univ. Cattolica Milano, *R. Picchio* — Yale University, *A. Raffo* — Univ. Firenze, *A. M. Ripellino* — Univ. Roma, *L. Satta Boschian* — Univ. Perugia, *V. Strada* — Univ. Venezia, *A. Tamborra* — Univ. Roma, *M. Varese* — Univ. Torino, *F. Venturi* — Univ. Torino, *A. Wildova Tosi* — Univ. Roma, *V. Zilli* — Univ. Napoli.

List 32 slawistów, profesorów i docentów wykładających na głównych uniwersytetach włoskich, ukazał się 10 lipca 1977 roku na łamach *Corriere della Sera*.

APEL INTELEKTUALISTÓW SZWAJCARSKICH
DO WŁADZ PRL

W chwili gdy przygotowywano konferencję w Belgradzie, doszły nas z Polski niepokojące wiadomości, dotyczące ciężkich represji, które depczą prawa człowieka. Po prześladowaniach, które w ubiegłym roku spadły na setki strajkujących robotników, dziś spotkały tych, którzy wzięli ich w obronę i przynieśli pomoc humanitarną ich rodzinom, pozbawionym jakichkolwiek środków utrzymania. Ostatnie aresztowania dotknęły dziesiątki osób, intelektualistów i studentów; zorganizowana kampania prasowa, przedstawiająca jako zdrajców członków i sympatyków Komitetu Obrony Robotników, zapo-

wiada nowe prześladowania. Represje nie ustają mimo upartych i odważnych protestów, które podnoszą się w Polsce i mimo licznych apeli do władz polskich, wysyłanych z Zachodu.

Nie może być mowy o respektowaniu praw człowieka w Polsce bez natychmiastowego zaniechania represji, bez bezwarunkowego uwolnienia wszystkich osób prześladowanych czy uwięzionych za obronę tych praw.

Apel ten podpisali:

J.-F. Bergier, professeur, Ecole Polytechnique, Zürich; *J.-F. Billeter*, chargé de cours, Lettres, Université de Genève; *L. Binz*, professeur, Lettres, Université de Genève; *B. Boeschenstein*, professeur, Lettres, Université de Genève; *L. Bolens*, professeur, Lettres, Université de Genève; *G. Borel-Boissonnas*, écrivain; *N. Bouvier*, écrivain; *J. Buenzod*, chargé de cours, Ecole de Traduction et d'Interprétation; *A. Burckhardt*, professeur, Lettres, Genève; *Cl. Bossy*, économiste; *M. Burger*, professeur, Lettres, Université de Genève; *G. Busino*, professeur aux Universités de Genève et de Lausanne; *M. Butor*, professeur, Lettres, Université de Genève; *B. Baczk*, professeur, Lettres, Université de Genève; *M. A. Baczko*, médecin; *G. Cellerier*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *J.-M. Chappuis*, professeur, Théologie, Univ. de Genève; *G. Charpak*, physicien, CERN; *J. L. Cornuz*, journaliste; *B. Courvoisier*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *L. Dällenbach*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *J. de Lannoy*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *D. de Rougemont*, écrivain; *P. de Senarclens*, professeur aux Universités de Genève et de Lausanne; *J.-J. Dreifuss*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *A. Dufour*, éditeur, président de la Société Académique de Genève; *A. Dufour*, professeur, Droit, Univ. de Genève; *G. Duparc*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *J. Fabre*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *B. Jeanrenaud*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *Cl. Frochaux*, écrivain; *K. Gasteyger*, professeur, Institut Univ. de Hautes Etudes Internationales; *W. Geisendorf*, professeur honoraire, Médecine, Univ. de Genève; *A. Giovannini*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *L. Girardier*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *R. Girod*, professeur, Sciences Economiques et Sociales, Univ. de Genève; *V. Glaser*, physicien, CERN; *C. Goretta*, cinéaste; *A. Gür*, maître, Collège Calvin, Genève; *M. A. Huberman*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *B. Inhelder*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *J. Jackson*, chargé de cours, Lettres, Univ. de Genève; *M. Jeanneret-Hobson*, Trinity College, Cambridge; *M. Jeanneret*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *B. Jeanrenaud*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *A. Kaminski*, dramaturge; *R. Kloter*, Univ. de Genève; *P. Laugier*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *K. Marek*, professeur, Institut Univ. de Hautes Etudes Internationales, Genève; *L. Massarenti*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *J. Mohr*, photographe; *M. Molnar*, professeur, Institut Univ. de Hautes Etudes Internationales, Genève; *Ch. A. Morand*, professeur, Droit, Univ. de Genève; *P. Mounoud*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *A. Munari*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *A. Müller*, avocat; *L. Mysyrowicz*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *G. Nivat*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *B. Perregaux*, chargé de cours, Lettres, Univ. de Genève; *A.-M. Piuz*, professeur, Sciences Econ. et Sociales, Univ. de Genève; *J. Prentki*, professeur au Collège de France, CERN; *R. Preiswerk*, professeur, Institut d'Etudes du Développement, Genève; *L. J. Prieto*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *M. Raymond*, professeur honoraire, Lettres, Univ. de Genève; *I. Rens*, professeur, Droit, Université de Genève; *P. Rey*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *F. Rochaix*, comédien —

pour le collectif du Théâtre de Carouge; *J. Rousset*, professeur honoraire, Univ. de Genève; *P. Rousset*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *Ch. Senft*, Ecole des Sciences Politiques et Sociales, Lausanne; *H. Sinclair*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *J. Siotis*, professeur, Institut Univ. de Hautes Etudes Internationales, Genève; *J. Starobinski*, professeur, Lettres, Univ. de Genève; *S. Stelling-Michaud*, professeur honoraire, Lettres, Univ. de Genève *E. Suter*, président d'honneur de l'Union des Syndicats de Canton de Genève; *A. Tanner*, cinéaste; *C. Torracinta*, journaliste; *P. Vassali*, professeur, Médecine, Univ. de Genève; *A. Vigezzi*, professeur, Univ. de Milan; *J. Voneche*, professeur, Psychologie et Sc. de l'Education, Univ. de Genève; *M. Weiss*, ingénieur, CERN.

Do

Prof. Edwarda Lipińskiego
Rzecznika Polskiego Komitetu
Obrony Robotników
ul. Rakowiecka 22 m. 26
Warszawa

Amsterdam, 24 czerwca 1977.

Szanowny Panie,

Chcielibyśmy w ten sposób wyrazić naszą solidarność i poparcie dla poczynań Polskiego Komitetu Obrony Robotników.

Wolność organizowania się i prawo do strajku stanowią powszechnie przyjęte prawa ludzkie, które są również uznane przez konstytucję PRL.

Komitet Obrony Robotników wykazał się doskonałymi wynikami broniąc zarówno robotników uwięzionych, jak i tych którzy stracili pracę lub byli torturowani w związku ze strajkami w czerwcu 1976 na terenie miast polskich.

Osadzenie w więzieniu członków i sympatyków Komitetu jakie miało ostatnio miejsce, nie może być traktowane jako represja w stosunku do małej grupy ludzi, a przeciwko ideom, które ci ludzie reprezentują.

Z poważaniem,

Dr A. de Swaan, wykładowca socjologii Uniwersytet Amsterdamski;
Mr W. Kok, przewodniczący FNV (Federacja Holenderskich Związków Zawodowych); J. Lanser — przewodniczący CNV (Chrześcijańskie Narodowe Związki Zawodowe); J. Carmiggelt — pisarz; Prof. Dr J. Bezemer — Dyrektor Instytutu Studiów Wschodnio-Europejskich; N. Scheepmaker — dziennikarz; Prof. Dr A. de Froe — emerytowany Rector Magnificus Univ. Amsterdamskiego; M. Klompé — ex-Minister Kultury.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 3^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA: „Kultury”: prosimy o przesyłanie czekow do adm.	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2839; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very Rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY: St Miklcluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1803 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzienanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 277 — SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

KOŚCIOŁ, LEWICA, DIALOG

Str. 176.

Cena: F. 40.



TOM 279 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY PIERWSZY

Zawiera: K. PUŻAKA: *Wspomnienia 1939-1945*; J. Lewandowskiego: „Tajny” raport Chruszczowa — okoliczności ujawnienia, oraz bogaty dział *Polemik*.

Str. 240.

Cena F. 30.



W CIĄGU WRZEŚNIA UKAŻĄ SIĘ
WIKTORA WOROSZYLSKIEGO: **LITERATURA**
CZESŁAWA MIŁOSZA: **ZIEMIA ULRO**